

ADVANCE UNCORRECTED PROOF / NOT FOR SALE

*Początek
Miłości*

Libba Bray, Rachel Caine,
Melissa De La Cruz, and more...

Edited by Trisha Telep

Tłumaczenie: Translate_Team

UKRYTA WYSPA

Melisa de la Cruz

Wzeszło słońce. Hannah obudziła się o trzeciej nad ranem, w zimny, lutowy dzień i zauważyła, że jeden ze starych, miedzianych kinkietów na ścianie był włączony. Wydzielał przyćmioną, ledwo dostrzegalną poświatę. Raz zamigotało, zniknęło, nagle znowu się włączyło. Pierwszym co zanotowała, był wadliwy kabel lub jej niedbałość

Czy wyłączyła światło zanim poszła do łóżka? Ale kiedy znowu się powtórzyło. Następnego wieczoru i dwa dni później, zaczęła zwracać na to uwagę. Za czwartym razem już się obudziła, kiedy to się stało. Wymacała na nocnym stoliku swoje okulary, włożyła je żeby ze zmarszczonymi brwi wypatrywać jarzącej się żarówki. Na pewno pamiętała, żeby wyłączyć światło zanim poszła spać. Obserwowała jak wszystko powoli gasło, opuszczając pokój w jeszcze większej ciemności. Później poszła spać. Inna dziewczyna była by wystraszona, może trochę przerażona, ale Hannah była trzecią zimę na ukrytej wyspie i mieszkała w dziwnym, „cichym domu.” W lato, tylne drzwi na owady, nigdy nie są zamknięte, nawet jeśli wiatr uderza w nie raz po raz lub, gdy ktoś wchodził do domu lub z niego wychodził - chłopak mamy, sąsiad, przyjaciele Hanny, których rodzice mieli dom na wyspie i spędzali w nim lato. Nikt, nigdy nie zamykał drzwi na tajemniczej wyspie. Nie popełniano tu przestępstw. Chyba, że kradzież roweru była uważana za zbrodnię, a jeśli twój rower zginął, to najprawdopodobniej tylko ktoś pożyczył go żeby pojechać do marketu i znajdowano go następnego dnia. Stojącego przy frontowym wejściu, obok schodów, a ostatnie morderstwo odnotowano około 1700 roku.

Hannah miała 15 lat, a jej mama pracowała jako barmanka w The Good Shop¹, chrupki, wyłącznie organiczna kawa. Restauracja i bar, który był otwierany tylko na trzy miesiące w roku, podczas sezonu kiedy wyspę opanowywali (słowa jej mamy) ludzie z miasta na wakacjach. Letni ludzie (kolejna nazwa jej mamy) i ich pieniądze żyły na wyspie prawdopodobnie przez rok obrotowy tak jak oni. Po zakończeniu sezonu, w zimę zostaje kilku ludzi na wyspie związanych z duchem miasta.

Ale Hannah lubiła zimę, patrzeć na oddalający się prom na oblodzonej rzece, jak śnieg cicho przykrywa wszystko, jakby magicznym kocem. Lubiła samotnie spacerować po plaży smaganej wiatrem, gdzie błotnisty dźwięk jej butów, szurających po wilgotnym piasku jest jedynym dźwiękiem przez całą milę. Ludzie zawsze opuszczają wyspę podczas zimy. Mają dość brutalnych śnieżyc szalejących nocą, wyjącego jak kostucha wiatru za oknami. Narzekają na samotność i odosobnienie. Niektórzy ludzie nie lubią ciszy, ale Hannah to cieszy. Bo jedynie wtedy może słyszeć swoje myśli.

Hannah i jej mama ruszały w drogę tak jak wakacyjni ludzie. Kiedyś, kiedy jej rodzice byli jeszcze razem, jeździli na wakacje do jednego z dużych, kolonialnych bloków przy plaży, obok przystani jachtowej przy hotelu Sunset Beach. Ale to się zmieniło po ich rozwodzie. Hannah rozumiała, że ich życie zmieniło się. Ona i jej matka był teraz pomniejsza na jakiejś innej drodze. Każdy im współczuł, odkąd jej ojciec uciekł ze swoją handlową zręcznością.

Hannah nie obchodziło bardzo, to co myśleli inni ludzie. Lubiła dom, w którym mieszkali. Wygodna ruina w Cape Cod z werandą i sześcioma sypialniami schowanymi w kątach - jedna na poddaszu, trzy na parterze i dwie w piwnicy. Była to zabytkowa, żeglarska kopia wyspy, otoczona wodą w salonie obitym drewnianymi panelami. Dom należał do rodziny, która nigdy go nie używała. Dozorca nie zwracał uwagi ,że najmuje go samotna matka.

Po pierwsze, przesunęły zajmujące ogromną przestrzeń dwa marmurowe stoły do pintballu². Ale po czasie poprawiły go i był przytulny, ciepły. Hannah nigdy nie czuła się samotna czy przerażona w tym domu. Zawsze czuła się bezpiecznie.

¹ Nie widziałam sensu żeby to tłumaczyć, bo w dalszej części tekstu dziwnie by to wyglądało, więc zostawiłam w oryginale. Chyba, że jak ktoś chce w dobrym sklepie;)

² Stół do pintballu- <http://i21.tinypic.com/30bgttu.jpg>

&

Mimo to, następnej nocy, o trzeciej nad ranem. Kiedy światła mrugały i drzwi poruszały się otwierane z łoskotem, zaskoczona Hannah wstała rozglądając się uważnie dookoła. Skąd pochodzi wiatr? Wszystkie okna były zabezpieczone przed wichurą i nie czuła powiewu. Z początku zauważyła cień, ciągnący się przy drzwiach.

- Kto tam jest? - zapytała twardym i rzeczowym głosem. To był ten ton głosu, którego używała, kiedy pracowała jako kasjerka w sklepie spożywczym w czasie wakacji. Kiedy miejscowi skarżyli się na cenę rukoli³.

Nie bała się. Była tylko ciekawa. Co powoduje, że światło zapala się i gaśnie? A drzwi otwierają się później z łoskotem?

- Nikt - odpowiedział ktoś.

Hannah odwróciła się. To był chłopak siedzący na krześle w rogu. Hannah niemal krzyknęła. Nie była na to przygotowana. Kot. Może jakaś zagubiona wiewiórka lub coś w tym rodzaju, tego się spodziewała. Ale chłopak... Hannah była nieśmiała co do chłopców. Szybko zbliżała się jej słodka szesnastka i nigdy nie całowała kamienia milowego. To było okropne, gdy niektóre dziewczyny zajmowały się tym, ale zbyt okropne żeby Hannah się zgadzała się z nimi.

- Kim jesteś? Co tutaj robisz?- zapytała Hannah próbując brzmieć na odważniejszą niż była.

- To mój dom - powiedział spokojnie chłopak.

Był w jej wieku, zauważyła. Może trochę starszy. Miał ciemne, kudłate włosy opadające na jego oczy. Nosił podarte spodnie i brudną koszulkę. Był przystojny, ale wyglądał na zamyślonego i zasmuconego. Miał brzydką ranę na szyi.

Hannah zatrzymała wzrok na swoim podbródku, gdyby mogła, schowałaby się w swojej pidżamie z flaneli w obrazki sushi. On musi być jej sąsiadem, jednym z chłopców O'Malley, którzy mieszkają obok. Jak dostał się do jej sypialni bez niezauważony? Co on od niej chce? Czy powinna zacząć krzyczeć? Czy jej mama o tym wie? Czy ma wezwać pomoc? I ta rana na jego szyi - wygląda na zanieczyszczoną. Coś strasznego mu się przydarzyło i Hannah czuła ciarki i gęsią skórę.

- Kim jesteś?- zapytał chłopak, gwałtownie obracając się od stołu.

- Jestem Hannah - powiedział cichym głosem. Dlaczego powiedziała mu swoje prawdziwe imię? Czy ma to jakieś znaczenie?

- Mieszkasz tu?

- Tak.

- Dziwne - powiedział w zamyśleniu.- Cóż. Miło Cię poznać Hannah.

Następnie wyszedł z jej pokoju i zamknął drzwi. Wkrótce potem światło wyłączyło się.

&

Hannah leżała w swoim łóżku, rozbudzona od dłuższego czasu. Serce galopowało jej w piersi. Następnego ranka nie powiedziała swojej mamie o chłopaku w jej sypialni. Była przekonana, że to był tylko sen. Bo był. Tylko go sobie wymyśliła. Zwłaszcza, że po części wyglądał jak młodszy Johnny Depp. Chiała mieć chłopaka tak bardzo, że jeden się pojawił.

³ Liściaste warzywo o aromatycznym zapachu i oryginalnym, lekko pikantnym smaku.

Nie, żeby on był jej chłopakiem. Ale jeśli miałyby mieć chłopaka, to wyglądałby właśnie tak. Chłopcy, którzy tak wyglądali, nie chcieli dziewczyn takich jak ona. Hannah wiedziała jak wygląda. Mała. Przeciętna. Cicha. Jej najlepszą cechą, są jej oczy, szklane morze zieleni, otoczone gęsto ciemnymi rzęsami. Ale znikają one za okularami przez większość czasu.

Jej matka zawsze oskarżała ją o zbyt dużą wyobraźnię i może miała rację. W końcu dopadło ją, zwariowała zimą. To wszystko wydarzyło się w jej myślach. Ale później, następnego wieczoru, on wrócił. Wędrował w jej pokoju, tak jakby tu należał. Gapiła się na niego, zbyt przerażona, żeby coś powiedzieć i dał jej wytworną kokardę zanim zniknął. Następnego nocy nie spała. Natomiast, czekała.

&

Trzecia rano.

Światła zapłonęły. To tylko wyobraźnia Hannah, czy martwe światło faktycznie urosło w siłę? Drzwi trzaskały. Ten czas.

Hannah obudziła się i czekała na to. Widziała jak chłopak pojawia się przy jej szafie, materializuje się z nikąd. Zamrugła oczami, krew huczała w jej uszach, próbowała walczyć z atakiem paniki. Kimkolwiek był... nie był człowiekiem.

- Znowu ty - powiedziała próbując być odważną.

Obrócił się. Miał te same ubrania co dwie noce wcześniej. Posłał jej smutny, tęskny uśmiech.

- Tak. Kim jesteś? Co robisz?- zażądała

- Ja?

Spojrzał zakłopotany przez moment i rozciągnął szyję. Tym razem mogła wyraźnie zobaczyć jego ranę pod brodą. Dwie dziurki. Pokryte strupami i...niebieskie. Miały głęboki kolor indygo, nie brązowo - czerwone jak przypuszczała.

- Myślę, że mogę nazwać siebie wampirem.

- Wampirem?- Hannah wzdrygnęła się. Jeżeli byłby duchem, to inna sprawa. Ciocia Hannah powiedziała jej wszystko o duchach- jej ciotka przechodziła przez fazy Wiccan, jak również okres przewodnika duchów. Hannah nie bała się duchów. Nie krzywdziły jej, chyba, że były złośliwe i hałaśliwe. Duchy były mgłą, widmami, może nawet umiały robić sztuczki ze światłem.

Ale wampiry...

Kraży na wyspie legenda o rodzinie wampirów, która terroryzowała ją dawno temu. Krwiożercze potwory, blade i nieżywe, zimne i wilgotne w dotyku, kreatury nocy, które mogą przemieniać się w nietoperze, szczury lub coś gorszego. Zatrzęsła się i rozglądnęła się po pokoju zastanawiając się jak szybko mogłaby przebiec od łóżka do drzwi. Jeśli miałyby czas na ucieczkę. Czy dałaby radę wymknąć się wampirowi?

- Nie martw się, nie jestem tym rodzajem wampira. - powiedział uspokajająco, jakby czytał w jej myślach.

- Jakim rodzajem jesteś?

- Oh, wiesz, gryziemy ludzi bez ostrzeżenia. Wszystko o Drakuli jest bzdurą.

Wyrastają mi rogi z głowy.- wzruszył ramionami - Jedna rzecz, nie jesteśmy brzydki. Hannah chciała się roześmiać, ale czuła, że to będzie niegrzeczne. Jej strach powoli się zmniejszał.

- Dlaczego tu jesteś?

- Mieszkamy tutaj. – powiedział .

- Nikt nie zamieszkał tutaj w tym roku.- powiedziała Hannah- John Carter- dozorca, powiedział, że zawsze było tu pusto.

- Huh- chłopak wzruszył ramionami. Wziął siedzenie w rogu, naprzeciwko jej łóżka. Hannah spojrzała na niego ostrożnie, zastanawiając się czy powinna mu pozwalać być tak blisko. Jeśli jest wampirem, to nie wygląda na zimnego i wilgotnego. Wyglądał na zmęczonego. Wyczerpanego. Miał ciemne sińce pod oczami. Nie wyglądał na zimnego-krwiożerczego zabójcę. Ale skąd on mogła to wiedzieć? Mogła mu zaufać? Ale odwiedził ją już dwa razy po wszystkim. Jeśli chciał jej śmierci później, mógł ją zabić w każdej chwili. Było coś w nim - prawie był zbyt słodki, żeby go się bać.

- Dlaczego świecisz tutaj?- zapytała, kiedy odzyskała głos.

- Oh, chodzi ci o te światła.- skinął - Nie wiem. Od dłuższego czasu, nie mogę nic zrobić. Spałem w twojej szafie, ale mnie nie widziałaś. Później zrozumiałem, że mogę włączać i wyłączać światło, włączać i wyłączać. Ale wyłącznie. Kiedy zaczęłaś zauważać, zacząłem czuć więcej.

- Dlaczego tu jesteś?

Chłopak zamknął oczy.

- Ukrywam się przed kimś.

- Przed kim?

Zamknął mocno oczy, tak, że na jego twarzy pojawił się bolesny grymas.

- Przed kimś złym. Przed kimś, kto chce mnie zabić - nie, gorzej niż zabić.- zadrżał.

- Jeśli jesteś wampirem, to nie jesteś już martwy?- zapytała praktycznym tonem.

Czuła, że jest odprężona. Dlaczego miała się bać kogoś, kto był niewątpliwie przerażony?

- Nie, nie do końca. To bardziej, mieszkam tutaj dłużej. Dłuższy czas.- mruknął.- To jest nasz dom. Pamiętam kominek na dole. Sam zawiesiłem tablicę. Musiał mówić o zakurzonej, starej tablicy obok kominka. Hannah myślała, że jest stara i brudna, nigdy nie zauważyła jej przedtem.

- Kto ciebie goni?- zapytała Hannah

- To skom...- ale zanim chłopak mógł dokończyć zdanie, coś zastukało w okno.

Uderzyło, uderzyło, uderzyło jak gdyby ktoś - lub coś- rzucało wszystkim co mogło.

Chłopak podskoczył i zniknął na chwilę. Pojawił się przy wejściu, oddychając szybko i ciężko.

- Co to było?- zapytała Hannah drżącym głosem.

- Jest tutaj. Znalazł mnie.- powiedział ostro, nerwowo i niespokojnie jakby miał uciekać. I nie pozostawał, tam gdzie był, jego wzrok wprawiał w wibrację szkło.

- Kto?

- Zła...rzecz...

Hannah wstała i wyjrzała za okno. Na zewnątrz było ciemno i spokojnie. Drzewa, szkielety ogołocone z liści, nadal stały na ośnieżonej polanie, naprzeciwko zamrożonej wody. Światło księżycy rzucało zimną, niebieską poświatę.

- Nic nie widzę. Oh!- cofnęła się, jak gdyby dźgnięto ją nożem. Zauważyła coś. Czyjaś obecność. Czerwone oczy i srebrne źrenice. Gapiły się na nią w ciemności. Na zewnątrz okna, coś unosiło się w powietrzu. Czarna masa. Mogła poczuć tego wściekłość, gwałtowne pragnienie. To coś chciało, skonsumować, pożywić się.

- Hannah...Hannah...- To znało jej imię. - Wpuść mnie...Wpuść mnie...

Te słowa ją hipnotyzowały. Podeszła z powrotem do okna i zaczęła podnosić zasuwkę.

- STOP!

Obróciła się. Chłopak stał przy wejściu, miał spięty, szalony wyraz twarzy.

- Nie- powiedział- To czego od ciebie chce. Zaproszenia do środka. Jak długo okno pozostaje zamknięte, nie może wejść. Ja jestem bezpieczny.

- Co to jest?- zapytała Hannah, jej serce łomotało mocno w klatce piersiowej. Zabrała rękę od okna, ale nadal patrzyła na zewnątrz. Nie było niczego więcej, ale wyczuwała tego obecność. Było blisko.

- To też wampir, ale lubi mnie inaczej. Jest...obłąkany.- powiedział- Żywi się własną rasą.

- Wampir, który poluje na inne wampiry?

Chłopak przytaknął

- Wiem, że to brzmi śmiesznie...

- To zrobi...zrobi coś dla ciebie?- zapytał czyszcząc swoje palce po strupach z jego szyi. Były szorstkie w dotyku. Współczuła mu.

- Tak.

- Ale teraz jest wszystko w porządku?

- Myślę, że tak.- spuścił swoją głowę- Mam taką nadzieję.

- Jak ty możesz przebywać w środku? Nie zaprosiłam ciebie,- zapytała.

- Masz rację. Ale ja nie potrzebuję zaproszenia. Drzwi były otwarte, kiedy tu przyszedłem. Wiele drzwi jest otwartych w domu, ale nie mogę przejść przez żadne z nich. Te które zrobiłem, znalazłem. To mój rodzinny dom.

Hannah przytaknęła. To miało sens. Oczywiście był mile widziany w swoim własnym domu. Klekotanie ustało.

Chłopak westchnął.

- Odszedł teraz. Ale wróci.

Wyglądał tak jakby odczuł ulgę, że jej serce wyszło do jego.

- Co potrzebujesz żebym zrobiła?- zapytała. Już się nie bała. Matka Hannah zawsze jej powtarza, że w sytuacjach kryzysowych trzeba mieć głowę. Była spokojną, rzetelną dziewczyną. Bardziej możliwe jest, że wbije kołek w serce potwora, niż ocali tory kolejowe.

- Jak mogę pomóc?- podniósł swoje brwi w górę i przyglądał się jej z szacunkiem.

- Muszę uciec. Nie mogę zostać tu na zawsze. Muszę odejść. Muszę ostrzec innych.

Powiedzieć co mi się przydarzyło. Że niebezpieczeństwo rośnie.- opadł naprzeciwko ściany.- Pytam cię, czy możesz się trochę zranić i nie musisz odpowiadać chyba, że dasz mi dobrowolnie.

- Krew, czyż nie? Potrzebujesz krwi. Jesteś słaby.- powiedziała Hannah- Potrzebujesz mojej krwi.

- Tak.

Cienie na jego twarzy zaostrzyły się i mogła zobaczyć jego zapadnięte policzki. Jego ziemistą cerę. Być może jedno z legend o wampirach jest prawdą.

- Ale ja się nie przemienię...?

- Nie.- potrząsnął głową- To tak nie działa. Nie możesz przemienić się w wampira. My rodzimy się tacy. Przekłęci. Wszystko będzie z tobą w porządku - będziesz zmęczona i może trochę śpiąca, ale będzie dobrze.

Hannah przełknęła.

- To jedyny sposób?- Nie zastanawiała się, jak to brzmiało. On miał ją ugryźć. Pić jej krew. Czuła mdłości, myślała tylko o tym, ale także dziwnie podekscytowana.

Chłopak powoli przytaknął.

- Zrozumiem jeśli nie będziesz chciała tego zrobić. To nie jest coś, co większość ludzi chciałaby zrobić.

- Mogę to przemyśleć?- zapytała

- Oczywiście.- powiedział

Później zniknął.

&

Następnej nocy powiedział jej trochę więcej o tym, czym jest. Co musi jeszcze zdobyć, żeby móc uciec. Ale teraz powróciło, żeby skończyć zadanie. Wytropiło go. Hannah słuchała opowieści chłopaka.

- Kończy mi się czas- powiedział. Im więcej mówił, tym bardziej czuła, że jest jej bliższy. Robił się coraz słabszy i słabszy i pewnego dnia nie mógł sprzeciwić się wezwaniu. Wyszedł na spotkanie swojemu przeznaczeniu, bezsilnie naprzeciwko potwora.

Coś mocno uderzyło w okno, przełamując urok w jego języku. Obydwoje podskoczyli. Szyba zawibrowała, ale wytrzymała i się nie rozbiła. Hannah zrozumiała, że to coś wróciło. Było na zewnątrz. Blisko. Chciało się pożywić.

Obróciła go, odciągając jego ręce. Jej oczy były szeroko otwarte i przerażone.

- Przepraszam, ale ja... ja nie mogę.

- W porządku - powiedział żałośnie - Nie wymagałem tego od ciebie. To był tylko pytanie.

Światło zamigotało i zniknęło.

&

Hannah myślała o nim cały dzień, pamiętała jego słowa, desperację gdy uciekał przed stworem w noc, kiedy na niego polował. Jak on sam wyglądał. Jaki był przestraszony. Wyglądał podobnie jak Hannah, gdy jej ojciec powiedział, że odchodzi od nich i jej matka, która miała nadzieję, że wróci. Wieczorem, zanim poszła do łóżka, założyła swoją najładniejszą koszulę nocną - czarną, którą przywiozła dla niej ciotka z Paryża. Była jedwabna i ozdobiona koronką. Jej ciotka jest siostrą ojca i czasami miała na nią „zły wpływ” (znowu słowa jej mamy).

Podjęła decyzję.

Kiedy pojawił się o trzeciej rano, powiedziała mu, że zmieniła zdanie.

- Jesteś pewna?- zapytał.

- Tak. Ale zrób to szybko, zanim się rozmyślę- rozkazała.

- Nie musisz mi pomagać- powiedział

- Wiem- przeknęła- Ale chcę.

- Nie zranię Cię- powiedział.

Położyła dłoń na szyi, jakby chciała ją ochronić.

- Obiecujesz?

Czy może ufać obcemu chłopakowi? Czy może zaryzykować swoje życie, żeby mu pomóc? Lecz, jest coś w nim - jego czarne, senne oczy, nawiedzony wyraz twarzy - to, że zwrócił się do niej. Hannah była typem dziewczyny, która zabierała zbłąkanego psa i opiekowała się ptakiem ze złamanym skrzydłem. Plus to, że było ciemno. Postanowiła mu pomóc zanim ucieknie.

- Zrób to- zadecydowała.

- Jesteś pewna?

Kiwnęła energicznie głową, jakby była w gabinecie lekarskim i dowiedziała się o czymś szczególnie dokuczliwym, lecz do zoperowania. Zdjęła okulary, obciągnęła swoją koszulę nocną na jedną stronę i wygięła w łuk szyję. Zamknęła oczy i przygotowała się na najgorsze.

Podszedł do niej. Był wysoki. Jego zaskakująco ciepłe dłonie spoczęły na jej nagiej skórze. Przyniósł się do niej bliżej i pochylił się.

- Poczekaj – powiedział - otwórz oczy, spójrz na mnie.

Zrobiła to. Spojrzała w jego ciemne oczy, zastanawiając się czego od niej chciał.

- Są piękne, to znaczy twoje oczy. Jesteś piękna – powiedział - myślę, że powinnaś to wiedzieć.

Westchnęła i zamknęła oczy, gdy jego dłoń gładziła jej policzek.

- Dziękuję- szepnęła.

Poczuła jego oddech na swoim policzku i musnął ją przez chwilę swoimi wargami. Pocałował ją, naciskając mocno swoimi wargami na jej. Zamknęła oczy i oddała mu pocałunek. Jego usta były gorące i wilgotne.

Jej pierwszy pocałunek, i to z wampirem.

Czuła jak jego usta przesuwają się od jej ust, na brodę, a później na podstawę szyi. To było to. Poczuli ból. Ale, tak jak mówił, nie był zbyt duży. Tylko dwa małe ułucia, poczuła się senna. Słyszała ja ssał i przełykał, była oszołomiona, czuła jak zaczęło kręcić się jej w głowie. Podobnie jak wtedy, gdy oddawał krew do krwiodawstwa. Sądziła tylko, że prawdopodobnie nie dostanie po tym ciastka.

Osunęła się w jego ramionach i złapał ją. Czuła jak prowadził ją do łóżka i położył ją na prześcieradle i przykrył kołdrą.

- Czy kiedyś znowu cię zobaczę?- zapytała, trzymając mocno otwarte oczy. Była taka zmęczona, ale widziała go wyraźnie. Wydzielał poświatę. Wyglądał znacznie lepiej.

- Może – wyszeptał - Ale byłoby dla ciebie bezpieczniej, gdyby nie.

Przytaknęła sennie, tonąc w swoich poduszkach.

&

Rano czuła się wyczerpana i ociężała, a gdy zeszła na dół jej mama powiedziała, że wygląda jakby miała gripę i jeśli źle się czuje nie musi iść do szkoły. Kiedy spojrzała w lustro, nic nie zauważyła na swojej szyi - nie było żadnej rany, blizny.

Nic się nie wydarzyło poprzedniej nocy? Czy rzeczywiście zwariowała? Przejechała opuszkami palców po swojej skórze i w końcu znalazła - tylko dwa małe twarde guzy na skórze. Prawie niewyczuwalne, ale były.

Powinna była zapytać o jego imię, zanim zgodziła się mu pomóc.

- Dylan – powiedział - Nazywam się Dylan Ward.

&

Następnego dnia, odkurzyła tabliczkę przy kominku i dokładnie jej się przyjrzała. Było na niej rodzinny herb, a pod spodem napis „Dom Ward’ów” , Wardowie wychowywali dzieci. To był zaginiony dom. Bezpieczny dom na Tajemniczej wyspie.

W nocy myślała o bestii na zewnątrz, uderzającej w okno i miała nadzieję, że Dylan miał się dobrze, gdziekolwiek teraz był.

*Przetłumaczyła: aniaxDxD
Betowała: mejaczek*

SPADAJĄC NA POPIÓŁ [Falling to Ash]
KAREN MAHONEY

Theo się spóźnił. To był prawie rok odkąd go widziała, i nawet nie mógł być na czas. Moth mruknęła, przenosząc spojrzenie na księżyc, mogąc korzystać z chłodnych promieni, które kąpały jej bladą skórę. Światło księżycy było jej ulubioną rzeczą na świecie – z wyjątkiem brązowych oczu przystojnego faceta. Zsunęła swoje okulary słoneczne na czubek nosa i zlustrowała wzrokiem alejkę, zastanawiając się, co do cholery stało się z Theo. Stuknęła niecierpliwie stopą, ciesząc się dźwiękiem trzasku stalowego noska jej buta na chodniku.

Nie mogła uniknąć myślenia o jutrzejszym nabożeństwie żałobnym mamy. No, nie tak dużo o samej mszy – była dużo bardziej wystraszona stawaniem naprzeciw jej ojca. Jej wargi zacisnęły się, gdy przypomniała sobie, jakiego ostatnio widziała ojca; ojcowska miłość była ostatnią rzeczą na jego głowie. Jej matki nie było od roku, a mimo to jej ojca nie obchodziło czy jego średnia córka ją pamięta. Moth przełknęła i pchnęła tę myśl daleko, zamiast tego podziwiając czystą białą skórę jej smukłych ramion, gdy wyciągnęła je nad głowę. Ona nigdy nie była bardzo opalona, nawet zanim została wampirem. Wciąż mogła chodzić za dnia, ale nie w pełni lata i nigdy nie bez pewnych zachmurzeń lub cieni budynków. Gdy każdy rok mijał, zauważyła jak słońce przeszkadzało jej trochę więcej; nawet pięćdziesiąt SPF* nie zawsze wystarczało.

Przesuwając tanie plastikowe okulary słoneczne z powrotem na miejsce, oparła się o tylne drzwi Subterranean i zastanawiała się, dlaczego nie mogli spotkać się w klubie. Była dziesiąta trzydzieści w sobotnią noc – miejsce, gdzie roi się od wampirów, i mogła nawet zobaczyć znajome twarze. Mimo rozpaczliwego wyrwania się z tego miejsca, była samotna parę ostatnich miesięcy. A potem Theo był tam, wysuwając się z cienia i sunął w jej kierunku z kocią gracją, którą tak знаła. Jego uroda zawsze zapierała jej dech w piersiach, chociaż nie cierpiała znaczącego błysku w jego oku, kiedy dotknął jej policzka na powitanie.

Moth rzuciła piorunujące spojrzenie zza swoich okularów słonecznych. – Spóźniłeś się. – A twoje maniery się nie poprawiły. – Byłam w Bostonie, Theo. Nie ukończyłam szkoły dla niegrzecznych dziewczynek.

Theo podniósł ciemne brwi i uśmiechnął się swoim złym, pirackim uśmiechem. – To jest pomysł...

Moth pchnęła okulary na głowę, utrzymując je w równowadze wśród gęstych czarnych fal jej długich włosów. Wiedziała, że jej srebrne oczy będą świecić się jaskrawo w uznaniu jej pana, ale nie mogła mu pokazać jak naprawdę jest szczęśliwa widząc go. Nie zdobył tego prawa – nie od dnia, dziesięć lat temu, kiedy ukradł jej niewinność i zrobił z niej potwora.

Sięgnął do ciemnych okularów i wyrwał je zanim mogła go powstrzymać.

– Dlaczego nosisz te śmieszne rzeczy?

- Moje oczy się świecą, a kontakty zadają ból. – Kiwnęła głową na księżyc. – Jest prawie pełnia.

- Nie żywiłaś się. – Ton Theo był pełen wyrzutu. – Gdybyś to robiła, nie miałabyś takiego problemu. – Jego własne oczy były obecnie jasnoszare, jego natura wampira była ukryta za wiekami ścisłej kontroli.

Moth patrzyła gniewnie. – Wyżywiłam się zbyt dużo.

Pociągnął nosem. – Z banków krwi. To jest ledwie to samo.

- Powiedziałeś, że nie będziesz naciskał mnie w tej sprawie.

- Nie naciskałem cię w twoim sposobie odżywiania przez prawie dekadę. Może powinienem zacząć.

*SPF - oznaczenie filtra przeciwsłonecznego

Zaszurała swoim butem po ziemi, uznając, że zmiana tematu może być dobrym pomysłem. – W każdym razie, dlaczego tutaj stoimy?

Theo oparł się o ścianę i wepchnął swoje ręce do kieszeni kurtki wykonanej na zamówienie. Jego czarne włosy były krótsze niż pamiętała, loki zwisały zgrabnie wokół jego uszu, zatrzymując się na kołnierzu. Ludzie często brali ich za rodzinę, co bawiło Theo. Lubił udawać, że była jego młodszą siostrą – to dawało mu niesmaczne obciążenie.

Właśnie, kiedy Moth zaczęła zastanawiać się, czy zamierza odpowiedzieć, spotkał jej oczy. – Nie chcę by ktoś wiedział, że wróciłaś. Jeszcze nie.

Zmarszczyła brwi. Co on do cholery teraz wymyślił? Nie dość było, że pociągnął ją do miasta na spotkanie tylko dlatego, że wiedział, że wróciła na mszę matki? – Obiecałeś mi rok wolności, Theo. To nie jest jeszcze mój czas. To nie jest sprawiedliwe.

- Życie nie jest sprawiedliwe, moja śliczna. – Jego oczy były jak kamień, usta bez uśmiechu.

- Ale obiecałeś – powiedziała, nienawidząc siebie za ukazanie słabości. Owinęła ramiona wokół swojego ciała jakby mogła skryć ból, który zaczął gryźć jej żołądek. Bycie koło Theo zawsze sprawiało, że czuła się głodna – to był jeden z powodów, dla których chciała wyrwać się z Ironbridge w pierwszej kolejności.

- Mam dla ciebie zadanie – powiedział Theo, włamując się do jej myśli. – To coś bardzo specjalnego. Tylko moja mała Moth może to zrobić.

Dziesięć miesięcy jej... wakacji, a on chciał jej dla tego? Ukraść coś? To wszystko, co kiedykolwiek od niej chciał. – To takie pierdoły. Nie potrzebujesz mnie – to tylko usprawiedliwienie.

Jego oczy zrobiły się szerokie i udawały niewinność. – Usprawiedliwienie? Na co?

- Mieć mnie z powrotem. Nie jesteś zadowolony, kiedy nie panujesz nad każdym wokół ciebie. – Twarz Theo stwardniała i Moth poczuła znajome szarpnięcie władzy w piersi.

Posiadał ją, ciało i duszę – jeśli nadal miała duszę – i nienawidziła go prawie tak, jak go kochała. Teraz, być może bardziej go nienawidziła.

- Bądź wdzięczna, że miałaś to tak długo, dzieciaku. To moja wina, że wróciłaś, aby płakać nad grobem matki. Teraz mnie posłuchaj. Oto, co chcę żebyś zrobiła...

&

Wszystkie te kłopoty dla głupiej urny żałobnej? I dlaczego śmierć była taką przyszłością tej podróży? Moth potrząsnęła głową, krocząc ciężko przez Ironbridge Common i ominęła grupę dzieciaków, które piły ze swoich butelek. Obniżyła ostry przypyływ zazdrości gdzieś w granicach serca; nigdy nie robi tych ludzkich rzeczy jeszcze raz. Westchnęła i usiłowała sobie przypomnieć jak to było być 'normalnym' nastolatkiem. W każdym razie, jeśli byłaby ze sobą szczerą, nie była wtedy całkiem szczęśliwa.

To była łagodna noc i niebo było czyste. Lato nie było daleko – już mogła poczuć je w powietrzu i bała się nadchodzących długich dni. Moth opadła na ławkę pod jedną ze staroświeckich żelaznych lamp, które pokrywały chodnik. Starła się nie pamiętać zmartwionego wyrazu twarzy Caitlin, gdy wyjechała z miasta, dziesięć miesięcy temu.

Siedziały w tym samym miejscu i mówiły sobie dowidzenia. Moth obiecała, że zadzwoni do młodszej siostry, gdy tylko wróci do Ironbridge, ale zamiast tego ukrywała się w Common, zastanawiając się czy jest jakiś sposób, aby wymigać się od wykonania pracy dla Theo.

– Hej, z jakiej wystawy dziwadłaś uciekłaś? – Dwóch facetów stało przed nią, jeden z nich był z papierosem dyndającym w kąciu jego ust. Była tak zajęta myśleniem o Theo i szalony plan tak ją wciągnął, że nawet nie wyczuła, kiedy podeszli.

Moth wypróbowała przyjaznego zachowania. Hej, warto było spróbować.

– Też miło was widzieć, chłopcy. – Uśmiechnęła się, a jednocześnie starała się trzymać ukryte kły. To było trudne, ale możliwe, pomimo, że zabrało jej kilka lat opanowania tej sztuki.

Chłopcy byli prawdopodobnie szesnasto-, siedemnastolatkami; tylko trochę młodszy od Moth, gdy została zmieniona prawie dziesięć lat temu. Nosili dżinsy i koszulki z długim rękawem. Jeden z nich miał kurtkę, która przyciągnęła jej uwagę – to była miękka czarna skóra, pokryta zamkami błyskawicznymi i metalowymi ćwiekami. Myszy. Zastanawiała się jak taki dzieciak mógł sobie pozwolić na tak piękną kurtkę.

- Nie wiem, do czego się uśmiechasz, ale siedzisz na naszej ławce. – To zostało powiedziane koło papierosa, więc jakaś siła tych słów została stracona. Facet miał krótkie brązowe włosy, zwężone oczy i nastawienie „pieprz się”. Jego trochę jastrzębi nos przypominał jej Theo. Chłopak Skórzana Kurtka kiwnął potwierdzająco głową, kiedy stawiał ramię w ramię ze swoim kumplem. Najwyraźniej myślał, że robi dobrą robotę odgrywając cichą, groźną rolę, ale jego niechlujna aureola z miękko wyglądających blond włosów zrujnowała cały efekt. Moth westchnęła i wolno pokręciła głową.

– No, w taki sposób nie mówi się do damy, prawda chłopcy? – Odchyliła się i rozłożyła ramiona wzdłuż oparcia ławki. Nabijana ćwiekami bransoletka na jej prawym nadgarstku zaślśniła.

Palacz pochylił się nad nią. – Nie widzę tutaj ‘damy’. I powiedziałem, złaż z naszej ławki.

- Nie możesz robić tego na innej ławce? – Moth miała neutralny wyraz twarzy, ale mogła wyczuć zapach gniewu chłopaka i to robiło ją jeszcze głodniejszą.

- Co ty mówisz? – domagał się Chłopak Skórzana Kurtka, czerwieniąc się na twarzy.

Moth wstała jednym płynnym ruchem. Szarpnęła w dół swoją czarną spódnicę i przeklęła, gdy zaczepiła jednym z pierścieni o oczko tkaniny.

– A niech to. Patrzcie, co mi zrobiliście. – Spiorunowała ich obydwu wzrokiem, przypominając sobie za późno, że ich wyraz zginął za okularami słonecznymi. Kusilo ją, żeby pokazać im swoje oczy, ale Theo byłby wkurwiony, a ona dopiero co wróciła.

Prawdopodobnie to nie byłoby rozsądne posunięcie.

Wyciągnęła rękę do ciemnowłosego dzieciaka, wyciągając papierosa z jego ust. Zanim mógł zaprotestować, przycisnęła palący się czubek do swojej drugiej dłoni i spojrzała na ich twarze, kiedy jej blade ciało skwierczało. Bolało jak cholera, ale nie było sposobu by im to pokazać – a oparzenie i tak zagoi się w ciągu kilku minut. Nie, żeby te dupki musiały to wiedzieć.

Oboje cofnęli się o krok.

– Cholera – powiedział ten, który palił. – Ona musi być nawalona.

Moth uśmiechnęła się, nie martwiąc się, gdyby tym razem błysnął jej kieł.

– Zjeżdżajcie. – Rzuciła w nich niedopałkiem, śmiejąc się, kiedy rzucili na nią straszne spojrzenia.

- Szalona suka – wymamrotał Chłopak Skórzana Kurtka. Złapał ramię swojego przyjaciela i odciągnął go od ławki. – Chodź, Todd.

Moth patrzyła na nich przez zwężone oczy, mocno przyhamowując swój głód i powstrzymywała pragnienie by nauczyć tych punków prawdziwej lekcji.

„Todd” odwrócił się i pokazał jej palec.

Ach, co do cholery.

– Hej – zawołała.

Podeszła w ich kierunku, kołysząc biodrami i skręcając włosy między palcami. Stała blisko Chłopaka Skórzana Kurtka i zmierzwiła jego blond włosy.

– Dostałeś ładną kurtkę. Twój chłopak kupił ją dla ciebie?

- Zamknij się! – To było od Todda.

Moth zignorowała go.

– Albo może to był prezent od mamy i taty. Czy twoi rodzice wiedzą, że tutaj jesteś, palisz i sprawiasz kłopoty bezbronnym dziewczynom takim jak ja? – Zabrała kurtkę z łatwością i zrobiła wielkie widowisko z jej podziwiania. – Śliczny kawałek pracy. Stawiam, że to był prezent gwiazdkowy. Mam rację? – Spojrzała na jasnowłosego dzieciaka i uśmiechnęła się.

- Oddaj albo będziesz żałować.

- Tak. Tak jak żałowałam siedzenia na waszej głupiej ławce – odpowiedziała. – Myślę, że wezmę to ze sobą. Może to nauczy was chłopcy manier.

Todd zrobił krok do przodu.

– Oddawaj to, dziwaku. – Zapalił drugiego papierosa i popatrzył na nią przez te przebiegłe oczy. Moth nie mogła nic poradzić na podziw dla jego brawury – jego ręce w ogóle nie zdrząły.

– Może dowiemy się jak zrobiłaś wcześniej ten mały trik, zobaczymy czy to działa, kiedy ktoś inny tego spróbuje. – Potrząsnął świeżo jarzącym się papierosem i dmuchnął na nią chmurę dymu.

Moth działała bez zastanowienia – coś, co robiła zbyt wiele razy, według Theo. Dobra, i według jej ojca i ‘kochającej’ starszej siostry. Zamknęła swój umysł od czarnych myśli o Sinead i jej tacie, zdecydowana by nie oglądać ich rozczarowanych twarzy. Zamiast tego złapała Todda za gardło i przyciągnęła go do siebie tak szybko, że stracił równowagę. Była dużo niższa od niego, więc to musiało wyglądać komicznie. Jednocześnie zmagając się z papierosem w jego palcach i przytrzymała świecącą końcówkę koło jego pocącej się twarzy.

- Następnym razem będziesz miał to w oku. – Zaciągnęła się tym i dmuchnęła mu dymem bezpośrednio w twarz. – Od tej chwili to jest moja ławka.

Moth odepchnęła go od siebie na tyle mocno, że wylądował na tyłku. Rzuciła na niego papierosa, a potem podniosła skórzaną kurtkę. Otrzeptała ją, i kiedy popatrzyła na blondyna, który wpatrywał się w nią przerażonymi, wielkimi oczami, poczuła nagły przyływ adrenaliny. Część jej nie cierpiała robienia tego, ale była też większa część, która cieszyła się poczuciem władzy bez znaczenia, jak mocno próbowała temu zaprzeczyć. Pomagało to, że wyobraziła sobie twarz swojego ojca, szydzącego z niej za każdym razem, gdy grała twardą dziewczynę.

Wzruszyła ramionami w kurtce, sprawdzając dopasowanie i ciesząc się czuciem gładkiej satynowej podszewki. Była zbyt duża, ale to nie miało znaczenia.

- Bardzo ładna – powiedziała. – Dzięki.

Zostawiając ich z otwartymi buziami, Moth wróciła na chodnik. Idąc z powrotem do miasta, starała się ignorować nękający głód, który sprawił, że jej całe ciało brzęczało. Musiałaby zrobić teraz dodatkową przerwę na krew, cholera.

Theo chciałby, żeby Moth ukradła urnę pełną popiołów ostatnio ‘zmarłego’ wampira. To nie był nikt, kogo znała, co było w pewnym sensie ulgą, ale to wciąż było szalone zadanie.

Głównie dlatego, że ten konkretny wampir był ‘mistrzem’, który został zabity przez łowcę wampirów. I to nie jakiegoś łowcę, ale tego, który stał się paskudnym cierniem w boku Theo w miesiącach, kiedy nie było Moth.

Podobno był mężczyzną w średnim wieku, który nie wyglądał jakby mógł zabić komara, tym bardziej wampira, a jednak facet wciąż był na wolności po zniszczeniu sześciu wampirów.

Najnowsza ofiara, Maxim, był starym wspólnikiem Theo. Moth nie wiedziała, co jej pan chce z popiołów, ale wiedziała, że to nie może być nic dobrego.

O, i urnę obecnie umieścili gdzieś w mieszkaniu łowcy.

Jak do cholery miała znaleźć drogę do super-paranoidalnego osobistego domu łowcy wampirów – który bez wątpienia był chroniony przez wszystkie rodzaje technik i czary – coś, co Theo zostawił dla Moth, by dowiedziała się sama. Doskonale.

Skradała się granicą bloku mieszkalnego na wschodnim brzegu Ironbridge, zastanawiając się, dlaczego zabójca wybrał takie miejsce, by się zaszyć. To był zbyt wysoki poziom – zbyt

ekskluzywnie dla osoby, która powinna właściwie, chcieć trzymać siebie i biznes w ukryciu. Z drugiej strony, prawdopodobnie miał tonę pieniędzy robiąc to, co robi, więc może warto żyć wystawnie? I tak łowcy wampirów nie mieli wysokiej średniej długości życia.

Moth przejechała palcami po chłodnym metalu interkomu, zastanawiając się, gdzie Thomas Murdoch polował dzisiejszej nocy.

- Potrzebujesz wejść? – Głos dochodził bezpośrednio zza niej i Moth nie mogła uwierzyć, że nie wyczuła, że ktoś się zbliża. Traciła swój zmysł.

Obróciła się do twarzy młodego faceta, prawdopodobnie w podobnym wieku – zanim została przemieniona – z nastroszonymi blond włosami i intensywnie ciemnymi oczami. Nie mogła powiedzieć, jaki kolor miały, nawet pod światłami bezpieczeństwa bloku, ale to nie miało teraz znaczenia. Liczyło się to, że był cholernie wspaniały. I wysoki – znacznie wyższy od niej.

Facet uruchomił elektroniczne wejście czarnym breloczkiem zwisającym z pęku kluczy. Rzucił jej dziwne spojrzenie, kiedy otwierał drzwi, prawdopodobnie dlatego, że się w niego wpatrywała. Moth zastanawiała się, czy śliniła się z kącików ust.

- Proszę – powiedział.

- Dzięki – To nie było dokładnie tak jak Moth zaplanowała wejść do budynku, ale co miała zrobić? Nie mogła być niegrzeczna, nie, gdy był tak cholernie słodki, i może to okaże się być łatwiejsze niż wspinanie się na zewnętrzną ścianę.

Rozpięła skórzaną kurtkę i głośno strzeliły jej knykcie, natychmiast ubolewając nad miejscem działania. To nie była jej najbardziej kobieca cecha. Ośmieliła się iść dalej do holu... ostro zahamowała, kiedy przechodziła koło olbrzymiego lustra z miedzianą ramą. Cholera. Sposób, aby reklamować swój nieumarły stan. Cofnęła się i poczekała, aż facet przejdzie obok.

Dał jej jeszcze raz te spojrzenie, ale poszedł do dalekiego końca holu i nacisnął przycisk przywoływania windy. Gdy tylko zniknął w środku, Moth potruchtała w górę schodów i kierowała się na ostatnie piętro. Domyślała się, że pierdolony łowca wampirów będzie żył na dziesiątym piętrze budynku. Na jej szczęście, wytrzymałość nie stanowiła jej problemu, odkąd przemieniła się w wampira.

Dziesiąte piętro i wyłożony pluszową wykładziną przedpokój był cichy. Nie było tutaj luster – po prostu ozdobne drewniane boazerie wzdłuż ścian i niewyróżniające się oświetlenie brzęczące cicho nad jej głową.

Moth starała się nie myśleć o śmiertelnym nieznanym, który ją wpuścił; jego ciemne oczy zdawały się płonąć w jej umyśle, i przeszkadzało jej, że ktoś, kto był tylko człowiekiem najwyraźniej mógł aż tak na nią wpłynąć. Spędziła tyle lat z Theo, że zapomniała jak to jest czuć prawdziwą iskrę atrakcyjności dla kogoś innego. Zastanawiała się, kim był młody facet i w którym mieszkaniu mieszka.

Moth potrząsnęła głową, przypominając sobie jak wściekły byłby Theo, gdyby wszystko schrząniła. Jeśli chce się wydostać z Ironbridge i cieszyć się kilkoma ostatnimi miesiącami wolności, musi osiągnąć cel. Zadrzała, gdy przeszła pod urządzeniem klimatyzacyjnym, zadowolona, że założyła czarne dzinsy, gdy zatrzymała się w jednej z jaskiń Theo na przekąskę. Na szczęście, pomimo jego niechęci do 'szpitalnej krwi' nie powstrzymał swoich ludzi przed dogadaniem ich moralom.

Drzwi do mieszkania 1016 były w dalekim końcu korytarza, odsunięte do swojej własnej alkowy. Błyszcząca miedziana rączka wyraźnie odcinała się na tle ciemnego drewna, i serce Moth zaczęło łomotać, gdy zauważyła, że drzwi stoją otworem. Jedynie szczelina, ale wciąż widziała bordowy dywan i niewielki hol przez wąską lukę. Odsunęła swoje okulary słoneczne na czubek głowy i rozważyła, czy ta cała sytuacja jest pułapką.

Nie, to było szalone.

Oblizując wargi i chcąc by bycie wampirem oznaczało, że nie musiała czuć ludzkiej gonitwy adrenaliny, Moth zbliżyła się, starając się ignorować strach i pulsowanie podniecenia w jej

żołądku. Wypchnęła swoje zmysły by zobaczyć czy mogła poczuć lub usłyszeć, co czekało po drugiej stronie drzwi. Za późno złapała odprysk ludzkiego zapachu za nią – to było zmieszane z czymś tłustym i mechanicznym i całkowicie nieznanym.

Ostry ból przeszył jej kark i nagle spadała... osunęła się na podłogę i w ciemność.

&

Moth otworzyła oczy, ale natychmiast tego pożałowała, sycząc z bólu przez jasne światło oświetlające jej twarz. Spróbowała się ruszyć, ale zdała sobie sprawę, że jej ramiona są zabezpieczone czymś twardym i chłodnym. Coś, co pomimo, że zimne, spalało jej nagie ciało ramion.

- Nie walcz, zranisz siebie.

Moth zmrużyła oczy w kierunku męskiego głosu, ale trudno było coś dostrzec będąc otoczonym reflektorami skierowanymi na nią. Gorąco sprawiło, że jej skóra swędziała, a wargi były suche i popękane. Ktoś zdjął jej skórzaną kurtkę, zostawiając ją w ciasnej czarnej koszulce z krwawoczerwonym obrazkiem Dr. Franka N. Furtera z The Rocky Horror Picture Show.

Prawie zapłakała z ulgą, kiedy słoneczna lampa – lub cokolwiek to było – została wyłączona, zostawiając pokój rozświetlony przez migotliwy blask świec. Bardzo atmosferyczne. Moth była podparta o ścianę pod jednym z okien w pokoju. Po jej lewej stronie było duże łóżko pokryte szarą aksamitną narzutą, a po jego drugiej stronie od podłogi do sufitu była wbudowana szafa wzdłuż ściany. Dwa małe szklane stoliki trzymały kilka świec o różnych wielkościach. Człowiek siedział w fotelu po jej prawej.

Moth próbowała stanąć, ale uświadomiła sobie, że jej nogi są związane ciężkimi srebrnymi łańcuchami. Przynajmniej jej dżinsy udzielały jakiejś ochrony. Zmarszczyła brwi, zastanawiając się, dlaczego srebro, które krępowało jej nadgarstki było tak bolesne. Wampiry były wrażliwe na srebro, ale to nie było zazwyczaj takie złe. Bardziej jak drażniąca alergią – i nawet wtedy, tylko z naprawdę dobrą jakością srebra.

Patrzyła na podejrzliwie znajomo wyglądającego młodzieńca, który ją obserwował. Pierwszą rzeczą, którą w nim zauważyła było to, że trzymał jakiś rodzaj kuszy wymierzonej w nią, a jej celem było jej serce.

Powiedział. – Srebrne łańcuchy i kajdany są pobłogosławione, dlatego to boli.

Moth skrzywiła się. – To tylko mitologia.

– Więc dlaczego twoje nadgarstki płoną? – Jego usta drgnęły. – Musisz być wierzącą dziewczyną, dlatego to tak boli. Ironiczne, co?

- Kim jesteś? – Moth oparła się pokusie by pokazać kły, na wszelki wypadek gdyby naprawdę nie wiedział, o czym mówi. Biorąc pod uwagę pobłogosławione srebrne łańcuchy i kuszę, wątpiła czy to prawda, ale to oferowało jakiś komfort, podczas gdy jej umysł ścigał się by dowiedzieć się jak stąd wyjść.

Młody facet z nastroszonymi blond włosami i ciemnymi oczami pochylił się do przodu, gdy uśmiechnął się do niej, ale to nie był przyjazny uśmiech. Jego twarz była zalana blaskiem świec.

- Ty – szepnęła Moth.

- Jason Murdoch, do usług. Przepraszam, że tata nie może tutaj być by powiedzieć 'cześć'.

- Jesteś synem Thomasa Murdocha?

Skinął głową, wyglądając na zadowolonego, że się zorientowała.

– Jace. Uściskałbym ci dłoń, ale jesteś tam trochę związana.

Moth walczyła z przyprowadzającym o mdłości połączeniem paniki i furii. Ten mały (okej, nie tak mały) łajdak był Jace'em Murdochem, synem łowcy wampirów, który zdręczał Theo przez parę ostatnich miesięcy? Theo zapewnił ją, że bezpieczne jest włamanie się do

mieszkania Thomasa Murdocha o tej porze w nocy – polował podczas godziny duchów – ale nie było żadnej wzmianki o trenującym łowcy dzielącym przestrzeń z tatusiem. Kopnęła siebie psychicznie. Mocno. Dlaczego słuchała Theo? Powinna przeprowadzić pracę sama. Jace zmienił jeszcze raz pozycję, odchylając się i opierając kuszę o poręcz krzesła. Srebrne kółko błysnęło w jego lewej brwi, coś, czego nie zauważyła na dole w holu.

Również zdjął swoją kurtkę. Ubrany był tylko w białą koszulkę i niebieskie dżinsy, jego potężne przedramiona były przykryte atramentem, co sprawiło, iż sądziła, że może być starszy niż najpierw pomyślała. Moth zmrużyła oczy, dostrzegając jakiś rodzaj celtyckiej opaski na jego prawym ramieniu – tym, którym kierował kuszą i było twarde jak skała – i coś, co mogło być smokiem albo feniksem na jego lewym.

- Co ty tu robisz? – Moth była zadowolona słysząc, że jej głos jest silny.

Uniósł brew, tę przedziurawioną.

– Mieszkam tutaj. – Jace musiał zobaczyć zdziwienia na jej twarzy, bo wzruszył ramionami.

– No, raz na jakiś czas. Przeważnie jestem daleko w szkole, ale w przerwy wracam tu do Ironbridge.

Moth przetestowała kajdany, które gryzły jej nadgarstki. Ból był intensywny, ale szarpnęła je jeszcze raz i musiała przełknąć okrzyk triumfu, gdy poczuła, że to coś dało. Nie wystarczająco, jeszcze nie, ale może wkrótce.

– Nie wiem, po co zawracasz sobie głowę szkołą, jeśli wchodzisz do interesu rodzinnego z tatusiem. – Miała lekki, kpiący ton, mając nadzieję rozproszyć jej porywacza.

Uśmiechnął się i tym razem to wyglądało na prawdziwsze.

– Nie wiesz nic o mnie, ale ja wiem dużo o tobie? – Wstał i złapał coś, co leżało na podłodze przy jego stopach. Zanim mogła zobaczyć, co to było, zbliżył się – ciągle trzymając wymierzoną w nią broń – i uniósł przed nią lustro.

Spojrzał w dół, przechylając lekko głowę i popatrzył na nią z powrotem.

– Więc spojrzysz na to? Żadnego odbicia. Tak jak na dole.

Moth chciała zamachnąć się na niego, tak bardzo tego spróbować, ale stał poza jej zasięgiem. Upuścił lustro na dół i chwycił kuszę oburącz, celując nią wyżej, tym razem na jej czoło.

Biorąc głęboki oddech, Moth próbowała złapać jego wzrok. Gdyby mogła złapać go w swoim spojrzeniu, mogłaby osłabić jego wolę wystarczająco by ją uwolnił.

Jace potrząsnął głową.

– Uh, uh, nie, nie zrobisz tego mały wampirze. – Wyciągnął z kieszeni swoich dżinsów jej okulary słoneczne i wolno podszedł do niej z boku. - Zostań tam tak, jak grzeczna dziewczynka. Myślę, że będziesz wyglądać w nich o wiele lepiej, kiedy nie będziesz mogła użyć tych ładnych oczu na mnie.

Irytujące było to, że Moth nie mogła nic zrobić, gdy umieścił niezgrabnie ciemne okulary na jej oczach. Z jednej strony nie leżały dobrze na uchu, ale to dlatego, że walczyła mimo kuszy wymierzonej w jej głowę. Na pewno, gdyby naprawdę pragnął, żeby umarła, już byłaby kupą popiołów. Moth próbowała to sobie mówić. To pomagało.

I jak to dziwnie brzmiało - nawet dla niej – Jace Murdoch nie wydawał się takim czarnym charakterem. Cóż, jeśli nie liczyć faktu, że postrzelił ją strzałką usypiającą (lub czymś takim), a potem związał ją najbardziej nieustępliwym srebrem, o jakim kiedykolwiek słyszała. I jeśli zignorować fakt, że trzymał zablokowaną ostrą kuszę i załadowaną.

Moth obnażyła kły i syknęła, kiedy cofnął się, cały czas mając ją w linii wzroku. Co do cholery; mogła robić te całe przedstawienie wampira widząc czy może zachwiać jego pewność siebie?

Objął swoje stanowisko z powrotem na krzesło, wyglądając na nieporuszonego jej klami. Nie mogła znieść pragnienia, wyglądała prawdopodobnie komicznie, związana, bezradna i nosząca parę tandetnych, ogromnych ciemnych okularów.

Potwierdzając jej podejrzenia, Jace się uśmiechnął.

- Wiesz, że wyglądasz słodko?
- Wal się.
- To nie jest język dla damy.

Moth zmieniła pozycję na twardej podłodze, używając ruchu by ukryć fakt, że wyciągnęła łańcuch łączący jej kajdanki nieco dalej. Nie mogła zobaczyć, co zrobiła, ale mogła to poczuć; każde szarpnięcie przesyłało piekący ból do jej nadgarstków. Chociaż nie lubiła brać ludzkiej krwi od żywego dawcy (i nawet mniej lubiła ten smak) miała ochotę ugryźć tego faceta, gdy będzie wolna. Tylko by go okaleczyć, bo ona na pewno będzie mieć blizny ze srebrnych oparzeń przez resztę swojego bardzo długiego życia.

Jace powiedział. – Nie wyjdiesz z nich, wiesz. – Moth uśmiechnęła się do niego z wyższością i miała nadzieję, że to było irytujące.

- Po jaką cholerę chciałabym uciec, kiedy jesteś takim fascynującym przedsiębiorcą? Patrzyła na niego, kiedy przeniósł kuszę do drugiej ręki, podczas gdy sprawdzał swoją komórkę.

- Czekasz na telefon tatusia? Słodko. – Jace zmrużył oczy.

- Jak się nazywasz, mały wampirze?

Co szkodzi mu je podać?

- Moth.

Potrząsnął głową. – Twoje prawdziwe imię. Nie twoje głupie wampirze imię.

- To jest moje prawdziwe imię. – Teraz, w każdym razie. Teraz i na zawsze.

Uśmiechnął się tym paskudnym uśmiechem jeszcze raz; nie przebłyskiem prawdziwego humoru, który widziała wcześniej.

- Cokolwiek powiesz, Moth.

- Co cię to obchodzi, jak się nazywam? Tak czy inaczej, masz zamiar mnie zabić.

- Już jesteś martwa, jeśli o mnie chodzi. Byłaś w chwili, kiedy zostałam ugryziona.

Moth poczuła, jak coś w rodzaju żalu miesza się w jej piersi.

- Nie wiesz tego. To powiedział ci o nas tatko? – Przełknęła. – Może nie powinieneś brać wszystkich jego słów i dowiedzieć się czegoś sam.

- Jak tylko dostanę dyplom, będę z nim podróżował. To jest umowa.

- Nie masz na myśli polowania z nim?

Wzruszył ramionami. – Co z tego? Jesteś łowcą... jesteś wszystkimi drapieżnikami.

Wampirami, wilkołakami... Wszystkie potwory zabijają cokolwiek i kogokolwiek, aby przeżyć. – Posłał jej twarde spojrzenie.

- Tylko mi nie mów, że nigdy nie zabiłaś człowieka.

Poczuła nagle ulgę, że nie może zobaczyć jej oczu. Jej usta zacisnęły się w ciasną linię i chciała być lepszym kłamcą. – Nie muszę ci odpowiadać. Trzymasz pieprzoną kuszę wycelowaną w moje serce.

- Tak, tak myślałem. – Jego warga zadrzała. – Nawet nie możesz odpowiedzieć na to pytanie.

- Nie jestem ci niczego winna. Zaatakowałaś mnie i związałaś, a następnie zagroziłaś, że zamienisz mnie w pył. Wiesz w ogóle, jak dawno zostałam przemieniona? Pomyślałeś o tym? Zmarszczył brwi. – Co masz na myśli?

- Tatusi ci nie powiedział? Nowe wampiry nie rozpadają się tylko w stos popiołu. Skończysz z wieloma ciałami, których trzeba będzie się pozbyć. Masz na to odwagę? Tak czy inaczej, ile masz lat? Jesteś jeszcze dzieciakiem...

Jace wstał z twarzą wykrzywioną ze złości. Kusza zadrzała w jego ręce. – Zamknij pysk, krwiopijco.

Moth było niedobrze, ramiona ją bolały, a jej nogi były ciężkie na podłodze, ale doszła do niego. W końcu. Po raz ostatni przetestowała kajdanki, a potem pociągnęła, wdzięczna, że wywołana srebrem słabość nie powstrzymała jej przed łamaniem więzów. Łańcuch złamał się,

choć nadal zostawiał jej nadgarstki przykryte poświęconym metalem. Ale co z tego? Mogła użyć swoich rąk jeszcze raz, to było wszystko, co się liczyło.

Jace był teraz znacznie bliżej. Wyglądał na młodszego i mniej pewnego siebie. Moth polizała swoje wargi i strzepnęła włosy z oczu, zrywając okulary słoneczne. Uderzyły o ziemię właśnie wtedy, kiedy Jace wycelował kuszę w jej głowę. Moth była pewna, że słyszy jego bicie serca, może prawie smak strachu. Syn łowcy prawdopodobnie musiał dużo dowieść tatusiowi. Ironia jej nie zgubiła.

Uśmiechnęła się do niego, pomimo strachu, który zatrzepotał w jej piersi jak uwięziony ptak.

- Celujesz w niewłaściwe miejsce. Moje serce jest dużo mniejsze niż to.

Patrzyła, z dziwną mieszaniną złości i współczucia, jak przełknął. Mogła zobaczyć jak jego gardło pracowało, gdy oblizwał swoje wargi. Był prawie w zasięgu jej nóg.

Prawie...

- Masz tu ładną pułapkę. – Moth podparła swoje dłonie o podłogę. – Twój tata musi mieć dużo pieniędzy z pozbywania się wampirów, co?

Jedna kropla potu spływała po skroni Jace'a. Zastanawiała się jak by smakował, czy będzie miała szansę go spróbować.

Jego stopa posunęła się do przodu – jeden krok – i to wystarczyło.

Moth poruszyła się. Odsunęła ręce i rzuciła nogi w górę, zatraskując jej związane stopy wokół jego kolan i usłyszała satysfakcjonujące chrupnięcie kości.

Jace upadł wyjąc z bólu. Kusza spadła obok niego i puściła śmiertelną strzałę, ze świstem mijającą ucho Moth i lądującą, na szczęście, tuż pod oknem w wiekowym tynku. Rozpęd Moth pociągnął ją za sobą na niedoszłego porywacza. Jej nogi były beznadziejnie związane grubymi łańcuchami, ale jeszcze udało jej się rozciągnąć kolana i przyspilić Jace'a do ziemi. Jego twarz było koloru szarego, gdy walczył pod nią, zaskakując ją jego ludzką siłą pomimo urazu, ale z łatwością go trzymała.

- Przestań się ruszać. – Moth uśmiechnęła się słodko. – Nie chcesz się teraz zranić, prawda? – Złamała rzepkę faceta i wiedziała, że jest krową, ale... co do diabła. Zasłużył na to.

Nawet bez użycia nóg – nawet ze złamanymi srebrnymi kajdankami, wciąż wokół jej nadgarstków – Moth była silniejsza od niego. Pomimo różnicy w rozmiarach, obniżyła się na ramionach i położyła na nim z kolanami opierającymi się pomiędzy jego nogami. Gdyby wcisnęła kolana tak jak trzeba, Jace miałby dużo więcej bólu niż teraz.

- Więc – powiedziała ze złym uśmiechem. – Twój ojciec wie, że robisz tego rodzaju rzeczy? Wziął płytkie oddechy.

- Oczywiście, że wie. Wytrenował mnie.

- A ile masz lat?

- Ile ty masz lat?

Przekrzywiła głowę na bok. – Osiemnaście.

- To kiedy zostałeś zmieniona. Ile masz teraz lat? Naprawdę? – Moth zacisnęła wargi i pomyślała o pograniu z nim trochę więcej.

Ale co miała do stracenia?

- Mam dwadzieścia osiem.

Jace wyglądał na zaskoczonego. – Byłaś wampirem przez dziesięć lat? Niemożliwe.

- Mówisz, że wyglądam młodziej? Ah, dzięki. – Zatrzepotała rzesami.

Krzywiąc się, gdy zmieniał pod nią pozycję, wessał powietrze. – Nie, mam na myśli, że wydajesz się młodszą. Zachowujesz się tak.

Moth dała mu posmak swojego srebrnego spojrzania.

- Czasami. No dalej. Twoja kolej.

- Mam dziewiętnaście lat.

Poruszyła brwiami. – Och, kocham młodych mężczyzn...

- Złaż ze mnie, dziwolągu.

- Wszystko zyskasz pochlebstwami. – Moth wbiła swoje kolana. Mocno. Oczy Jace’a wywróciły się z bólem, a gdyby to było możliwe, jego twarz stałaby się jeszcze bledsza.

- Suka – wydyszał.

- Mówi facet, który podał mi środek usypiający – i nie wiem jak do cholery ci się to udało – związał mnie łańcuchami i kajdankami zrobionymi z pobłogosławionego srebra, a następnie zagroził, że sprzątnie mnie kuszą tatusia.

- Tak więc... co? Masz zamiar mnie teraz ugryźć, tak?

- Chcesz mnie? – Moth mogła poczuć jego strach. To odurzało i już próbowała walczyć z żądzą krwi wzrastającą w jej wnętrznościach. Mogła czuć panikujące bębnienie jego serca, gdy ich ciała się przycisnęły. Tylko dlatego, że miała niechęć do smaku krwi – zwłaszcza świeżej – nie znaczyło, że nie zrobi tego, co miała zrobić. Nie, jeśli chodzi o przetrwanie. Obserwowała wykrzywioną w bólu twarz Jace’a. To nie było przetrwanie, to była zemsta, ale nie zasłużyła na trochę tego? Nie wysuszy go, oczywiście. Tylko wzięłaby trochę. Tylko spróbować...

Moth zjechała rękami w dół po jego silnych ramionach i złapała jego nadgarstki, przesuwając je ponad jego głowę. Był bezsilny. Mógł wiercić się pod nią, ale ze złamaną ręką miał tylko jedną nogę, która pracowała i odczuwał prawdopodobnie zbyt dużo bólu by coś zrobić.

Jego jasnowłose kolce przywiędły, a pot spływał swobodnie w dół jego szyi i na dywan.

Wpatrywała się w jego ciemne oczy – jego brązowe oczy – i zrobiła coś, czego nie robiła od długiego czasu. Oh, dni spędzała na marzeniu o Theo i tych pełnych wargach. Ale było coś w cieńszych ustach Jace’a, że przyciągnęła go do siebie. Chociaż był pobity i obolały, ponura determinacja, która wciągała do tej ciasnej linii, mówiła o rodzaju człowieka, jakim zamierzał się stać.

Moth oblizwała swoje wargi i pochyliła się bliżej. Oczy Jace’a rozszerzyły się, gdy uwięziła go w swoim spojrzeniu, skłonna do trzymania go dalej, tylko na chwilę, podczas gdy przyciskała swoje usta do jego i dostarczała miękkie pocałunki. Smakował jak strach i wściekłość, pożądanie i ból, i to było naprawdę pyszne. Wypełniona żalem i rosnącą żądzą krwi, Moth odsunęła się – musiała się stąd wydostać. Ale najpierw musiała znaleźć cholerną urnę żalobną.

Zanim mogła odsunąć się dalej, noga bez obrażeń Jace’a niespodziewanie obróciła się, zaciskając się na jej przykutej łańcuchem nodze i przytrzymała ją w miejscu, gdy przycisnął swoje usta do jej.

Mózg Moth zarejestrował krótki moment WTF? kiedy pogłębił pocałunek. Nie powinien zostać sparaliżowany jej srebrnymi oczami? Wciąż nie opanowała w pełni sztuki przymusu, ale miała jakąś umiejętność. A potem celowo wyłączyła tę część umysłu – tę, która się obawiała – gdy cieszyła się tą chwilą; to było zbyt dawno odkąd była tak całowana. Zbyt długo odkąd była trzymana w ramionach i dotykana.

Moth w końcu otworzyła oczy i odsunęła się. Spuściła wzrok na jego twarz, a on odwzajemnił spojrzenie, ciemne wyzwanie było ukryte w głębi jego oczu. Na jego wargach grał pół uśmiech i ruch wysłał odrobinę krwi spływającej wzdłuż jego warg.

Zanim mogła zapanować nad impulsem, Moth rzuciła się do przodu i złapała lśniąca szkarłatną kropelkę czubkiem języka. Smakowało surowo i cierpko, i zadrzała z mieszaniny pragnienia i obrzydzenia, gdy to połknęła. Oblizwała wargi i próbowała zepchnąć falę winy, która na nią spłynęła. Szalony sposób odżywiania się tak, tylko przez zadrażnienie go jej zębami. To był przypadek – gorący moment.

- Gdybyś puściła moje ręce, mógłbym otrzeć resztę krwi. – Ton Jace’a był obojętny, wszystkie oznaki bólu i paniki wydały się zniknąć. Odzyskał swoją kontrolę właśnie wtedy, gdy ona ją straciła.

Moth wpatrywała się w świeżą krew pochodzącą z cięcia na jego dolnej wardze. Puściła jego ramiona i odepchnęła się od niego, odsuwając się na bok i wlokąc się w poprzek pokoju do ściany obok najbliższych drzwi. Jej nowo nabyta skórzana kurtka zwisała z haka opartego o ciemne drewno. Złapała ją i szarpnęła w dół, zrywając z haka brązowy płaszcz, który tam wisiał. Zawijając materiał wokół jej rąk, chwyciła grube srebrne łańcuchy przykrywające jej nogi i pociągnęła.

Metal był ciężki i mocny – nawet bez tak zwanego ‘błogosławieństwa’ (co Moth zaczynała podejrzewać, że w rzeczywistości był jakimś rodzajem magicznego zabezpieczenia) – ale szybko odzyskiwała swoją siłę.

Łańcuchy złamały się, miniaturowe kłódki rozprysły się na kawałki i porzrzuciły wokół niej po dywanie.

Jace leżał dokładnie tam gdzie go zostawiła. Jego zraniona noga była pochylona w dziwnym kącie i Moth zaczęła się zastanawiać czy powinna go tak zostawiać. Potrząsnęła głową. O czym ona do cholery myśli? Zrobiła się miękka, zapominając, co zrobił jej w pierwszej kolejności. Jeden pocałunek i zupełnie straciła głowę.

Wstała na nogi, wzruszyła ramionami w kurtce i starała się ignorować słabe pieczenie wokół każdego nadgarstka. Moth podeszła do rzekomego łowcy wampirów i trąciła go palcem jej buta.

- Okej, Van Helsing. Gdzie twój ojciec trzyma swoje trofea?

Kaszlnął i podparł się na łokciach. Starał się ukryć grymas twarzy, kiedy próbował podnieść się do pozycji siedzącej. – Co masz na myśli?

- Daj spokój, nie mam na to czasu. Kosztowałeś mnie... - Spojrzała na zegar na stoliku nocnym i prawie wysapała. – Dwie pieprzone godziny?! Coś ty do diabła ze mną robił? – Zwęziła oczy. – Zapomnij o tym. O której godzinie tatuś będzie w domu? – Jace spiorunował ją wzrokiem. – Nie ma go w domu nigdy przed świtem. – Moth poczuła jak napięcie w jej wnętrznościach łagodnieje.

- Więc... Pokój trofeum?

- On nie bierze skalpów, jeśli o to ci chodzi.

Przewróciła oczami. – Popioły, Jace. Gdzie on trzyma popioły?

- Nie trzyma.

- Tak, jasne. Powiedz mi, albo rozniosę to miejsce na kawałki po tym jak złamię ci drugie kolano. – Posłała mu zły uśmiech. – Masz ochotę na wózek inwalidzki przez następne trzy miesiące?

Moth była zdumiona widząc, jak jego palce drgnęły w kierunku rozładowanej kuszy. Położyła na tym swój ciężki but z zadowalającym chrzęstem.

- Tik-tak, Jace.

- Dobra. Nie ma żadnego pokoju trofeum. – Poniósł rękę, gdy zobaczył reakcję Moth na odpowiedź.

- Naprawdę nie ma. Tata trzyma jakieś urny w kuchni.

Zmarszczyła brwi.

– Urna... w kuchni?

- Szafka pod zlewem. – Położył się na podłodze i zamknął oczy.

- Wiesz, że twój stary to dziwak?

- Pieprz się.

Moth nie mogła powstrzymać uśmiechu, który rozprzestrzenił się na jej całej twarzy. Posłała mu całusa i włożyła do kieszeni jego komórkę i swoje ciemne okulary, które były za fotelem. Wyszła z pokoju i szybko sprawdziła wszystkie inne drzwi przed znalezieniem kuchni w dalekim końcu labiryntowego mieszkania.

Kuchnia była zaskakująco duża, kwadratowa i napełniona chromem i nowoczesnymi urządzeniami, które nie wyglądały jakby były dużo używane. Mała umywalka i urządzenie do

usuwania świeciło jasnym światłem, a pod tym było coś w rodzaju szafki, gdzie spodziewałbyś się znaleźć środki czyszczące.

Tyle, że wewnątrz szafki było przynajmniej tuzin urn żałobnych. Dlaczego łowca wampirów przechowywałby trofea swoich ofiar pod zlewozmywakiem, ze wszystkich miejsc? Może tylko dlatego, by nikt kiedykolwiek nie pomyślałby, aby uważać to za schowek jego nagród. Albo Thomas Murdoch był szalonym łajdakiem. W każdym razie, jakie to do cholery ma znaczenia? Byle wziąć tą prawidłową i stąd wyjść.

Moth zadrżała, gdy dotknęła urny na przedzie. Fu, odrażające. Jak ma wiedzieć, którą chciał Theo? Skubnęła swoją dolną wargę, jej umysł powędrował ku pocałunkowi z Jace'em. On może być synem zabójcy, z poważnym problemem w kontaktach z ludźmi, ale nadal był cholernie gorący. Naprawdę powinna oddać mu komórkę, gdy wyjdzie – to kolano potrzebuje dużo opieki lekarskiej.

Odsunęła myśli od nastoletniego łowcy wampirów i zamiast tego usiłowała sobie przypomnieć, co Theo jej powiedział o zmyciu mistrza wampirów. Ostrożnie przesunęła każdą urnę, szukając wskazówek i odetchnęła z ulgą, gdy pomyślała, aby popatrzeć pod spód. Każdy miał wpisaną datę – przypuszczalnie datę śmierci. Moth wiedziała, kiedy Maxim został zabity, więc to była tylko kwestia minut zanim znalazła dobry pojemnik. Przynajmniej miała nadzieję, że to jest dobry pojemnik.

Wkładając ceramiczną urnę pod ramię, pomodliła się, by to nie był jeden z jej niezdamnych dni. Będzie musiała iść po schodach, mimo, że była skłonna do wyjścia przez okno i chybotanie po murze, ale niosąc popioły, które miały ponad pięćset lat i przylegając do ściany w stylu Spidermana, prawdopodobnie nie było dobrym planem. Szczególnie, że zawartość tej urny – nie ważne jak obrzydliwa – była jej biletem do wyjechania z Ironbridge na następne dwa miesiące.

Gdy w końcu opuściła mieszkanie, zastanawiając się na ile niewidzialnych alarmów trafiła w kuchni, Moth rzuciła komórkę Jace'a za drzwi sypialni. Może znajdzie ją zanim jego tata wróci do domu. Nie miała czasu zrobić dla niego więcej. Theo czeka na urnę i bez wątpienia zastanawia się gdzie do diabła jest.

Moth przewróciła oczami. Niech czeka – jakby w ogóle martwił się, że niemal zginęła dzisiejszej nocy.

Tyle, że Theo się martwił. Wydawał się bardzo zmartwiony, gdy zostawił Moth zdezorientowaną i bezbronną kiedy stanęła naprzeciw swojego ojca następnego dnia.

- Nie wiem, jakiego rodzaju umowy dokonałaś z Diabłem, Marie O'Neal, ale czy szczerze wierzysz, że nie zauważyłem, że się nie starzejesz od dnia twoich osiemnastych urodzin?

Moth – jeszcze znana jako Marie dla jej rodziny – spojrzała na ojca w szoku. Chciała powiedzieć coś rozsądnego; coś, co przekonałoby go, że chrzani. Wszystko, co mogłoby sprawić, żeby uwierzył, iż nie była potworem, za którego ją podejrzewał. Ale O'Nealsowie byli przesadną gromadą, i jej ojciec był najgorszy z nich.

- Tato...

- Wynoś się z mojego domu. Twoja matka jest w grobie od roku, więc nie masz tutaj żadnej sprawy.

- Nie możesz mnie powstrzymać przed widzeniem Caitlin! – Jej młodsza siostra będzie zdruzgotana, gdy dowie się, co się stało. Jak Moth mogłaby jej to wyjaśnić bez ujawnienia prawdy?

Przychodzenie do domu było pewnie błędem, ale Moth odmówiła opuszczenia nabożeństwa żałobnego jej matki. Pomijając fakt, że chciała być tu dlatego, że nie pokazanie spowodowałoby tylko więcej pytań. Nie była w domu odkąd mama umarła w zeszłym roku i nawet wtedy jej ojciec gadał, że jego średnia córka żyje teraz wśród narkotyków i 'Bóg także to wie'. Jednakże spojrzenie wstrętu na jego pokrytej zmarszczkami twarzy – cień strachu,

który pozostał w jego bładoniebieskich oczach – mówiło, że teraz wierzy w coś zupełnie innego.

Rory O’Neal zawsze był pobożnym człowiekiem, dzięki jego surowemu katolickiemu wychowaniu przez starszych imigracyjnych rodziców, ale patrzył na Moth jakby była diabłem wcielonym.

Popatrzył na nią gniewnie. – Caitlin jest wystarczająco duża, by zobaczyć się z tobą we własnym czasie, daleko stąd, a Sinead czuje to samo, co ja.

Nie mogła się oprzeć szydzeniu z tego. – Oczywiście, że tak. – Moth i jej starsza siostra nigdy nie były sobie bliskie.

- Nie mów o swojej siostrze takim tonem. Przynajmniej nie uciekła po tym jak twoja matka zmarła.

Moth zignorowała go i obserwowała artretycznego psa rodziny, który lał wokół niechlujnego podwórka. Starła się nie myśleć o zadowolonej z siebie starszej siostrze, kiedy obserwowała jak ich ojciec zaprowadził Moth na ganek za ostatnim wychodzącym gościem. Przynajmniej tata poczekał do czasu, gdy ludzie odpowiednio powiedzieli swoje wyrazy uszanowania, przed wypieraniem się jej i powiedzeniem jej, że była czymś innym niż człowiekiem.

Mimo, że chciała go nienawidzić, jak mogła naprawdę obwiniać swojego ojca?

Połykając nieprzelane łzy, zadrżała w szybko chłodzącym się cieniu. Nie mogła powstrzymać się od zastanawiania, co poczułaby, gdyby słońce rozgrzewało jej twarz. Jak zwykle siedziała na podstawie drewnianego ganku w kończący się pogodny, wiosenny dzień.

- Czy ty w ogóle słyszysz, co do ciebie mówię, Marie? – Głos ojca włamał się do jej rozproszonych myśli. – Nie jesteś tu mile widziana. Zostaw nas w spokoju.

Łzy paliły jej oczy – oczy, które ojciec nalegał, by odsłoniła po mszy upamiętniającej życie i śmierć mamy – i błękitne kontakty, które powodowały ból bardziej niż kiedykolwiek. Moth chwyciła okulary sztywnymi palcami i oparła się pokusie by zmiażdżyć je w kurz. Nagle chciała wrócić do tego pokoju z kiepskim naśladowcą łowcy wampirów.

Obraz Jace’a nagle przemknął jej w myślach, jasny i czysty jak nowo wyrobione zdjęcie. Zacisnęła zęby i odepchnęła obraz. Był człowiekiem, i nie tylko, był jej wrogiem.

Głos Moth był ochrypły.

– Rozumiem, co mówisz, tato. Po prostu nie wiem jak możesz to mówić do mnie. Jestem twoją córką?

Jego oczy były puste. – Nie, nie jesteś. Już nie. – Marie ‘Moth’ O’Neal patrzyła na swojego ojca przez dłuższą chwilę. Jego twarz została chłodna, wiedziała, że już nigdy nie roztopi się w uśmiechu – nie dla niej.

Caitlin była jedynym człowiekiem, na którego mogła teraz liczyć. Musiała nauczyć się zaakceptować swoją nową ‘rodzinę’; rodzinę, która uwielbiała księżyc, a nie słońce, która nie patrzyła na nią jakby była potworem.

Kiedy wróciła do Theo z ledwo zabliźnionymi bliznami na ramionach – i srebrnymi kajdanami powodującymi w każdym momencie nowe oparzenia – jej pan był wściekły. Nie na nią, jak się bała, ale na młodego człowieka, który ośmielił się zaatakować jego ‘małą Moth’.

Rozerwał pobłogosławiony metal z jej nadgarstków z kamienną twarzą. Tajemnicza urna wydawała się zapomniana, gdy trzymał ją w swoich ramionach i gładził jej włosy.

Odwracając się od domu, w którym się wychowała, Moth czuła gorzki smak popiołów na języku. Jej stare życie rozpadało się wokół niej, ale przypięta okrutny uśmiech na usta, kiedy przemierzała miasto. Włożyła swoje okulary słoneczne na miejsce, podniosła plecak wyżej na ramieniu, i zastanawiała się jak długo zajmie jej powrót autostopem do Bostonu.

Zarobiła swoje dwa ostatnie miesiące wolności, i miała zamiar cholernie dobrze je spożytkować.

Ostry punkt

BY MARIA V. SNYDER

Ava spojrzała na zaśmiecone przejście.

To nie może być tutaj, pomyślała.

Pozgniatanie gazety, worki śmieci, błoto i kałuże wzdłuż wąskiej ulicy. Ale wyblakły znak Accadamii della Spada wisiał nad drzwiami. Dziwne znany budynek znajdujący się na kompletnym zadupiu Żelaznego Miasta.

Poprawiła torbę na ramieniu, która powodowała już ból karku. Ponieważ mieszkała na przedmieściach miasta, dostarcenie tutaj autobusem zajęło jej godzinę. Ava naciągnęła kaptur na głowę, gdy zimne krople deszczu zaczęły spadać z nieba.

Uczucie zdenerwowanie skręciło jej żołądek. Powinna być podniecona i zachwycona, to było spełnienie jej marzeń. Być może lokalizacja i deszczowy poniedziałek spowodowały bark podniecenia. Ukłucie niepokoju spowodowało gęsią skórę. Zatrzymała się, była pewna że ktoś ją obserwuje, ale nastolatek wylegujący się na schodach po drugiej stronie ulicy miał naciągnięty kaptur na twarz, wyglądał jakby spał.

Gdy zauważyła wpatrzona w nią niebieskie duże oczy uśmiechnęła się. Patrząc na nią mały chłopiec przez brudne okna Akademii. Kiedy podeszła bliżej schował się za matkę. Przez okno Ava rozpoznała Karate DOJO. Rodzice siedzieli na składanych krzesłach, podczas gdy ich dzieci ubrane w zadurzę stroje z jasnymi pasami, zgodnie wykonywały kopnięcia. Młody mężczyzna z czarnym pasem chodził dookoła nich poprawiając postawę lub chwalać. Jego włosy sięgające ramion były spięte w koński ogon, odkrywając tatuaż na szyi. Dwa czarne znaki były podobne do chińskiej kaligrafii. Ava stała przy oknie obserwując zajęcia. Ja nie ociągamy się, ja się uczę. Powolne kopnięcia były bardzo podobne do pracy nóg szermierza. Nauczyciel dobrał uczni w pary i teraz ćwiczyli kopnięcia na ochraniaczach.

Ava przykula uwagę nauczyciela i patrząc na nią ściągnął brwi. Odskoczyła od okna jakby została uderzona, po chwili odeszła. Kamienne wejście było zniszczone przez graffiti. Zmarszczyła nos przez zapach moczu i nacisnęła dzwonek.

- Nazwisko? – Zatrzeszczał interkom

- Ava Vaughn.

Kliknięcie otworzyło ozdobne drzwi. Zewnętrzna strona podupadłej części śródmieścia zakryła nowoczesne studio szermiercze. Zdumiona Ava wpatrywała się w szerokie, otwarte przestrzenie. Studenci ubrani w białe szermiercze stroje odbywali ćwiczenia na długich wąskich czerwonych pasach, inni ćwiczyli gwałtowne pchnięcia do przodu i ataki przed lustrami. Odgłos metalu, brzęczenie głosów i mechaniczny stłumiony warkot z sprzętu fitnessu wypełniał powietrze. Instruktor Clipboard zbliżył się.

- Ms. Vaughn?

Przytaknęła.

Przyjrzał się jej, wyraźnie nie zrobiła na nim pozytywnego wrażenie.

- Przebierz się i rozgrzej. Sprawdzimy cię.

Zanim zdążył ja przegonić, powiedziała.

- Ale Bossemi ...

- Zaprosił cię, wiem. Nie znaczy, że będziesz z nim trenować. Po pierwsze musisz zrobić na nas dobre wrażenie - wskazał swoim ołówkiem kierunek do szatni w głębi.

Gdy Ava przebrała się, pomyślała o regionalnych zawodach w Trzech Rzekach. Walczyła dobrze i wygrała wszystkie konkurencje, otrzymała zaproszenie od Sandro Bossemi, trzykrotnego mistrza olimpijskiego z Włoch. Szermierze z całego świata pragnęli kształcić się w Accadamii della Spada, którą potocznie nazywano Akademią Miecza. Wstęp do tej szkoły był tylko dla zaproszonych. Ava marzyła by otrzymać zaproszenie by tu trenować.

Jednak, rzeczywistość to inną sprawą. Choć pokonała wszystkich przeciwników na zawodach, studenci w Akademii przeciwstawiali się jej wysiłkom, sprawiali że ćwiczenia nie były łatwe. Nawet nie mogła się usprawiedliwić młodym wiekiem. Paru czternastolatków i piętnastolatków trenowało tu, sprawiając, że ona czuła się staro jako siedemnastolatka. Po pierwszych ćwiczeniach, Ava wątpiła, czy zaproszenie nie zostanie cofnięte.

Ogarnęła ją panika. Co zrobić? Chwyciła się za dudniące serce. Będę więcej trenować i Bossemy zaprosi mnie jeszcze raz. Gdy oddała swój ostatni atak, Mr. Clipboard podszedł do niej. Oceniał ją przez cały wieczór. Przygotowała się na wyrzucenie.

- Jutro będziesz pracować z Signore Salvatori - powiedział. Przerzucił kartki w notatniku.- Uzgodnimy czas treningów z twoim wychowawcą. Potrzebuje danych kontaktowych.

Zajęło jej chwile by dojść do siebie po takiej niespodziance.

- Uczęszczam do James Edward High.

- O. – Zaznaczył to w notatniku. - W takim razie możesz ćwiczyć z Salvatori od siódmej do dziesiątej wieczorem. Mówisz po włosku?

- Nie, ale jestem biegła we francuskim. – Do tej pory wszystkie zajęcia szermiercze były prowadzone po francusku, była zdeterminowana by się go nauczyć.

- Salvatori uczy tylko, po Włosku, więc może nauczysz się kilku słów przez swoimi lekcjami każdego wieczoru.

- Każdego?- Ava spróbowała dotrzymać kroku napływającym informacjom.

- Jeśli mamy nauczyć cię czegoś, musisz tu być każdej nocy, i od drugiej do piątej w sobotę. W niedzielę będziesz mieć wolne; Sandro Bossemy jest pobożnym katolikiem.

Ogłuszona, Ava poszła do szatni. Sprzeczne uczucia walczyły w niej. Została przyprawiona o dreszczyk emocji, gdy myślała że zostanie wyrzucona, ale zniechęciła się przez morderczy szkolny harmonogram. Zanim zdążyła się przebrać, szatnia opustoszała. Byłaby zachwycona gdyby mogła zostawić swoją ciężką torbę tu, ale miała jutro trening po południu. Domyśliła się, że swoją pracę domową będzie odrabiać w rozklekotanym autobusie. Gdy obliczyła swój czas podróży, zdała sobie sprawę, że również będzie jeść obiad w autobusie. Kanapki z masłem orzechowym z galaretką będą jej daniem głównym w oparach diesla. Cudownie. Wyciągnęła telefon komórkowy, zadzwoniła do matki.

- Donny's 24 – obiady cała dobę, w czym mogę pomóc?

- Chciałabym duże lody bananowe z bitą śmietaną na wynos, proszę. – powiedziała Ava. Mama zaśmiała się.

- Ava, cukiereczku! Jak trening?

- Jak w filmie Piraci z Karaibów, mamó. Złupiłem i spaliłem.

- Popisywanie się na pierwszych zajęciach nie jest dobrym sposobem by zdobyć przyjaciół.- mama powiedziała to przyjaznym tonem, ale Ava wiedziała, że mały przytyk jest skierowany bezpośrednio do niej. Dla Avy, szermierka zawsze zajmowała pierwsze miejsce. Nie miała czasu dla przyjaciół, nie musiała. Jej matka się z tym nie zgadzała.

Ava wzięła głęboki uspokajający oddech.

- Jak szybko możesz po mnie przyjechać?

Cisza. Jej matka pracowała na całym etat i uczęszczała do szkoły wieczorowej, ale aby płacić za szkolenie Avy w Akademii skróciła swój kurs do jednych zajęć tak by mogła podjąć inną pracę jako menedżer nocnej zmiany w Donny. Nie osiąga się poziomu olimpijskiego bez poświęcenia.

- Możesz przyjechać podczas przerwy obiadowej.- sprowokowała Ava.

- Ava, nie mogę. Mam tylko trzydzieści minut przerwy na obiad. Możesz kogoś poprosi o podwiezienie? Przełamałabyś pierwsze lody żeby poznać przyjaciół.

Jej palce zacisnęły się przez telefon. Jej matka nigdy nie zrezygnuje. Może gdyby miała wymyślonego przyjaciela, jej matka by odpuściła.

- Już poznałam przyjaciółkę - Ava powiedziała.

- Już? - W głosie swojej mamy usłyszała wątpliwość.

- Tak. Ma na imię Tammy, i mieszka w Copperstown. Jej rodzice są właścicielami Copper Tea Kettle.

- O! To, to miejsce z tymi wszystkimi wymyślnymi herbatami?

- Tak. Są fanami herbaty. Posłuchaj, Mamo, muszę iść. Ona mnie podrzuci. Do widzenia. - Ava wyłączyła telefon, i sprawdziła godzinę. Dziesięć minut do następnego autobusu.

Wybiegła z szatni i prawie wpadła na grupę szermierczych nauczycieli, wliczając w to Mr. Clipboard rozmawiającego z instruktorem karate. Wszyscy odskoczyli do tyłu gdy ją dostrzegli, przerwali.

- Przepraszam. Nie chciałam was przestraszyć - powiedziała do ciszy. Żadnej odpowiedzi. Ponieważ minęła ich, poczuła ogień na plecach od ich spojrzeń. To było przyprawiające o gęsią skórę. Jeśli facet od karate nie chce by ludzie zaglądali przez okno, to powinien kupić zasłony. Gdy doszła do przystanku autobusowego, zrzuciła swoją ciężką torbę na chodnik z ulgą.

- Okłamałaś swoją matkę - powiedział mężczyzna za nią.

Odwróciła się. Facet karate stał pięć stóp od niej, spoglądając na nią z oburzeniem.

- Tammy nie jest jednym ze studentów Akademii.

Zapłonęła gniewem.

- Ty zbrojeńcu. Nie powinieneś pałętać się przy szatni dla dziewczyn.

- A ty nie powinnaś przyjeżdżać tu sama - jego skupione spojrzenie przekłuło jej ciało jak ostrze miecza - twój rodzaj zawsze jest zbyt pewny siebie - powiedział.

- Mój rodzaj? Szermierze? - Strach obudził jej się w żołądku. Może to był jedna z tych sytuacji, przed którymi ostrzegła ją matka.

- Możesz zrezygnować z zgadywanek. Wiem, czym jesteś.

Był niebezpiecznie stuknięty. Powinna krzyknąć albo powinna zadzwonić po policję? Włożyła swoją rękę do kieszeni czarnej skórzanej kurtki. Złapała swój telefon, rozglądając się po ulicy o pomoc. Nikogo.

Facet karate wyciągnął butelkę. W jednym płynnym ruchu, zerwał gwałtownie nakrętkę i cisnął zawartość w jej twarz. Krzyknęła i chwyciła się za policzki. Kwas? Wycierając oczy w panice, przygotowywała się na ból. Nic. Kilka kropel płynu skapywało do jej ust. Woda?

Satysfakcjonujący uśmiech faceta karate przygasnął.

- Dlaczego to zrobiłeś? - zapytała się. Ava wytarła do sucha twarz w rękaw swojej kurtki i zdjęła — teraz mokre — włosy blond z oczu.

- Jesteś nie... Pomyślałem... - Bełkotał i wydawać się wstrząśnięty. - Ale jesteś taka blada...

Ava zauważyła autobus.

- Trzymaj się ode mnie z daleka ty czubku, albo następnym razem zadzwonię po policję.

Autobus zapiszczał zatrzymując się i drzwi otwierając się zasyczały. Złapała swoją torbę, pobiegła sprintem po schodach i usiadła na miejscu za kierowcą. Piorunując wzrokiem dziwaka, nie odprężyła się do czasu, gdy drzwi zamknęły się i autobus odjechał. Ava bała się powrotu do Akademii. Wszystko przez tego dziwaka karate. Ale to nie powstrzymała jej przed pójściem. O nie. Uwielbiała szermierkę i

miała nadzieję dołączyć do złotej medalistki Mariel Zagunis w księdze rekordów. Mariel była boginią! Była pierwszą Amerykanką w tym stuleciu, która wywalczyła złoto szablą. Stulecie! Ava marzyła o dokonaniu tego floretem. Walczyła trzema rodzajami broni, ale atak floretem z jego dywersją, unikami i nagłymi atakami podobał się Avie bardziej niż szpada albo szabla. Sport karmił jej ambicje, podczas gdy rytm i intonacja ruchów sprawiły, że czuła się elegancka i pełna gracji. Nawet lubiła zbierać materiały o historii sportu, co zaskoczyło jej matkę odkąd coś nie skomplikowanego jak floret w jej ręce przestał protestować tak szybko jak to było możliwe.

Trzymając telefon komórkowy — z wykręconym 911 — w jednej ręce, i z torba w drugiej, Ava wysiadła z autobusu. Z kciukiem gotowym by wcisnąć guzik, rozejrzała się po ulicy. Kilku rodziców prowadziło swoje dzieci na zajęcia z karate, i dwaj Akademicy studenci poszli do szkoły. Ava puściła się biegiem by dogonić szermierzy. Podążyła tropem za nimi pomimo że wyglądali na zdenerwowanych. Gdy spostrzegła, jak dziwak karate uczy swoją klasę, przypomniała sobie by oddychać. W Akademii powinna czuć się bezpieczna.

Mr. Clipboard wyglądała na zaskoczonego, gdy ją zobaczył. Ava zastanawiała się czy powinna pytać go o wczorajszy wieczór albo i nie? Rozmawiał w grupie z dziwakiem karate. Stuknął w swój zegarek, gdy zbliżyła się. Nie miała czasu. Zapyta go później.

Do momentu, gdy skończyły się zajęcia, Ava już nie troszczyła się o dziwaka karate. Wszystko, czego chciała to wpełznąć do wnętrza szafki i ukryć się. Salvatori nie powiedział żadnego z włoskich słów, których nauczyła się. Ostatecznie, przestał rozmawiać i używał gestów przez większość części lekcji, regulując jej postawę za pomocą dotyku. Poprawił wszystko czego nauczyła się od trenera Phillipsa. Gdy pomyślała, że opanowała ruch, dowiódł jej że się myliła. Poirytowana i upokorzona Ava poczuła się jeszcze raz jak początkujący student. Trener Phillips traktował ją jak profesjonalistę podczas gdy Salvatori działał jakby pracował z amatorem. Może powinna prosić o przydzielenie innego trenera. Na końcu lekcji, Salvatori odprawił ją lakonicznym gestem. Wyczerpana, szła do szatni i zatrzymała się.

Dziwak karate oparł się o boczną ścianę, patrząc na nią. Nikt nie wydawał się martwić jego obecnością. Ava nie miała siły by się przejmować. Przebrała się w pośpiechu, chcąc wyjść z Akademii zanim opustoszeje.

Ponownie przygotowała sobie telefon z szybkim wybieraniem. Była w połowie drogi do drzwi, gdy dziwak karate dogonił ją. Przynajmniej tym razem kilka osób było w pobliżu.

- Odejdź - powiedziała, wymachując telefonem.

- Posłuchaj Ava, przepraszam za wczorajszy wieczór - powiedział.

Znał jej imię. Cofnęła się. Chwileczkę. Czy on właśnie przeprosił? Zgodnie z teorią mojej matki, ród męski nie potrafił przeproszać.

- Pomyślałem, że jesteś kimś innym - odsunął włosy z dala od twarzy, próbując wyglądać szczerze. Gdyby nie był jakimś dziwolągiem, byłby przystojny — szarawo niebieskie oczy, zakrzywiony nos z drobnymi azjatycki cechami. Ale przesadził ze strojem wojownika karate z ciasną czarną koszulką bawełnianą i czarnymi dżinsami. Może powinna nazywać go Ninja Dziwak. Tak czy owak, jego wyjaśnienie było słabe. Nie przekonał jej.

- Wiem, że to brzmi dziwnie. Mieliśmy kłopoty... inna szkoła. I pomyślałem, że jesteś jednym z nich, szpiegując nas.

- Więc rzuciłeś we mnie wodą? To jest słabe. Spadaj.

Przeszła obok niego. Ale podążył za nią.

- To długa historia, nie uwierzylałyś, jeśli bym ci ją opowiedział.

- Świetnie. Obojętnie. Przepraszam przyjęte, teraz odejdz. – Popchnęła drzwi, mając nadzieję ze zostanie za nimi.

Dotrzymywał jej kroku.

- Przynajmniej pozwól mi to ci wynagrodzić. Co powiesz o darmowych lekcjach?

- Jak być palantem? Nie, dziękuję.

Niewzruszony, wskazał ręką na szkołę.

- Nie. Isshin-Ryu karate. Wiesz, sztuka walki? Wszyscy szermierze powinni mieć krzyżujące się treningi. Karate jest świetne dla poprawy twoich odruchów i pracy nóg.

- Nie. - Nie ufała mu.

- Jeśli chodzi o to co ostatnio...

- Posłuchaj, nawet cie nie znam, i szczerze, nie interesuje mnie to- kontynuowała do idąc na przystanek autobusowy.

Szedł za nią.

- Jedno z tego możemy załatwić - podał jej rękę. - Jestem Jarett White, właściciel Białego Hawks Isshin-ryu Klub.

Właściciel? Nie wyglądał dość staro, ale uścisnęła jego ciepłą rękę. Trzymał ją przez moment niezgrabnie.

- Twoja ręka jest zimna. - Przyglądał się jej twarzy jakby to było coś złego.

Odsunęła rękę.

- Jest listopad.

- Może darmowa lekcja z samoobrony? To mogłoby ci się tu przydać.

- Naprawdę nie mam czasu. – Z wyjątkiem niedzieli, ale to był jej dzień by zrobić wszystko inne. I żeby zrobić listę kolejnych zadań.

Zastanawiał się.

- Tak. Domyślam się, że Salvatori ma cię na początkującym harmonogramie szkoleniowym. To brutalne.

Pomimo jej rozdrażnienia, została zaintrygowana.

- Skąd wiesz?

- Trenowałem z Sal przed dwoma laty zanim Sandro przyjął mnie.- jego spojrzenie stało się dalekie. - Sandro pomógł mi podnieść swoje kwalifikacje do Olimpijskich Mistrzostw Juniorów w szermierze. Imponujące. Musiał być rekrutowany przez najlepszy uniwersytety.

- Gdzie studiowałeś?

- Jestem na pierwszym roku w college'u społecznym.- Wpatrywała się w niego w czystym zdziwieniu. Ze stypendium szermierczym, mógł pójść gdziekolwiek. Jarett zauważył to.

- Zdobyłem swój czarny pas w wieku dwunastu lat i lubię uczyć karate. Plus, jestem swoim własnym szefem. Ilu dwudziestolatków może cos takiego powiedzieć?

Słabe usprawiedliwienie. Ava współczuła mu. Uczyć grupkę zasmarkanych dzieci zamiast rywalizować na poziomie Kadeta. Musiał się wypalić. Zanim mogła zauważyć, znajomy ryk autobusu zapowiedział swoje nadejście.

- Naprawdę nie powinnaś jeździć autobusem tak późno – powiedział Jarett. – Pyzatym, okłamywanie swojej matki w sprawie powrotu do domu, tu w śródmieściu są niebezpieczni ludzie.

Podniosła swoją torbę.

- Nie okłamałam swojej mamy.- Drzwi autobusu otworzyły się, ukazując uśmiechającego się rudego kierowcę. - Jarett, poznaj moja przyjaciółkę Tammy.- Ava wskazała na kierowcę autobusu.

Kpiarsko uśmiechnął się.

- Niech zgadnę, jej rodzice posiadają Copper Tea Kettle.
- Tak. I najniebezpieczniejsza osoba, jaką spotkałam do tej pory... Jesteś ty. Weszła do autobusu. Jarett pozdrowił ją z wymyślonym mieczem.
- Touche.

Bardzo irytując Avy, Jarett upierał się by odprowadzać ją na przystanek autobusowy, co noc. Mówił o karate i szermierce, ale zawsze czuwał, przeczesując obszar jakby oczekując zasadzki. Po kilku nocach w rzeczywistości, nie mogła się doczekać jego towarzystwa. I zgodził się z nią, co do Mariel że jest boginią.

- Została dołączona w 2004 do Olimpijskiego zespołu w zastępstwie, wtedy wygrała złota. Czy to nie cudowne?

Machnął ręką w powietrzu.

- Cudowne musi być na igrzyskach olimpijskich ... "

Ava szukała słowa, ale nie mogła znaleźć doskonałego.

-Duże wrażenie.- Pomyślała o wielu talentach Jarett'a.

-Twój college społeczny ma program szermierczy?

- Nie. Ale poszedłem na Uniwersytet Stanowy Penna na rok. Ich szermierze są znakomici.

- Dlaczego nie zostałeś? - Pytanie wyskoczyło z jej ust. Chciała móc wymazać je gdyż jego uśmiech znikł.

- Musiałem być w domu. Niektóre sprawy są ważniejsze niż szermierka.

Dla Ava było to trudne do uwierzenia. Nic nie było ważniejsze niż szermierka.

Nic.

Jarett był szczególnie nerwowy. Bał się jakiegokolwiek hałasu i wpatrywał się w każdego, kto chodził koło nich, ponieważ czekali na autobus. Było więcej... więcej ludzi dziś wieczorem niż Ava widziała wcześniej. Piątkowa noc. Gdy rozejrzał się po raz czwarty w minutę, zapytała

- Dlaczego to robisz ?

- Zwyczaj. Zawsze powinnaś wiedzieć kto jest koło ciebie, wiesz, żeby cię nie zaskoczyć

- Brzmi paranoicznie

- Zauważ, pierwsza noc gdy cię spotkałem. Nie zwracałaś całkowicie uwagi, że szedłem za tobą aż do autobusu. Mogłem złapać twoją torbę i uciec zanim nawet byś zareagowała.

- Mam szybkie odruchy - powiedziała.

- Weź pod uwagę jak dużo szybsza, byłabyś gdybyś zauważyła mnie kilka sekund szybciej?

Przyznała rację. Za szybko przyjechał autobus. Ava wspięła się po schodach z niechęcią. Prawie zaśmiała się głośno. Pięć dni temu, pobiegła w górę tymi schodami by uciec od Jarett'a . Teraz nie chciała odjechać. Drzwi zasyczały zamykając się za nią. Tammy przywitała się z nią dyskretnie mówiąc cześć, gdy Ava siadała na swoim zwykłym miejscu.

- Pełny autobus dziś wieczorem.- powiedziała do Tammy.

- Tak. Wszystkie dzieci z przedmieść college'u jada do centrum

Przechyliła głowę by spojrzeć w duże lustro nad nią i sprawdzić pasażerów. Ava obejrzała się. Przyjacielskie grupy pasowały do siebie, śmiejąc się i rozmawiając głośno. Paru dzieciaków z liceum starała się wyglądać na wyluzowanych przed dziećmi z college'u. Jedno dziecko usiadło samo, patrząc w okno. Nosił czarną bluzę z kapturem z uśmiechającą się czaszką. Gdy autobus oderwał się od krawężnika, machnął do kogoś na zewnątrz.

Klimatyzując się podczas jazdy, wyciągnęła swoją książkę do historii. Leżała nieotwarta na kolanach. Była rozproszona przez myśl o Jarett'cie i przez Tammy rzucającą okiem w lustro co kilka sekund. Ava w końcu zapytała ją, dlaczego.

- Jest tu punk w czarnej bluzie z kapturem. Myślę że jest naćpany, mam go na oku - powiedziała Tammy. Gdy zatrzymała się na następnym przystanku, Ava odwróciła się. Punk wpatrywał się w nią. Błada skóra czepiła się swojej szkieletowej twarzy. Uśmiechnął się pokazując powyginane zęby, pomalowane czarna guma. Aj.

- Mamy biegacza - powiedziała z radością Tammy. Jej ręka wisiała w powietrzu nad przyciskiem zamykającym drzwi. Gdy tylko biegacz zauważył, że może zdążyć na autobus, Tammy zamknie drzwi i odjedzie.

- Jesteś zła - powiedziała Ava .

- Każdy ma jakieś hobby. Jest coraz bliżej... jeszcze chwila... jeszcze chwila... Ach, cholera. - osunęła się z powrotem w swoim miejscu. - to twój przyjaciel.

Jarett wszedł lekko po schodów i zapłacił za przejazd.

- Dziękuję - powiedział, nawet bez zadyszki.

Nie zauważył Avey, ale ona rozpoznała jego twarde wyraz twarzy - ostry punkt. Taka sama chłodna furia była w jego oczach gdy rzucił wodę w nią. Ale tym razem, skupił się na uśmiechającym punku. Ponieważ autobus przyspieszył, Jarett uklęknął na miejscu obok niej, odwrócony tyłem.

- Pomyślałem, że powinienem upewnić się, iż autobus jest bezpieczny - powiedział. Trzymał swoją prawą rękę wewnątrz kieszeni kurtki, a wzroku nie spuszczał z uśmiechającej się Czaszki. Ava podejrzewała, że zna chłopaka.

Gdy autobus dotarł do modnego śródmiejskiego obszaru, opróżnił się ze studentów, zostawiając ją, Jarett'a i punka. Jechali przez chwilę w ciszy. Napięcie promieniowało wypełniając powietrze. Ava wystraszyła się kiedy chłopak wcisnął stop dla następnego przystanku. Jarett podskoczył i wstał. Uśmiechająca się Czaszka stanęła w przejściu, stając naprzeciw niego. Tammy otworzyła drzwi pośrodku autobusu.

- Następny razem - powiedział uśmiechająca się Czaszka, machając wskazującym palcem na Jarett'a . Znikł w ciągu jednego mrugnienia okiem.

- Mówiłam ci że facet jest naćpany - Tammy powiedziała. - Widziałaś jak szybko się ruszał?

Jarett odprężył się na swoim miejscu gdy autobus ruszył.

- To twój przyjaciel? - Ava zapytała.

- Nie. On jest rozrabiaką w mojej dzielnicy. Gdy zauważyłem go w twoim autobusie, chciałem upewnić się, że ci nie przeszkadza. - Sprzeczne uczucia walczyły w jej piersi. Była zadowolona z tego że się martwił, ale też zdenerwowana. Jak mógł pomyśleć, że nie potrafi bronić się sama?

- Nie masz nic innego do zrobienia? To jest piątkowa noc. Twoja dziewczyna nie będzie wściekła?

Żalozne!

Jego chytry uśmiech, sprawił że Ava wiedziała, że przejrzał ją na wylot.

- Bez obaw, mój harem poczeka na mnie - dokuczał jej.

I Nagle spowaźniał. \

– Chciałbym . Między treningami, lekcjami i pracą, nie ma już czasu na zabawę. Zgaduję że jest z Tobą tak samo. Chociaż jestem pewny, że faceci z twojej szkoły muszą stać w równej linii próbując zwrócić twoją uwagę.

- Oczywiście. - podrzuciła swój długi koński ogon dramatycznie. – codziennie jest bójka o mnie w holu.

Śmiał się. Głęboki dźwięk przeniknął przez nią. Postanowiła, że to nie jest ważne dlaczego był tu, lubiła jego towarzystwo. Dla niej, podróż do domu szybko zleciała.

Ava skorzystała z kodu dostępu Pana Clipboard który dał jej go by mogła wejść do pustej Akademii. Jej matka szła za nią, rozmawiając nad wyposażeniem. Ava miała dwie godziny do lekcji z Salvatori, ale przejazdka z centrum od jej matki była tego warta. Plus jej matka chciała zwiedzić szkołę.

- Odbiorę cię po swoich zajęciach z ekonomii.- jej mama wyszła.

Ciche studio przygotowało Avę o gęsią skórę. Powinna zrobić rozgrzewkę i poćwiczyć zanim zjawi się reszta, ale zawahała się przed wejściem do ciemnej szatni. Zamiast się przebierać, zwiedzała Akademię. Kilka z biur trenerów znajdowało się na lewej ścianie. Tablice ogłoszeń z ulotkami zapełniały przestrzeń między nimi. Ava odkryła korytarz w najdalszym lewym kącie budynku. Tu się zakończyły współczesne remonty i oryginalna drewniana podłoga, wygięte w łuk okna pozostały. Przydymione szkło witrażowe było umieszczone w grubych ozdobnych drzwiach. Ciekawe co zobaczy za tymi podwójnie otwieranym zaokrąglonym wejściem. Ava znalazła osobiste studio i biuro Sandro Bossemi's. Weszła. Biuro miało typowe meble i rupiecie. Florety, szpady i szable tkwiły w kątach. Duży, prawie naturalnych rozmiarów krucyfik wisiał na odległej ścianie z realistycznym Jezusem przybitym do niego. Biedny facet był przemarznięty, a jego twarzy była wykręcona w mękach, rany krwawiły. Aj.

Żaden z złotych medali Bossemi nie były wystawiony. Rozczarowana, wróciła na korytarz. Dwoje innych drzwi pozostało. Jedne były do biura Jarrett'a, co wyjaśniło jak mógł w magiczny sposób pojawić się w studiu. Pokój był w stylu DOJO. Przez otwarte drzwi, widziała jak uczył kilku dorosłych. Nie potrafili wyglądać tak imponująco w swoich białych uniformach jak robił to Jarrett. Jego elastyczność i szybkość uderzały w porównaniu z ich niezgrabnymi próbami. Jak ona mogła pomyśleć, że był zбочonym dziwakiem.

Wróciła do Akademii. Ostatnie drzwi były Vietato L'ingresso, tak było napisane. Reszty włoskich słów nie znam. Prawdopodobnie pokój z wyposażeniem. Ava przekreśliła gałkę. Pomimo wyraźnego zapachu czosnku, jej przypuszczenie wyglądały się prawdziwe, ale rządki mieczy nie błysnęły w słabym blasku. Podniosła jeden. Ciężka broń była z drewna i czubek został naostrzony do okropnego szpikulca. Mogłabym kogoś tym zabić. Butelki wody stały na półkach, pasujące do tej jeden której Jarrett użył gdy rzucił wodą w nią. Kusze z drewnianymi strzałami wisiały na ścianie. Nawet ostrza strzał były z drewna. Jej mdłości zmieniły się w lęk gdy znalazła krzyże i drewniane kołki. To jest bardzo dziwne. To graniczy z poważną chorobą psychiczną. Czy Bossemi wierzy w...

- Co tu robisz? – spytał się Jarrett.

Ava skoczyła. Jej serce podskoczyło w klatce piersiowej. Zanim mogła odpowiedzieć, pokazał na drzwi

– Nie umiesz czytać?

- Nie po włosku

Stuknął w słowa swoim palcem wskazującym.

- Vietato L'ingresso. Zakaz wstępu.

Ignorując błazeństwa serca, wzruszyła ramionami.

- Gdybyś naprawdę chciał żeby tu nikt nie wchodził, powinieneś zamykać drzwi na klucz .

Skinął głowa by wyszła z pokoju, zamknął drzwi gdy dołączyła do niego w korytarzu.

- Musimy być w stanie dostać się tu szybko.

- Dlaczego? Po co ta cała broń?

Potrząsnął głową.

- Jeszcze nie. Sandro decyduje kto jest gotowy a kto nie.

Chciała zaprotestować ale zmienił temat.

– Skończyłem swoje zajęcia, a ty wciąż masz czas przed treningiem. Co powiesz na lekcje samoobrony?

Ava zastanowiła się nad wczorajszym incydentem. Może nie byłby taki nadopiekuńczy gdyby zgodziła się. Dziwne. Myśl że czeka na autobusu sama nie wywołała ulgi, której oczekiwała.

- Dobrze, ale musisz odpowiedzieć na jedno pytanie.

Zmrużył oczy spięty.

-Jakie pytanie?

Miała milion pytań, ale wiedział, że prawdopodobnie zlekceważy większości z nich. Ava wskazała na lewą stronę jego szyi.

- Co oznaczają twoje tatuaże?

Odprężył się.

- To jest Okinawan dla jastrzębia. Isshinryu jest Okinawan małżeńską sztuką - Jarrett przeprowadził ją przez drzwi do swojego biura. Oprawione obrazy ozdabiały ściany. Wskazał na zdjęcie sokoła na polowaniu. - Sokoły są symbolem zwycięstwa. Mój sensej wytatuował znaki na szyi gdy zdobył czarny pas, zaczynając tradycję.

- Twój sensej?

- Okinawan to nauczyciel.- rzucił w rozbawieniu. – Pokręć się tutaj wystarczająco długo, a nauczysz się Okinawan i włoskiego.- zatrzymał się przed matami i wskazał na jej stopy. - Bez butów.

Zdjęła buty i weszła na cienką czarną piankę. Maty połączone były jak układanka. Obok wejścia głównego, okno zajmowało całe dojo. Jarrett stanął naprzeciw Avey i złapał jej nadgarstek. Jego kciuk dotknął pozostałych palców.

- Święte skrzydełka kurczaka, Batman. Czy ty nie jesz?

Spróbowała wyszarpnąć swoją rękę, ale ją trzymał .

- Gdy będziemy zajmować się metodami samoobrony, nie puszczę cię o ile mnie nie zmusisz . Teraz, żeby złamać mój uchwyt, chwyć za mój kciuk. To jest najslabszy sposób - Jarrett zaprezentował. Ava powtórzyła i poradziła sobie. Przez chwilę ćwiczyli różne warianty z trzymaniem za nadgarstek czy ramię.

– Jesteś silniejszy niż na to wyglądasz - powiedział. - Szybko się uczysz. Niektórzy moi studenci nie mogą tego załapać.

Nauczył ją jak wyswobodzić się uścisku niedźwiedzia i innych uników. Ava lubiła jak ją trzymał. Pachniał Sport Polo. Gdy jej się udało przetrwać z niego, przerwała ponieważ nastąpił krótki nagły przyływ dumy

- Acha.

Jarrett spotkał jej spojrzenie i uśmiechnął się.

- Jeśli będziesz wiedzieć co zrobić, możesz pokonać każdego, nie ważne jakby był duży.

- Co jeśli będą mieli nóż albo broń?

- To jest zupełnie inna lekcja. Pokażę ci w przyszłym tygodniu.

Perspektywa przyprawiła ją o dreszczyk emocji. Gdy był już czas na lekcje szermierki, przebiegła przez biuro Jarett'a i zauważyła, oprawione zdjęcie stojące na biurku. Na obrazie, Jarett stał obok starszego azjatyckiego mężczyzny. Obydwaj nosili uniformy karate z czarnymi pasami. Obydwa mieli identyczne tatuaże i tak samo ukształtowana twarz.

- To twój sensei czy twój ojciec? - zapytała.

Jarett kłapnął na swoje krzesło.

- Był obydwoma.- Smutek pojawił się w jego głosie.

Zmarszczyła brwi i spróbowała wymyśleć coś odpowiedniego.

- Szuka doskonałego znaku oznaczającego komfort psychiczny? - Posłał jej skrzywiony szeroki uśmiech.

- Oni nie żyją w taki sposób. Mój ojciec został zamordowany.

Myślała że wcześniej czuła się nieswojo.

- To okropne. Czy Policja kogoś aresztowała? - twarz Jarett stwardniała.

- Zatrzeszczono się o zabójcę. Upewniliśmy się co do tego.

Tysiąc pytań utkwilo w jej gardle. Wystraszona odpowiedzi, połknęła je i wycofała się do Akademii. Popołudniowe sobotnie treningi uwzględniały powitalne rytuały. Podczas ostatniej godziny, trenerzy zorganizowali próbny turniej. Ava zniosła bycie speszoną, ale nie z powodu jej umiejętności szermierczych. Tylko po tygodniu treningu, jej ataki i odpierania ogromnie się poprawiły, zadziwiając ją. Signore Salvatori nawet powiedział jej

- Buono - To była naprawdę wysoka pochwała.

Nie. Zażenowanie pojawiło się później a pojawieniem się matki. Przybyła w samą porę, by oglądać turniej. Wystarczająco złe było mieć tam matkę, ale wtedy pogłębiła upokorzenie, przez wiwatowanie i gwizdanie dla niej. Dobrze, że maska ochronna ukryła jej czerwoną twarz.

Kiedy Ava w końcu wyszła z szatni, zatrzymała się z przerażeniem. Jarett rozmawiał z jej matką. Po prostu zabijcie mnie teraz. Popędziła do nich, z zamiarem popchnięcia matki do drzwi.

- ... Czy widziałeś, jak myliła przeciwnika - rozpoczynała atak? To było doskonałe. - zawołała jej matka.

Ava wskoczyła w rozmowę.

- To nie było doskonałe, mamó. Nie wygrałam turnieju.

Matka machnęła ręką jak gdyby odganiała muchę.

-To jest tylko sprawa uporu, praktyki i doświadczenia.

Ava przewróciła oczami. Jest taka uparta.

- Podoba mi się. Czy mogę powiedzieć to moim studentom? - Jarett spytał.

Nawet udało mu się wyglądać szczerze.

Dodatkowy punkty.

Jej matka mrugała na niego przez kilka sekund.

- ach... jasne. - chrząknęła. - Przepraszam, pomyślałam, że trenujesz tu.

- Trenuje, ale też uczę karate.

- Oooo.

- Miałaś trudności z parkowaniem?- Ava zapytała matkę, mając nadzieję, że zmiana tematu spowoduje zabranie matki od niego. -Wcale nie, ale Ava... Myślisz, że mogłabyś zabrać się domu z Tammy?

- Dlaczego?

- Paru kolegów z klasy zaprosiło mnie na obiad. - jej matka praktycznie podskakiwała w radosnym podnieceniu. Ava była zmęczona, głodna i nie mogła się doczekać szybkiego powrotu do domu. Otworzyła usta by ponarzekać, ale nic nie powiedziała. Jej matka już odczytała rozczarowanie z twarzy Avy. Przestała podskakiwać. Gdyby Ava powiedziała, że nie może złapać transportu, jej matka zrezygnuje z zaproszenia, by zabrać ją do domu. Nawet nie mogła przypomnieć sobie kiedy ostatnio jej matka robiła coś dla siebie. Zrezygnowała z życia towarzyskiego dla Avy, a jej córka była zbyt skoncentrowana na sobie by to zauważyć. Wiec dlaczego uświadomiłam sobie to teraz? Jarett. Może woda rzucona w jej twarzy obudziła ją. To dobrze. Teraz musiała martwić się o inne rzeczy, takie jak punk w autobusie i dziwne drewniane kolki w gabinecie Bossemi.

- Pewnie mam. Złapie transport.

Radość zabłysła w jej oczach.

- Dziękuję, cukiereczku. Do zobaczenia w domu!

Pocałowała Avy w czoło i wyszła przez drzwi.

- Cukiereczku? - Jarett uśmiechnął się z wyższością.

- Nie zaczynaj.

- To było całkiem mądre. Powiedziałeś jej, że złapiesz transport do domu, ale nie powiedz jak. Technicznie rzecz biorąc nie okłamałaś jej. Tammy pracuje soboty?

- Nie. - poszukała w swojej torbie rozkładu jazdy autobusowego. Dziesięć minut temu uciekł jej ten o piątej piętnaście, a następny nie przyjedzie do szóstej trzydziści. W brzuchu jej burzało. Poszukała pieniędzy, ale znalazła tylko parę dolarów.

- Czy jest tu gdzieś budka z hot dogami?

Skrzywił się.

- Hot dogi? Nic dziwnego że jesteś taka chuda. Powinnaś jeść zdrowe jedzenie.

Ukryła uśmiech. Prawdopodobnie miałby atak serca gdyby dowiedział się o jej codziennym sposobie odżywiania. Pomimo jego protestu o wyborze pożywienia, zaprowadził ją do lokalnego sklepu spożywczego. Klienci poszli do domu, było za wcześnie dla sztucznego tłumu, więc sklep był pusty. Jarett stawiał szybkie kroki i Ava musiała się spieszyć by nadążyć. W drodze na przystanek autobusowy Jarett zabawiał ją historyjkami o swoich studentach karate.

- ... Mały chłopiec był tak dumny ze swojego nowego ruchu, pobiegł do swojego ojca i kopnął go prosto w... Cholera. - Jarett złapał ją za ramię. - Posłuchaj. - powiedział ścisłym głosem. - Jeśli każe ci biec, pobiegiesz do Akademii. Rozumiesz? - rozmawiał z nią ale obserwował, jak trzy inne postacie podchodziły do nich.

- Tak, ale...

- Nie teraz. - ścisnął raz i puścił jej ramię. Sięgnął do wnętrza swojej marynarki, wyciągnął mini kusze, załadowana niewielką strzałką i wycelował w nich. - nie podchodźcie bliżej. - powiedział.

Zatrzymali się. Latarnia uliczna rozświetliła ich blade i wychudłe twarze. Byli podobni do pół wygłodniałych punków, nosili rozdarte obszerne dżinsy, które wisiały wokół wąskich tali demaskując kolorowe bokserki. Tona ostentacyjnej biżuterii zwisała z ich szyj na grubych złotych łańcuchach. Kaptury mieli naciągnięte. Ava rozpoznała śmiejącą się czaszkę z autobusu. Koszule jego przyjaciół miały grający Zespół szkieletorów i zawiniętą kobrę na prawym ramieniu.

- Możesz zastrzelić tylko jednego z nas zanim ruszymy się - powiedział śmiejącą się czaszka. - To nadal zostaje dwoje i wątpię, czy twoja dziewczyna była

uzbrojona.- żołądek Avy wykręcił się gdy odrobina pewności siebie która pojawiła się po nauczeniu się paru ruchów z samoobrony uciekła.

- Ona nic nie wie na ten temat – powiedział Jarett . - jej autobus będzie niedługo. Jak tylko ona odjedzie, możemy... rozmawiać.

Szkieletor zaśmiał się. Dźwięk był ostry jak drapanie paznokciem o szkło.

- Nie powiedziałaś jej o nas? Co za nieposłuszny chłopiec z ciebie Jarett White Hawk.

- Nieodpowiedzialny - Kobra zgodziła się.- Jarett zapłaci za to swoim życiem. Jaki ojciec taki syn.

- I dziewczyna?- zapytał zespół szkieletorów.

- Nasza. - Uśmiechająca się czaszka patrzył na Avę z głodem. Łód przeszedł przez jej żyły, mimo to poczuła się gorąca i spocona. Trzy postacie ruszyły naprzód.

- Uciekaj. - Rozkazał Jarett . Strzelił z kuszy, uderzając kobrę w żołądek. Zanim nawet ruszyła się, punki przemieściły się. Sekundę temu stali piętnaście stóp dalej, w następnej sekundzie okrążyli Jarett'a i Avę. Jak w filmie rysunkowym. Tylko że to było jak w źle narysowanym filmie rysunkowym grozy. Jarett rzucił kuszę, wyciągnął butelkę z kieszeni i rzucił wodą w twarz zespołu szkieletorów. Punk wrzasnął, ponieważ jego skóra roztopiła się i leciała z niej para. W kolejnym mignięciu uśmiechająca się czaszka złapały Avę w stalowy chwyt. Nie mogła się ruszyć. Przestraszona, krzyknęła do Jarett ale on został złapany mocno przez Kobrę. Uśmiechająca się czaszka otworzyła swoje usta. Rozkładający się smród rozpadu przydławił ją. Schylił się blisko jej twarzy. Skuliła się, ponieważ jego lodowaty policzek dotknął jej.

Gdy ugryzł ją w szyję, krzyczała. Nigdy nie myślała, że będzie tym rodzajem dziewczyny co krzyczą, ale przerażenie i czysta odraza narosła w niej do takiego stopnia , że krzyk był jedynym sposobem do uwolnienia tego. Uśmiechająca się czaszka napierała na nią i nagle został uderzony w tyłu. Burknął i poluzował uścisk, puszczając Ave by umrzeć na ziemi. Wylądował na niej. Martwy. Wpatrywała się w jego twarz i mdłości wezbrały się w jej gardle. Skóra rozpadała się przed jej oczami, odkrywając kość, które zamieniały się w proszek. Ava strzepała ten pył z ubrania. Chciała zwymiotować, z krzyku i omdlenia, ale trzymała to wszystko w sobie i skupiła się na Jarett'cie i Bossesemi. Mistrzowski szermierz trzymał drewniany miecz. Dwie sterty ubrań leżały u jego stóp — pozostałości kobry i zespołu szkieletorów.

Bossesemi wskazał na ubrania i buty. Jarett podniósł je.

- All'interno. Rapidamente! - warknął zanim pobiegł do Akademii.

Ava stanęła prosto i poszła za nim z Jarett'em idącym szybko za nią. Gdy drzwi zamknęły się za nimi, odetchnęły z ulgą.

- Sandro, ja ...- Jarett zaczął.

- Idiota.- Bossesemi odwrócił się do Avy. - Prossimo... Chodź. Musimy oczyścić twoją ranę. -w całym radosnym podnieceniu zapomniała o ugryzieniu. Ból pulsował gdy dotknęła szyi. Krew pokryła jej palce. Świat zaczął jej się rozmazywać, ale ostry rozkaz Bossesemi wyrzucił ją z tego omdlenia. Nawet nie zdała sobie sprawy, że Jarett wspiera ją do czasu gdy stanęli w jego biurze. Przyjrzała się Jarett'owi. Wyglądał na nieszczęśliwego. Ale nie miała czas go zapytać.

Bossesemi poinstruował ją by leżała płasko na jego kanapie. Położył ręcznik pod jej szyję.

- To będzie bolało- powiedział.

Gdy wymachiwał butelka z rozpylaczem i metalowymi narzędziami, zamknęła oczy. Może nie miał za dobrego podejścia jako trener, ale był szczery. To bolało. Do czasu gdy wyczyścił ugryzienie i zabandażował je, łzy spłynęły jej do uszu. Jarett

usiadł na krawędzi kanapy, trzymając ją za rękę. Bossemi wyrzucił nasiąknięty krwią ręcznik do kosza.

– Powiedz jej wszystko co musi wiedzieć- powiedział Bossemi. – ja zorganizuję straż - podał Jarett'owi swój drewniany miecz i wyszedł. Jarett wpatrywał się w broń z rezygnacją. Ava zabrała swoją rękę z jego i usiłowała usiąść. Chciała odpowiedzi.

- Mów. Teraz.

Westchnął.

- Przynajmniej nie muszę cię przekonać że oni są.

- Punki?

Jego spojrzenie zatrzymało się na naturalnych rozmiarów krzyżu.

- Nie punki. Vampiros.

- Vampiros.

Po włosku znaczy wampir, instynktownie chciała zaprotestować – wampiry byli w powieściach grozy, nie w prawdziwym życiu. Ale nie mogła wyjaśnić jak punki zamienił się w proszek.

– Kontynuuj - powiedziała.

– Żyją tutaj od biblijnych czasów.- powiedział Jarett.

Ava powróciła myślami do ataku.

- Zamigotali i byli tacy silni.- zadrżała.

- Dlatego używamy mieczy i kusz. Jeśli złapią cię, lepsza jesteś martwa.

- Co z kołkami które widziałam w szafie?

- Używamy ich w ciągu dnia. Poszukujemy ich gdy śpią. Tak jest bezpieczniej.

- My?

- Jastrzębie. Sandro nauczył nas jak znaleźć i walczyć z vampiros. On rekrutuje kandydatów z szermierzy, których zaprosił do szkoły. Niektórzy dołączają do nas. Inni odchodzą, niektórzy nie są rekrutowani wcale.

- Czy ja byłabym rekrutowana?

Zastanawiał się

- Gdybym nie narobił bałaganu, prawdopodobnie nie.

- Jak narobił... Och

- Och całkowicie pasuje. Pomyślałem, że jesteś vampiro. Jesteś blada i chuda.

Nie byłem jedynym. - brzmiał obronnie.- inni trenerzy też cię podejrzewali. A do tego właśnie napadliśmy na jedno z ich gniazd i myśleli, że chcesz się o zemścić.

- Ich gniazdo? Ilu vampiros tu żyje? -zapytała.

- Gniazda są w większości dużych miast świata. Jastrzębie są też tam. By walczyć. Czasami udaje się nam zniszczyć całą grupkę, czasami oni dopadają nas pierwsi.

Ava pamiętała jego smutną historię.

– Czy to on zabił twojego ojca?

Ciało Jarett naprężyło się i jego dłoń zacisnęła się na mieczu.

- Tak. Osuszyli z krwi ciało, pozbawiając mózg tlenu. Jak tylko mózg umiera, demon bierze w posiadanie ciało. To nie jest jak w filmach. Policja nie znajduje bezkrwawych zwłoki. Nie ma żadnych pogrzebów i żadnego teatralnego powstania z grobu. Ofiara się przemienia. Tracą wagę, stają się bladzi.

Kreatury nocy. - Pomyślała logicznie.-

- W takim razie twój ojciec jest... - nie mogła wypowiedzieć słowa.

- Już nie.- W jego głosie słychać było ból. Zamknął oczy. - przyszedł odwiedzić mnie w szkole. Na początku ścigają krewnych i przyjaciół. Wiedziałem to gdy tylko go zobaczyłem.

Ava poczekała. Pomimo oczywistego zakończenia, Jarett musiał opowiedzieć swoją historię.

- Mój ojciec był Jastrzębiem całe swoje życie. Przeprowadzaliśmy się z miasta do miasta, polując na vampiros, ale nie chciałem dołączyć do Jastrzębi. Chciałem być szermierzem. Byłem samolubny i mój ojciec zmarł.

- Nie możesz się obwiniać...

- Tak, mogę. To ja cisnąłem wodę święconą w jego twarz. Rozpuścił się przed moimi oczami.

Szukała odpowiednich słów. Jak Jarett nazwałby je? Słowa Jastrzębia. Pomyślała że nie odczuje współczucia gdy powie Przykro-mi-ze-twój-ojciec-był-wampirem. Za to zapytała go dlaczego vampiros rozpuszczają się.

- Demon utrzymuje przy życiu ciało. Jak tylko demon jest zabity, ciało jest zniszczone. Im są starsze to szybciej się to dzieje. Jeśli są bardzo nowi, używamy wody święconej by pomóc im.

Posiedzieli w ciszy. Rana Avy piekła i pulsowała. Dotknęła bandaża.

- Lepiej zadzwoń do swojej mamy i powiedz, że nie będziesz dziś w domu wieczorem - powiedział Jarett .

- Dlaczego?- przygotował się na złe wieści.

- Musisz zostać tu do czasu gdy jad nie przebiegnie zgodnie z naturalną koleją rzeczy. Sandro wyczyścił twoją ranę, ale ślina vampiro's połączyła z twoją krwią.

Jej wnętrzności poskręcały się .

- Czy ja...

- Nie. Nie zmienisz się w wampira. Ale oni wiedzą, że zostałeś ugryziona i przyjdą po ciebie.

To było naprawdę przerażające.

- Czy nie jesteśmy chronieni? -Ava wskazała ręką w kierunku krzyża.

- Nie. Drzewo musi zetknąć się ciałem.

Bossemi wpadł do pokoju, dysząc i wymachując innym drewniany mieczem.

- Accademia... otoczona.

Jarett skoczył na nogi.

- Jastrzębie?

- W drodze. -pochylił swoją głowę w stronę Avy.

-Ona wierzy.

- Buono. - Bossemi rzucił Avie swój miecz. Złapała go w powietrzu. Wskazał palcem na swoją klatkę piersiową. - Celej w... il Cuore.

Jej własne serce zaczęło szybciej bić, wskazując pragnienie by się wycofać.

- Ona nie wie jak... - Jarett zaczął.

- Vampiro's włamają się przed pojawieniem się Jastrzębi. Prossimo!

Bossemi przeszedł w poprzek sali, zatrzymując się w pokoju wyposażenia.

Stanie przed otwartymi drzwiami sprawiało, że czuła dreszcze. Jarett uzbroił się w wodę święconą, Bossemi złapał inny miecz. Głośny dźwięk rozbijanego szkła przestraszył Avę. Trzymała kurczowo swoją broń przy żołądku, który zagroził, że zwróci obiad.

Bossemi i Jarett wymienili zaskoczone spojrzenia. Ustawili się przy drzwiach do dojo. Ava została za nimi chroniąc tyły.

- Oni są wściekli. Co zrobiłeś? -Bossemi zapytał Jarett'a.

- Zabiłem Wincenta.

- Idiota! Kazałem ci czekać. Nie możesz zabijać przywódcy bez niszczenia całego gniazda.

- Zamordował mojego ojca. Ja ...

Jego tłumaczenie zostało przerwane przez przybycie wampirów. Ava zachwyła się śmiertelną prędkością Bossemi. Między nim a Jarett'em, drzwi napełnił się zakurzonym ubraniem. Rozdzierający hałas zabrzmiał za Avą, odwróciła się na czas

by zobaczyć jak przez rozbite okna Akademii wskakiwały ciemne figury do środka.
Krzyknęła

-Vampiros!

Jarett dołączył do niej na końcu korytarza, gdy dwa vampiros zamigotały.
Bossemi stał przy drzwiach dojo. Ava wycelowała swoją broń, cofnęła się gdy wampir szedł na ją.

-En garde, Ava. Atakować!

Rozkaz Jarett'a pokonał strach. Podniosła miecz i rzuciła się, dźgając w serca wampira. Ale nie było czas cieszyć się ze swojego działania, inny wampir podbiegł sprintem do niej.

Czas przestał się liczyć. Bolały ją ramiona, ale trzymała czubek miecza ruszając się. Jeśli vampiro złapie jej broń, będzie skończona. Trzech z nich znalazło dobrą pozycję obronną. Studio napełniło się innymi wampirami. Jastrzębie przybyły, ale również więcej vampiros wchodziło do pokoju. Liczba wampirów szybko przewyższyła i rozbroiła Jastrzębie. Jeden zaatakował Jarett'a i Ava wyszła z kręgu. Bossemi stanął za nią

- Mamy siedmiu z twoich członków, Sandro. Wszystko, czego chcemy to Jarett White Hawk i Ava. Dwoje, zamiast siedmiu. Nie przebijesz tego.

Ava rzuciła okiem na złapane Jastrzębie. Rozpoznała Signore Salvatori i Mr. Clipboard. Obydwa potrząsnęli swoimi głowami

- Nie - gdy spotkała ich spojrzenie. Byli skłonni oddać życie dla niej.

Dlaczego?

- Zostawcie Avę w spokoju to przyjdę – powiedział Jarett. Rzucił swój miecz.

- Nie. - wyrwało się z ust Avy. Nie chciała go stracić. Miał rację, niektóre rzeczy były ważniejsze niż szermierka. Jego życie i życie wszystkich Jastrzębi.

- Tirez le signal d'incendie. - Bossemi szepnęła, w języku który Ava rozumiała? Francuski. Rzuciła swoją broń na podłogę.

- Ava, nie pójdziesz z nimi – powiedział Jarett.

- Zamknij się! Jestem zmęczona twoimi rozkazami. –popchnęła go, patrząc skupiona. - Ty pierwszy podejrzewałeś, że jestem jedna z nich - popchnęła go.

Zrozumiał i odsunął się

- W takim razie oszukałaś mnie czekając na autobus.- Popychał ją.

Vampiros przyglądały im się z rozbawieniem.

- I nawet nie ostrzegasz mnie o tych rzeczach!- popchnęła go mocno. Osunął się na ziemię z głuchym odgłosem, sięgnęła po włącznik alarmu pożarowego. Szarpnęła rączkę w dół. Głośny dźwięk dzwonka rozdarł powietrze. Każdy garbił się przez hałas, ale wampiry pozostały całe i zdrowe. Ava spojrzała na Bossemi. Uniósł palec - kazał jej czekać.

Automatyczny system gaszenia pożaru włączył się. Woda wytrysnęła i wampiry zaczęły się roztopiać.

- Nigdy nie pomyślałem, że ośmielą się atakować mnie w mojej Accadamii - powiedział Bossemi. - ale zmusiłem księdza by pobłogosławił wodę w moim systemie przeciwpożarowym, na wszelki wypadek, wygląda że to był dobry pomysł.

Jarett wykrzyknął i przytulił Avę.

- Teraz będziesz trenować ze mną.

Bossemi powiedział do Avy.

- Być Jastrzębiem? Chcesz być jednym z nas?"

Ava nie zawahała się.

- Tak.

- Może. Może najpierw igrzyska olimpijskie, później Jastrzębie. Zobaczymy. - odszedł, krzycząc rozkazy po Włochu.

Zaskoczona przez jego komentarz, Ava odsunęła się od Jarett by móc zobaczyć jego twarz.

- Ale ty...

- Nigdy nie miałem umiejętności do olimpijskiego zespołu. Gdy uświadomiłem sobie prawdę, zdecydowałem zostać tu i być Jastrzębiem.

- To oznacza, że Bossemi sądzi, że mogę się kwalifikować?

Uśmiechnął się z wyższością.

- To jest właśnie kwestia wytrwałości, praktyki i doświadczenia, cukiereczku. Jęknęła i uderzyła pięścią w jego brzuch.

Najzimniejsza dziewczyna w Coldtown

Holly Black

Matilda była pijana, ale teraz zawsze była pijana. Oszołamiająco pijana. Potykająca się pijana. Głupio pijana. Jakkolwiek pijana mogła być.

Mężczyzna, który z nią stał owinął rękę wokół jej pleców, ciepłe palce zagłębiły się w jej boku, gdy przyciągnął ją bliżej. On i jego przyjaciel w koszuli z odsłoniętą szyją uśmiechnęli się do niej, jakby niepełnoletność dorównywała głupocie, a głupota dorównywała wystarczającej naiwności, by z nimi sypiać.

Trzeźwa, przyznałaby im rację.

- Chcesz zrobić imprezę u mnie? – zapytał mężczyzna. Powiedział jej, że nazywa się Mark, ale jego przyjaciel się mylił i nazywał go imieniem, które zaczynało się na D. Może Dan lub Dave. Przemycali jej napoje z baru ilekroć wychodzili na dwór zapalić – drinki były mdlące słodkie, to spływało jej po gardle jak cukierek.

- Pewnie – powiedziała, gniotąc swojego papierosa o ceglany mur. Upuściła gorący popiół do swoich dłoni, ale skoncentrowała się na alkoholowym zdrętwieniu obracającym jej kończyny.

Uśmiechnęła się. – Kupimy więcej piwa?

Wymienili wstrętne spojrzenia, których udawała, że nie dostrzegła. Przyjaciel – nazywał siebie Benem – popatrzył na jej szklane oczy i zaczerwienione od zimna policzki. Niechlujne włosy. Prawdopodobnie sądził, że to problemy życia domowego. Miała taką nadzieję.

- Nie zaczynasz mieć nas dość? – zapytał. Na zewnątrz gorącego baru, kropelki potu zebrały się w zagłębieniu jego szyi. Skóra mieniła się z każdym przełknięciem.

Potrząsnęła głową by przestać patrzeć. – Jestem ledwie podchmielona – skłamała.

- Mam pełno rzeczy u siebie – powiedział Mark-Dan-Dave. Mardave, pomyślała Matilda i zachichotała.

- Kup mi 40 – powiedziała. Wiedziała, że pójdzie z nimi jest głupie, ale jeszcze głupsze byłoby wytrzeźwienie. – Jeden z tych kubeków z lodem do chłodzenia wina. Mają je w sklepie spożywczym na rogu. W przeciwnym razie, żadnej imprezy.

Oboje się zaśmiali. Próbowwała śmiać się z nimi, chociaż wiedziała, że nie jest włączona w żart. Ona była żartem. Szmirowatą małą zdziwą. Dziewczyną, która kupuje duże chłodziarki do wina i trzy żurawinowe wódki.

- Dobrze, dobrze – powiedział Mardave.

Szli ulicą, i znalazła w sobie skłonność do przylegania do gorąca ich ciał, wdychania potu i żelaza wypełniających woń. Łatwo byłoby jej zamknąć oczy i udawać, że Mardave był kimś jeszcze, przez kogo chciała być dotykana, ale nie pozwoliła sobie na zaprzętanie wspomnień Julianem.

Przeszli obok sklepu z płaskimi ekranami w oknie, każdy z nich pokazywał, co innego. Jedno wideo było z Coldtown – dziewczyna, która używała imienia Demonia zrobiła jakąś umowę z jedną ze stacji by pokazać, co jest naprawdę za bramą. Sfilmowała Wieczny Bal, który zaczął się w 1998 i trwał bezustannie od tamtego czasu. W tle, dziewczyny i chłopcy w uprzężach z gumy kołysali się w powietrzu. Zatrzymywali się od czasu do czasu, otwierając coś, co wyglądało jak rurki szpitalne wczepione w ich ramiona tuż pod zgięciem łokcia. Odkręcali nakrętki i przelewali krew do małych papierowych kubków dla balowiczów. Chłopiec, który wyglądał na dziewięciolatka, noszący sznurek jarzących się koralików wokół szyi, wypił zawartość jednego z kubków, a następnie oblizał papier językiem tak czerwonym jak jego oczy. Kąt obrazu zmienił się nagle, skręcając gwałtownie w górę i widzenie

zobaczyli nakryty kopułą szczyt sali pełen rozbitych okien, przez które można było spostrzec gwiazdy.

- Wiem gdzie oni są – powiedział Mardave. – Mogę zobaczyć ten budynek ze swojego mieszkania.

- Nie boisz się mieszkać tak blisko wampirów? – zapytała, mały uśmiech rozciągnął się w kąciku jej ust.

- Będziemy cię chronić – powiedział Ben, odwzajemniając jej uśmiech.

- Powinniśmy zrobić to, co inne kraje i wykopać te zwłoki do nieba – powiedział Mardave.

Matylda ugryzła się w język, żeby nie zauważyć, że polowania na wampiry w Europie doprowadziły najwyższego poziomu zakażeń (przemian) na świecie. Wielu obywateli w Belgii było wampirami, dlatego sklepy miały otwarte drzwi za ledwie do zmroku. Rozejm w Coldtown pracował. Przeważnie.

Nie obchodziło ją czy Mardave nienawidzi wampirów. Ona także ich nienawidziła.

Gdy weszli do sklepu, została na zewnątrz, by uniknąć legitymowania i zapaliła kolejnego papierosa srebrną zapalniczką Juliana – tą którą zamierzała mu oddać za trzydzieści jeden dni. Siadając na krawężniku, pozwoliła chładowi znieczulić tył jej ud. Niech to zamrozi jej żołądek i pokryje jej gardło lodem, którego wysokoprocentowy alkohol nie będzie mógł roztopić.

Głód obrócił jej żołądkiem. Nie mogła sobie przypomnieć ostatniego razu, kiedy jadła coś stałego bez odrzucenia. Jej buzia usychała z tęsknoty za ciemnymi, wysokokalorycznymi ucztami; jej skóra poczuła się ciasna, jakby ziarna, które pragną wykiełkować. Wszystkim, co mogła dać sobie do jedzenia był dym.

Kiedy była małą dziewczynką, wampiry były strojami na Halloween. Byli czarnymi charakterami w filmach, sztucznymi kłami i pelerynami z poliestru. Byli Mupetami w telewizji, można nieskończenie wyliczać.

Teraz tylko jedno liczyła. Pięćdziesiąt siedem dni. Osiemdziesiąt osiem dni. Osiemdziesiąt osiem nocy.

- Matilda?

Spojrzała w górę i zobaczyła idącego do niej Dante, słuchawki zwisały z jego uszu, jakby potrzebował soundtracku we wszystkim, co robił. Miał na sobie parę obcisłych džinsów i palił jednego z tych długich papierosów, co mają gwiazdy filmowe. Wyglądał pretensjonalnie jak piekło. – Prawie zrezygnowałem z szukania cię.

- Powinieneś zacząć od rynny – powiedziała, wskazując na mokry, zapchany odpływ pod stopami. – Biorę moje mieszkanie w rynnie na poważnie.

- Poważnie – Wskazał na nią papierosem. – Nawet twoja matka myśli, że nie żyjesz. Julian płacze nad tobą.

Matilda spuściła wzrok i dłużyła przy nici džinsów. Bolało myślenie o Julianie, kiedy czekała na Mardave'a i Bena. Czuła do siebie wstręt i mogła się domyśleć, jaki będzie wtręt wzbudzać. – Jestem Zimna – powiedziała.

- Jeden z nich mnie ugryzł. – Dante kiwnął głową.

Tak nazywali tych, których dopadło zakażenie – Zimnymi – z powodu tego jak zimną skórę mieli po tym, jak zostali ugryzieni. I ze względu jak trucizna w ich żyłach powodowała, że pragnęły ciepła i krwi. Jedno zasmakowanie ludzkiej krwi i zakażenie mutowało. To zabijało żywiciela, a następnie ponownie go rodziło, zimniejszego niż wcześniej. Zimnego na wskroś, na wieki wieków.

- Nie myślałem, że będziesz żywa – powiedział.

Nie sądziła, że wytrzyma tak długo nawet się nie poddając. Ale samotne chodzenie po ulicy było lepsze niż zmuszanie jej matki do wybierania między zakuciem w łańcuchy w

piwnicy, a odtransportowaniem do Coldtown. To było także lepsze niż szansa, że Matylda uwolni się z więzów i zaatakuje tych, których kochała.

Takie historie jak ta były w mediach cały czas; prawie tak często jak o ludziach, którzy wpuszczają wampiry do swoich domów, bo wyglądali na takich miłych i porządnym.

- Więc co robisz, szukając mnie? – zapytała. Dante żył ulicą ze swoją rodziną od lat, ale nie mieli wolnego czasu. Pomachała do niego kosząc trawnik, podczas, gdy on pakował sprzęt DJ'ski na tył furgonetki. Nie powinien tutaj być.

Obejrzała się na sklepowe okno. Mardave i Ben byli przy ladzie ze skrzynką piwa i jej chłodziarką do wina. Dostawali resztę od ekspedienta.

- Miałem nadzieję, że ty, hm, nie żyjesz – powiedział Dante. – Byłabyś bardziej pomocna gdybyś nie żyła.

Wstała, potykając się nieznacznie. – Ty także pieprz się.

Zabierało osiemdziesiąt osiem dni jadowi, aby wypocić się z osoby. Miała trzydzieści siedem dni. Trzydzieści siedem dni bycia tak pijaną, by mogła zignorować brzęczenie w swojej głowie, które sprawiało, że chciała gryźć, rozdzierać, pożerać.

- To źle wyszło – powiedział, robiąc krok w jej kierunku. Wystarczająco blisko, żeby poczuła jak jego ciepło promieniowało od niego jak lizanie języków ognia. Zadrżała. Jej żyły zaśpiewały z potrzebą.

- Nie mogę ci pomóc – powiedziała Matilda. – Spójrz, ledwie mogę pomóc sobie. Cokolwiek to jest, przykro mi. Nie mogę. Musisz stąd iść.

- Moja siostra Lidia i twój chłopak, Julian, wyjechali – powiedział Dante. – Razem. Ona chce zostać ugryziona. Nie wiem, czego on szuka..., ale zostanie skrzywdzony.

Matilda wpatrywała się w niego, gdy Mardave i Ben wyszli ze sklepu. Ben trzymał skrzynkę na ramieniu i torbę w ręce. – Ten facet cię niepokoi? – zapytał ją.

- Nie – powiedziała, a następnie zwróciła się do Dante. – Lepiej już idź.

- Czekaj – powiedział Dante.

Matildę bolał żołądek. Trzeźwiała. Zapach krwi wydawał się wypływać spod ich skóry.

Sięgnęła do torby Bena i wyciągnęła piwo. Otworzyła je i zlizwała piankę. Jeśli nie byłaby bardziej pijana, zaatakowałaby kogoś.

- Jezu – odezwał się Mardave. – Zwolnij. Co jeśli ktoś cię widzi?

Piła w olbrzymich haustach, tam na ulicy. Ben śmiał się, ale to nie był dobry śmiech. Śmiał się z pijaczki.

- Ona jest zakażona – mówi Dante.

Matilda odwróciła się do niego, automatycznie rzucając w jego kierunku pustą puszką. – Zamknij się, dupku.

- Dotknijcie jej skóry – powiedział Dante. – Zimna. Uciekła z domu, kiedy to się stało i nikt jej nie widział do tej pory.

- Jestem zimna, bo na dworze jest zimno – powiedziała.

Zobaczyła jak ocena Bena o niej zmieniła się z wystarczająco uszkodzonej, by sypiać z nieznajomymi do wystarczająco niebezpiecznej, by atakować nieznajomych.

Mardave dotknął delikatnie jej ramienia. – Hej – powiedział.

Prawie zasyczała z radością na nacisk jego rozgrzanych palców. Uśmiechnęła się do niego i miała nadzieję, że jej oczy nie są tak głodne jak jej skóra. – Naprawdę cię lubię.

Wzdrygnął się. – Popatrz, już późno. Może moglibyśmy spotkać się innym razem. – Później odszedł, co uczyniło ją tak złą, że ugryzła wnętrze swojego policzka.

Jej buzia zalała się smakiem miedzi i czerwona mgła uniosła się jej przed oczami.

&

Pięćdziesiąt siedem dni temu, Matilda była trzeźwa. Miała chłopaka o imieniu Julian i stroili się w jej sypialni. On lubił nosić chude krawaty i brokatowy cień do powiek. Ona lubiła stare rockowe T-shirty i buty, które tak wysoko się sznurowały, że ciągle się spóźniali, bo zajęci byli ich zawiązywaniem.

Matilda i Julian wystroili się i krążyli po ulicy i koło zamkniętych klubów, które były niedostępne od zmroku do świtu. Matilda nie była szczególnie nieostrożna; była po prostu wystarczająco nieostrożna.

Była na imprezie przyjaciela. Było tu duszno, gorąco i była wściekła, bo Julian i Lidia robili jakąś rzecz taneczną ze szkolnego musicalu. Matilda chciała tylko zaczerpnąć powietrza. Otworzyła okno i wspięła się na zewnątrz pod podskakującą girlandą czosnku.

Inna dziewczyna była już na trawniku. Matilda powinna była zauważyć, że jej oddech nie krystalizuje się w powietrzu, ale nie zrobiła tego.

- Masz ogień? – zapytała dziewczyna.

Matilda miała. Sięgnęła po zapalniczkę Juliana, gdy dziewczyna chwyciła jej ramię i zgięła ją do tyłu. Krzyk Matildy zamienił się w zszokowany płacz, gdy poczuła zimne usta dziewczyny na swojej szyi, zimne palce dziewczyny utrzymujące ją w równowadze.

Potem było tak, jakby ktoś wbił jej dwa odłamki lodu w skórę.

&

Rozprzestrzenienie się wampiryzmu można przypisać jednej osobie – Casparowi Moralesowi. Filmy, książki i telewizja zapoczątkowały idealizowanie wampirów i może to była tylko kwestia czasu zanim wampir zaczął idealizować siebie.

Szalony, romantyczny Caspar postanowił, że nie zabije swoich ofiar. Pił trochę krwi, a potem przemieszczał się z miasta do miasta. Do czasu, gdy inne wampiry go nie dogoniły i nie rozerwały na kawałki, zakazał sto ludzi. Te nowe wampiry, nie wiedząc jak zapobiec rozprzestrzenianiu się, zakazili tysiące.

Gdy pierwszy wybuch zdarzył się w Tokio, to wyglądało jak wybryk dziennikarski. Później był inny wybuch w Hongkongu i inny w San Francisco.

Wojska wywieszały barykady wokoło obszaru, gdzie wybuchło zakażenie. To był pierwszy sposób założenia Coldtown.

&

Ciało Matildy drgnęło mimowolnie. Mogła poczuć jak skurcz rozpoczęty w mięśniach przenosi się na jej plecy, a potem na twarz. Objęła się ramionami, próbując to przerwać, ale jej ręce drżały dość mocno. – Chcesz mojej pomocy, lepiej kup mi jakiś alkohol.

- Zabijasz siebie – rzekł Dante, potrząsając głową.

- Po prostu potrzebuję kolejnego drinka – powiedziała. – Potem będę czuć się dobrze.

Pokręcił głową. – Nie możesz tak robić. Nie możesz po prostu się upić, żeby uniknąć problemów. Wiem, ludzie tak robią. To nawet klasyczny ruch, ale nie zaliczam cię do fetyszyzujących swój los.

Zaczęła się śmiać. – Ty nie rozumiesz. Gdy jestem wyniszczona nie pragnę krwi. To jedyna martwa rzecz, która utrzymuje mnie człowiekiem.

- Co? – Spojrzał na Matyldę, jakby nie zrozumiał sensu jej słów.

- Niech to przeliteruję: jeśli nie kupisz mi jakiegoś alkoholu, ugryzę cię.

- O. – Grzebał w swoim portfelu. – Oh. Okej.

Matilda wydała swoją gotówkę w parę pierwszy tygodni, więc minęło trochę czasu odkąd mogła po prostu dać jakiemuś bezdomnemu facetowi za dużo pieniędzy, by wszedł do sklepu

monopolowego i przyniósł jej piątą wódkę. Łyknęła z wdzięcznością z butelki, którą dał jej Dante w przejściu obok.

Kilka chwil później, ciepło powoli zniknęło z jej żołądka, a w ustach poczuła jakby miała pełno igieł i Novocainę.

- Jak się czujesz? – zapytał ją.

- Teraz lepiej – powiedziała, jej słowa płynęły lekko. – Ale nadal nie rozumiem. Dlaczego potrzebujesz mojej pomocy, by znaleźć Lidię i Juliana?

- Lidia dostała obsesji na punkcie zostania wampirem – powiedział Dante z rozdrażnieniem zaczesując zabłąkane włosy, które spadły mu na twarz.

- Dlaczego?

Wzruszył ramionami. – Kiedyś naprawdę bała się wampirów. Gdy byliśmy dziećmi, błagała mamę, by na obozie była w przedpokoju, bo chciała spać tam gdzie nie ma okien. Ale sądzę, że wtedy zaczęła być już zafascynowana. Ona myśli, że nadchodzi ludzkie unicestwienie. Mówi, że wszyscy musimy wybrać strony i ona już wybrała.

- Nie jestem wampirem – mówi Matilda.

Dante wyraził gestem swoje rozdrażnienie z papierosem w ręku. Papieros dawno się wypalił.

Nie wyglądał jak zwykle pogardliwie; wyglądał na zagubionego. – Wiem. Pomyślałem, że będziesz. I – nie wiem – jesteś na ulicy. Może wiesz więcej niż wideo o tym, gdzie ktoś może iść, by go ugryzli.

Matilda pomyślała o leżeniu na podłodze w salonie rodziców Juliana. Byli spoceni z tańców i pocałowali się leniwie. W telewizji mignęła lista zaginionych ludzi. Zamknęła oczy i znów go pocałowała.

Kiwnęła wolno głową. – Znam kilka miejsc. Dostałeś w ogóle od niej wiadomość?

Potrząsnął głową. – Nie odbiera żadnego z moich telefonów, ale uaktualniała swojego bloga. Pokażę ci.

Załadował go na swoim telefonie. Ostatni wpis był pod tytułem: Potrzebuję Wampira. Matilda przewinęła w dół i przeczytała. W zasadzie to był apel Lidii, by zostać ugryzioną. Chciała, by jakiegokolwiek wampiry szukające ofiary skontaktowały się z nią. W komentarzach, ktoś zasugerował Coldtown, a następnie inna osoba wypowiedziała się w wielkich literach, że każdy wie, że wampiry w Coldtown uważają, by utrzymać swoje źródło pożywienia przy życiu.

Nie można było wiedzieć, które komentarze Lidia przeczytała, a w które uwierzyła.

&

Uciekinierzy przyjeżdżali do Coldtown cały czas, wraz z chorobą, smutkiem i sentymentem. Miało być tutaj rzekome przyjęcie ich za cenę krwi. Ale ci co raz weszli do środka, ludzie – nawet ludzkie dzieci, nawet dzieci urodzone w Coldtown – nie mieli prawa wyjść. Gwardia Narodowa spatrolowała druty kolczaste i pokryte czosnkiem ściany, aby upewnić się, że Coldtown zostało opanowane.

Ludzie mówili, że wampiry znalazły sposoby na przejście przez ściany do świata zewnętrznego. Może to była tylko plotka, choć Matylda pamiętała jak czytała w sieci o dokumencie, który dowiódł prawdy. Nie widziała go.

Ale wszyscy wiedzieli, że jest tylko jeden sposób na wydostanie się z Coldtown jeśli nadal jesteś człowiekiem. Twoja rodzina musiała być dość bogata, by pozwolić sobie na zatrudnienie łowcy wampirów. Łowcy wampirów dostawali pieniądze od rządu za każdego wampira, którego wrzucili do Coldtown, ale mogli zrezygnować z nagrody pieniężnej za kupon na uwolnienie jednego człowieka.

Jeden wampir do środka, jeden człowiek na zewnątrz.

Był popularny serial telewizyjny o jednym z łowców, nazywanym Hemlokiem. Dziewczyny wieszały sobie jego plakaty we wnętrzach ich szafek, często tuż obok zdjęcia wampirów, na które polował.

Większość ludzi nie miała pieniędzy, żeby przebić rząd w licytacji o usługi łowcy. Matilda nie myślała, że rodzina Dantego ma i wiedziała, że rodzina Juliana nie ma. Jej jedyną szansą było złapanie Lidii i Juliana zanim przejdą na drugą stronę.

&

- Co z Julianem? – zapytała Matilda. Unikała tego pytania całymi godzinami, gdy szli alejkami, które im bliżej byli bram stawały się coraz bardziej puste.

- Co masz na myśli? – Dante był zgarbiony przed wiatrem, jego długie chude ciało dawało niewiele ochrony przed chłodem. Mimo to wiedziała, że pod spodem ma ciepło. Wewnątrz.

- Dlaczego Julian z nią poszedł? – Próbowwała nie okazywać bólu w głosie. Nie sądziła, że Dante zrozumie. Był DJ w klubie w mieście i podobno spotykał się z różnymi chłopcami i dziewczynami, każdego dnia tygodnia. Jedyną osobą, o którą rzeczywiście wydawał się troszczyć, była jego siostra.

Dante wzruszył szczupłymi ramionami. – Może szuka ciebie.

To była dopowiedź, którą chciała usłyszeć. Uśmiechnęła się i wyobraziła sobie jak ratuje Juliana na chwilę zanim wszedł do Coldtown. Powiedziała by jej, że przyszedł, by ją ochronić, a potem śmialiby się i nie ugryzłaby go, bez względu jak ciepła byłaby jego skóra.

Dante strzelił palcami przed Matildą, a ona się potknęła.

- Hej – odezwała się. – Tutaj pijana dziewczyna. Żadnego zwodzenia mnie.

Zaśmiała się.

Matilda i Dante sprawdzili wszystkie miejsca, które знаła, wszystkie miejsca, gdzie spała w kartonach obok uciekinierów i prosiła o zmianę. Dante miał zdjęcie Lidii w portfelu, ale nikt, kto je widział nie pamiętał jej.

W końcu przed barem, wpadli na dziewczynę, która powiedziała, że widziała Lidię i Juliana. Dante dał jej resztę paczki papierosów dla jej historii.

- Szli do Coldtown – powiedziała, zapalając papierosa. W migotliwym płomieniu zapalniczki, Matylda zauważyła płytkie cięcia wzdłuż jej nadgarstków. – Powiedziała, że jest zmęczona czekaniem.

- Co z facetem? – zapytała Matilda. Wpatrywała się w zaschnięte granatowe strupy dziewczyny. Wyglądały jak skórki cukru, jak linie soli zostawionej na plaży, gdy kończy się przyływ. Chciała je liczyć.

- Powiedział, że jego dziewczyna jest wampirem – powiedziała dziewczyna, wdychając głęboko. Zgasiła papierosa a potem zakaszła.

- Kiedy to było? – spytał Dante.

Dziewczyna wzruszyła jej ramionami. – Zaledwie kilka godzin temu.

Dante wyjął telefon i nacisnął kilka przycisków. – Ładuj się – mamrotał. – Dalej, ładuj się.

- Co ci się stało w ramiona? – spytała Matilda.

Dziewczyna znowu wzruszyła ramionami. – Kupili ode mnie trochę krwi. Powiedzieli, że mogą potrzebować tego w środku. Mieli prawdziwy profesjonalny sprzęt. Ostra brzytwa i jedna z tych szklanych misek z plastikową pokrywką.

Żołądek Matildy zacisnął się z głodu. Odwróciła się do ściany i odetchnęła wolno. Miała ochotę na drinka.

- Coś jest z nią nie tak? – zapytała dziewczyna.

- Matilda – powiedział Dante i Matilda odwróciła się na wpół. Trzymał swój telefon. Był nowy wpis na blogu Lidii zatytułowany: Bilet W Jedną Stronę Do Coldtown.

&

- Powinnaś o tym napisać – odezwał się Dante. – Na forach internetowych. – Matilda siedziała na ziemi, dłubiąc przy murze z cegły, dając coś do zrobienia palcom. Dante znacznie przepłacił za kolejną butelkę wódki i była teraz w zmarszczonej papierowej torbie.

Zmarszczyła brwi. – Napisać o czym?

- O alkoholu. O tym, że pomaga ci to przed zmianą.

- Gdzie mogę napisać na ten temat?

Dante odkręcił korek. Gorąco wydawało się promieniować z jego skóry, kiedy pociągał z butelki. – Są fora dla osób, które muszą hamować kogoś przez osiemdziesiąt osiem dni. Spotykają się i wymieniają porady na temat uchwytów i rozpowszechniania Widi¹ prosząc o krew. Nie widziałaś **diem**²?

Potrząsnęła głową. – Założę się, że opanowują już gorący temat dyskusji. Wątpię, że powiem im coś, czego już nie wiedzą.

Roześmiał się, ale to był gorzki śmiech. – Są jeszcze wszystkie osoby, które chcą być wampirami. Strony internetowe przypominające wszystkie te zwłoki przynęty ukąszone przez zakażoną osobę to mało; to musi być wampir. Oni tworzą listę sztuczek, żeby być dostrzeżonym przez wampiry. – Jak co?

- Spotykałem się z dziewczyną, która cięła sobie cienkie linie na udach zanim poszła tańczyć, więc jeśli wampir był w klubie, wyczuwał jej zapach. – Dante nie wyglądał już ekstrawagancko czy sztucznie. Wydawał się przygnębiony.

Matilda uśmiechnęła się do niego. – Była prawdopodobnie lepszą alternatywą niż ja na wprowadzenie cię do Coldtown.

Przywrócił błądy uśmiech. – Najgorsze jest to, że Lidia nie dostanie tego, czego chce. Zostanie ludzkim służącym jakiegoś wampira, który zrobi jej cały pęk obietnic i nigdy jej nie przemieni. Ostatnią rzecz, której chcą w Coldtown, są nowe wampiry.

Matilda wyobraziła sobie, jak Lidia i Julian tańczą na niekończącym się Wiecznym Balu. Wyobraziła sobie ich na ulicach, zobaczyła na obrazach przesłanych do Facebooka i Flickra, próbujących wymienić miskę pełną krwi na ich własną śmierć.

Kiedy Dante podał jej butelkę, udawała, że bierze łyk. W przeddzień jej pięćdziesiątego ósmego dnia zakażenia, Matilda zaczęła trzeźwieć.

Pełzając, usiadła okrakiem na pasie Dante, zanim miał okazję do zmiany pozycji.

Jego usta miały smak tytoniu. Gdy oderwała się od niego, jego oczy były szeroko otwarte ze zdziwienia, źrenice były rozszerzone i czarne nawet w nikłym świetle latarni.

- Matilda – powiedział, i nic nie było w jego głosie oprócz tęsknoty.

- Jeśli naprawdę chcesz swojej siostry, będę potrzebować jeszcze jednej rzeczy od ciebie – powiedziała.

Jego krew smakowała jak łyk.

&

Matilda czuła jakby jej skóra się zapaliła. Zmieniała się w oświetlony papier, spalając się. Skręcając się w czarny popiół.

Lizała jego szyję, w kółko i w kółko.

&

¹ Widi to technologia bezprzewodowego przesyłania obrazu

² Diem, to dzień po łacinie

Bramy Coldtown były duże i zrobione z poświęconego drzewa, drut kolczasty przykrywał je jak ciężkie, kolczaste winorośle. Strażnicy garbili się przy swoich stanowiskach, bronie palne mieli na ramionach, dzielili się papierosem. Zapach parzącej się kawy unosił się z wartowni.

- Um, cześć – powiedziała Matilda. Krew wciąż była lepka tam, gdzie była pół zaschnięta wokół jej ust i na szyi. Spływała w dół jej koszuli, usztywniając się niemal do pęknięcia, gdy poruszała się. Jej ciało zrobiło się dziwne, gdy umierała. Gorące. Żywsze niż przez ostatnie tygodnie.

Z Dante będzie wszystko w porządku; nie była zaraźliwa i nie sądziła, że zadała mu straszny ból. Miała nadzieję, że nie zadała mu straszego bólu. Dotknęła telefonu w swojej kieszeni, jego telefonu, tego, którego użyła, by zadzwonić pod 911, a potem go zostawiła.

- Cześć – zawołała do strażników jeszcze raz.

Jeden się obrócił. – O mój Boże – powiedział i sięgnął po swoją strzelbę.

- Jestem tutaj, by wydać wampira. Za kupon. Chcę wydać wampira w zamian za wypuszczenie człowieka z Coldtown.

- Jakiego wampira? – zapytał inny strażnik. Odrzucił papierosa, ale nie zgniótł go, więc po prostu palił się na asfalcie.

- Mnie – rzekła Matilda. – Chcę wydać mnie.

&

Kazali jej czekać, gdy jej tętno brząkało wolniej i wolniej. Nie była jeszcze wampirem, i po kilku telefonach, odkryli, że formalnie rzecz biorąc mogła użyć kuponu jako nieumarła. Pozwolili jej umyć twarz w łazience wartowni i wykręcała cienką tkaninę jej koszuli do czasu, gdy nie zbiegła do odpływu czysta woda zamiast z krwią.

Kiedy spojrzała w lustro, jej skóra miała nieznane fioletowe cienie, jak siniaki. Wciąż wpatrywała się w nie, gdy przestała móc łapać oddech. Puste uczucie w piersi rozszerzyło się i znalazła w sobie panikę, upadając na kolana na brudne kafelki podłogi. Umarła tam, chwilę później.

Nie bolało tak bardzo jak się martwiła. Podobnie jak większość rzeczy, niespodzianka była najgorsza.

&

Strażnicy wpuścili Matildę do Coldtown trochę przed świtem. Świat wyglądał dziwnie – wszystko miało rozmazaną, srebrną poświatę, jakby oglądała stary film. Czasami głowy ludzi wydawały się rozmazywać do czarnych plam. Jeden kolor się różnił – pulsujący, emanujący kolorem, który wydawał się świecić pod skórą.

Czerwony.

Jej zęby gorąco pragnęły na to patrzeć.

Wewnątrz niej była cisza. Już nie ruszała się do rytmicznego bicia swego serca. Jej ciało zrobiło się dziwne, twarde jak marmur, wolne od bólu. Nigdy nie zdała sobie sprawy, ile małych agonii żyje w skrzypnięciu jej kości, pociągnięciu mięśni. Teraz, wolna od nich, miała ochotę płynąć.

Matilda rozglądnęła się swoimi dziwnymi nowymi oczami. Wszystko było piękne. A światło na skraju nieba było najpiękniejszą rzeczą ze wszystkich.

- Co robisz? – dziewczyna zawołała od drzwi. Miała długie czarne włosy, ale odrosty wskazywały na blond. – Chodź tutaj! Oszalałaś?

W oszołomieniu, Matilda zrobiła to, co powiedziała. Wszystko zamazało się, gdy poruszyła się, jakby świat był pomalowany w akwarelach. Dziewczyna z różowo-czerwoną twarzą wirowała wraz z tym.

Było oczywiste, że dom był kiedyś wielki, ale wyglądało jakby był opuszczony od dłuższego czasu. Graffiti przykryło złuszczoną tapetę, a kanapy były zepchane pod ścianę. Chłopiec mający na sobie dzinsy, ale żadnej koszuli robił makijaż dziewczynie ze zeszywniałymi różowymi warkoczami, podczas, gdy inna dziewczyna w sukience w groszki retro wciągała pończochy.

W kącie, inny chłopiec – z lśnącymi brązowymi włosami, które spadały do jego pasa – układał stos słoików utartych zbóż w niebezpieczną piramidę.

- Co to za miejsce? – zapytała Matilda.

Chłopiec układający w stos słoiki, obrócił się. – Popatrzcie na jej oczy. Ona jest wampirem! – Jednak nie wyglądał na przestraszonego; wydawał się zachwycony.

- Wprowadźcie ją do piwnicy – powiedziała jedna z dziewczyn.

- Dajcie spokój – powiedziała czarnowłosa dziewczyna i pociągnęła Matildę w stronę drzwi. – Jesteś świeżo przemieniona, prawda?

- Tak – powiedziała Matilda. Jej język omiół jej własne ostre zęby. – Zgaduję, że to całkiem oczywiste.

- Nie wiesz, że wampiry nie mogą wyjść na dwór za dnia? – zapytała dziewczyna, potrząsając głową. – Strażnicy używają tego podstępu na każdym nowym wampirze, ale nigdy nie zobaczyłam jak ktoś się daje na to nabrać.

- No tak – powiedziała Matilda. Zeszli po chwiejnych schodach do brudnej piwnicy z materacem na podłodze pod jedną żarówką. Skrzynki z artykułami spożywczymi zostały odsunięte pod ścianę, niewielkie okienka były pomalowane smolistą substancją, która nie przepuszczała żadnego światła.

Czarnowłosa dziewczyna, która zaprosiła ją do środka, uśmiechnęła się. – Handlujemy ze strażnikami granicy. Czarny rynek jedzenia, ubrań, luksusowe dodatki jak czekolada i papierosy dla jakiegoś działania. Wampiry nie posiadają wszystkiego.

- I będziesz nam winna za pozwolenie ci nocować – rzekł chłopiec ze szczytu schodów.

- Nie mam niczego – mówi Matilda. – Nie wniosłam jakichkolwiek puszek jedzenia lub czegoś takiego.

- Musisz nas ugryźć.

- Co? – spytała Matilda.

- Jedno z nas – odezwała się dziewczyna. – Co ty na to? Możesz nawet wybrać kogo.

- Dlaczego chcielibyście bym to zrobiła?

Wyraz twarzy dziewczyny jasno powiedział, że Matilda jest głupia. – Kto nie chce żyć wiecznie?

Ja nie chcę, chciała powiedzieć Matilda, ale połknęła słowa. Mogła powiedzieć, że już myśleli, iż nie zasługuje na bycie wampirem. Poza tym, chciała poczuć smak krwi.

Chciała spróbować czerwonych pulsujących wnętrzości dziewczyny przed nią. To nie ból czuła, gdy się zaraziła tylko głód, który sprawił, że jej żołądek się zaciskał, pragnienie ciepła. To było podniecające, zachłanne pragnienie.

- Jutro – powiedziała Matilda. – Kiedy znowu będzie noc.

- Dobrze – rzekła dziewczyna. – Ale obiecujesz, prawda? Przemienisz jedno z nas?

- Tak – powiedziała tępo Matilda. Trudne było nawet czekać tak długo.

Poczuła ulgę, gdy poszli na górę, ale mniejszą ulgę przyniosło to, że usłyszała jak coś ciężkiego opadło przed drzwi piwnicy. Powiedziała sobie, że to nie ma znaczenia. Jedyna rzecz, która ma teraz znaczenie, to, aby przetrwała dzień, by mogła znaleźć Juliana i Lidę.

Potrząsnęła głową, żeby wyczyścić myśli z krwi i włączyła telefon Dantego. Choć tego nie oczekiwała, wiadomość tekstowa czekała: Nie mogę powiedzieć czy cię Kocham czy chcę

cię zabić. Ulga spłynęła po niej. Jej usta wygięły się w uśmiechu i jej nowe spiczaste kły rozcięły jej wargę. Skrzywiła się. Dante czuł się dobrze.

Otworzyła bloga Lidii i umieściła anonimową wiadomość: Powiedz Julianowi, że jego dziewczyna chce go zobaczyć... i ciebie.

Matilda ułożyła się wygodnie na brudnym materacu. Popatrzyła w górę na zniszczone deski sufitu i pomyślała o Julianie. Miała tylko jeden bilet z Coldtown i dwoje ludzi do uratowania, ale łatwo było sobie wyobrazić uratowanie Lidii, gdy Julian mężnie zaproponuje, że z nią zostanie, nawet obieca jej wieczne oddanie.

Oblizwała wargi na ten obraz. Kiedy zamknęła oczy, wszystkie jej wytwory wyobraźni utonęły w czerwonym morzu.

Budząc się o zmierzchu, Matilda sprawdziła blog Lidii. Lidia umieściła odpowiedź: Spotkajmy się na Festiwalu Grzeszników.

Pięcioro dzieciaków siedziało na szczycie schodów, patrząc na nią płynnymi oczami.

- Nie śpisz? – zapytała czarnowłosa dziewczyna. Wydawała się pulsować kolorem. Jej ruszające się usta były hipnotyzujące.

- Chodź tutaj – powiedziała do niej Matilda, głosem, który wydawał się tak daleki, że zaskoczona stwierdziła, iż to był jej własny. Nie miała zamiaru mówić, nie miała zamiaru przywoływać dziewczynę skinieniem do niej.

- To nie fair – zawołał jeden z chłopców. – To ja byłem tym, który powiedział, że jest nam coś winna. To powinienem być ja. Powinnaś wybrać mnie.

Matilda zignorowała go, gdy dziewczyna uklękła na brudnym materacu i odsunęła włosy, obnażając długą, nie oznakowaną szyję. Wyglądała olśniewająco, istota z krwi i oddechu, delikatna jak manekin, jak kruche pałeczki.

Małe złote włosy połaskotały nos Matyldy, kiedy ugryzła.

I przełknęła.

Krew była ciepła i serce biło monotonnie wpompowując powoli jad przez grube korzenie żył, tryskając stopionym gorącem przez język, usta, zęby, brodę.

Słabo, Matilda poczuła, jak ktoś ją szturcha, a ktoś jeszcze krzyczy, ale to wydawało się dalekie i mało ważne. W końcu słowa stały się jaśniejsze.

- Przestań – ktoś krzychał. – Przestań!

Ręce odciągnęły Matildę od dziewczyny. Jej szyja była lśniącem czerwonym bałaganem. Krew poplamiała materac i przykryła ręce Matyldy i włosy. Dziewczyna kasłała, krew musowała pieniąc się na jej wardze, a potem nagle ucichła.

- Co zrobiłaś? – zawodził chłopiec, układając ostrożnie ciało dziewczyny. – Ona nie żyje. Ona nie żyje. Zabiłaś ją.

Matilda cofnęła się od ciała. Jej ręka skierowała się automatycznie do ust, przykrywając je. – Nie chciałam – powiedziała.

- Może będzie z nią wszystko w porządku – powiedział inny chłopiec, jego głos drżał. – Musimy mieć bandaż.

- Ona nie żyje – jęknął chłopiec trzymający ciało dziewczyny.

Cienkie zawrodozenie wyszło z głębi Matyldy, gdy wycofała się w kierunku schodów. Jej żołądek czuł się pełny, rozdęty. Chciała wymiotować.

Inna dziewczyna złapała ramię Matyldy. – Czekaj – powiedziała dziewczyna, jej oczy były szerokie i błagające. – Musisz ugryźć mnie następną. Jesteś teraz pełna, więc nie będziesz musiała mnie skrzywdzić...

Z krzykiem, Matilda uwolniła się i wbiegła po schodach – gdyby szła wystarczająco szybko może mogłaby uciec od siebie.

Matilda była przed czasem na Festiwalu Grzeszników, w ustach miała metaliczny smak i była zdrętwiała ze strachu. Nie była człowiekiem, nie była dobra, i nie wiedziała, co zrobi dalej. Drapała swoją koszulę, jakby tyle krwi kiedykolwiek mogło się zetrzeć, jakby to już nie zmoczyło jej skóry i jej brudnych wnętrzności.

Festiwal był łatwy do znalezienia, nawet tak zawiły jak ona. Ludzie z radością wskazywali jej kierunki, najwyraźniej nie przeszkadzało im, że jest zalana krwią. Ich swobodne zachowanie przerażało, ale nie było tak przerażające jak to, że znowu chciała się pożywić.

Po drodze minęła Wieczny Bal. Światła stroboskopowe oświetlały pozostałości okien wzdłuż kopuły i dziewczyna z niebieskimi włosami spletanymi w tuzin warkoczyków, trzymając kamerę wideo, robiła wywiad z trzema mężczyznami ubranymi na biało ze świecącymi czerwonymi oczami.

Wampiry.

Przeszła przez nią fala strachu. Przypomniała sobie, że oni już nic nie mogli jej zrobić. Była już jak oni. Już umarła.

Festiwal Grzeszników odbywał się przy kościele z witrażami pomalowanymi na czarno w środku. Drzwi wytapetowane były plakatami z różowymi wzorami, były pomalowane takim samym smolistym czarnym kolorem. Muzyka brzdąkała od wewnątrz i kilku ludzi siedziało na stopniach, paląc i rozmawiając.

Matilda weszła do środka.

Odźwierny odciągnął dla niej na bok aksamitną linę, pozwalając jej minąć linę ludzi czekających, aby zapłacić za wstęp. Zasady były inne dla wampirów, może zwłaszcza dla wampirów mających na sobie niechlujny strój z taką ilością krwi.

Matilda przejrzała pokój. Nie widziała Juliana lub Lidii, tylko tłum tancerzy i bar, który służył alkoholem z ogromnej miedzianej beczki. Rozlewał się do niedobrych kubków. Wtedy jeden z ludzi obok baru przesunął się i Matilda zobaczyła Lidię i Juliana.

Był pochylony nad nią, krzycząc do jej ucha.

Matilda przepchnęła się przez tłum, aż była wystarczająco blisko, aby dotknąć ramienia Juliana. Wyciągnęła rękę, ale nie mogła się całkiem zmusić do dotknięcia jego skóry jej obrzydliwością.

Julian podniósł wzrok, zaskoczony. – Tilda?

Odsunęła rękę jakby miała dotknąć ognia.

- Tilda – powiedział. – Co ci się stało? Zraniłaś się?

Matilda wzdrygnęła się, spoglądając na siebie. – Ja...

Lidia roześmiała się. – Zjadła kogoś, durniu.

- Tilda? – zapytał Julian.

- Przykro mi – powiedziała Matilda. Bardzo było jej żal, ale przynajmniej była teraz tutaj. Julian powie jej, co robić i jak ma zmienić się z powrotem w coś ludzkiego. Ona ocali Lidię, a on ocali ją.

Dotknął jej ramienia, pozwalając ręce ostrożnie opierać się na jej zaschniętej krwi koszuli. – Szukaliśmy cię wszędzie. – Jego łagodny wyraz twarzy był zabarwiony przerażeniem; strach przyciągnął jego uśmiech do czegoś podobnego do grymasu.

- Nie byłam w Coldtown – rzekła Matilda. – Przyszłam tu, aby Lidia mogła wyjść. Mam przepustkę.

- Ale ja nie chcę wychodzić – powiedziała Lidia. – Rozumiesz to, prawda? Chcę to, co ty masz – wieczne życie.

- Nie jesteś zakażona – powiedziała Matilda. – Musisz pójść. Wciąż możesz być w porządku. Proszę, potrzebuję żebyś poszła.

- Jedna przepustka? – odezwał się Julian, jego oczy powędrowały do Lidii. Matilda zobaczyła prawdę w wadze tego spojrzenia – Julian nie przyszedł do Coldtown dla Matildy.

Chociaż wiedziała, że nie zasługuje na to, żeby myślał o niej jak o czymś więcej niż potworze, to ostro zabolęła.

- Nie wychodzę – powiedziała Lidia, odwracając się do Juliana, wydymając wargi.

- Powiedziałeś, że nie będzie taka.

- Zabiłam dziewczynę – powiedziała Matilda. – Zabiła ją. Rozumiesz to?

- Kto dba o jakąś śmiertelną dziewczynę? – Lidia odrzuciła swoje włosy. W tym momencie, przypominała Matildzie brata Lidii, pretensjonalnego Dantego, który okazał się być w rzeczywistości miłym facetem. Tak jak słodka Lidia okazała się okrutna.

- Jesteś dziewczyną – powiedziała Matilda. – Jesteś śmiertelna.

- Wiem to! – Lidia przewróciła oczami. – Po prostu mam na myśli, że nie dbamy o to, kogo zabijamy. Przemieniacie nas, a potem możemy zabijać mnóstwo ludzi.

- Nie – powiedziała Matilda, przełykając. Spuściła wzrok, nie chcąc słyszeć, co ona ma do powiedzenia. Wciąż była szansa. – Spójrz, mam przepustkę. Jeśli jej nie chcesz, Julian powinien ją wziąć i pójść. Ale nie przemienię cię. Nigdy cię nie przemienię, zrozum.

- Julian nie chce wyjść – rzekła Lidia. Jej oczy błyszczały i rozpalone plamy pojawiły się na jej policzkach. – W każdym razie, kim jesteś żeby mnie sądzić? Jesteś mordercą.

Matilda zrobiła krok do tyłu. Rozpaczliwie chciała, by Julian powiedział coś w jej obronie, albo chociaż na nią popatrzył, ale jego spojrzenie pozostało niezłomnie na Lidii.

- Więc żadne z was nie chce przepustki – powiedziała Matilda.

- Idź do diabła – splunęła Lidia.

Matilda odwróciła się.

- Czekaj – powiedział Julian. Jego głos brzmiał słabo.

Matilda okręciła się, nie mogąc powstrzymać nadziei na swojej twarzy i zobaczyła dlaczego Julian ją zawołał. Lidia stała za nim, długi nóż był przystawiony do jego gardła.

- Przemień mnie – powiedziała Lidia. – Przemień mnie, albo go zabiję.

Oczy Juliana były szeroko otwarte. Zaczął protestować lub błagać czy coś, i Lidia przycisnęła nóż mocniej, uciszając go.

Ludzie obok przestali tańczyć, cofając się. Jedna dziewczyna ze szklanymi czerwonymi oczami wpatrywała się chciwie w nóż.

- Przemień mnie! – wykrzyknęła Lidia. – Jestem zmęczona czekaniem! Chcę, by moje życie się zaczęło!

- Nie będziesz żywa... - zaczęła Matilda.

- Będę żywa – będę żywsza niż kiedykolwiek. Tak jak ty.

- Dobrze – powiedziała łagodnie Matilda. – Daj mi swój nadgarstek.

Tłum zdawał się mocniej zacieśnić, patrząc jak Lidia podaje swoje ramię. Matilda przykucnęła nisko, pochylając się nad nim.

- Weź nóż z jego gardła – rzekła Matilda.

Lidia, całą uwagę skupiając na Matildzie, pozwoliła Julianowi odejść. Potknął się lekko i przycisnął palce do szyi.

- Kochałem cię – krzyknął Julian.

Matilda podniosła wzrok, by zobaczyć, że nie mówił do niej. Posłała mu błyszczący uśmiech i ugryzła nadgarstek Lidii.

Dziewczyna krzyczała, ale krzyk zgubił się w uszach Matildy. Pogrzyżyła się w tętnie krwi, fali żarłocznej przyjemności i biciu muzycznym wokół nich, gdy serce Lidii słabło.

&

Matilda siedziała na nasiąkniętym krwią materacu i włączyła kamerę wideo, żeby sprawdzić jak działa życie żywicieli.

Julian wyjechał. Dała mu przepustkę zaraz po oczyszczeniu go z jego całej gotówki i wszystkich kart kredytowych; nie było sensu zmuszać go do opuszczenia Lidii skoro dopiero wróciła. Jąkając się przeprosił, co Matilda zignorowała i uciekł do bramy. Nie tęskniła za nim. Jej fantazje o Julianie stały się tak ulotne jak jej stare życie.

- To działa – jeden z chłopców – Michael – powiedział ze schodów, komputer kołysał się na jego kolanach. Chociaż zabiła jedno z nich, przyjęli ją z powrotem, wystarczająco zagorzali dla życia wiecznego, by zaryzykować więcej nekrologi. – Prowadzisz wideo na żywo.

Matilda umieściła kamerę na stosie skrzynek, skierowaną w jej stronę i ściany, gdzie przywiązała zakneblowaną Lidię. Dziewczyna szarpnęła się i kopnęła, ale Matilda ją zignorowała. Podeszła przed kamerę i uśmiechnęła się.

&

Mam na imię Matilda Green. Urodziłam się 10 kwietnia 1997. Umarłam 3 września, 2013. Proszę powiedzieć mojej matce, że czuję się dobrze. I Dante, jeśli to oglądasz, przykro mi. Widzieliście pewnie wiele wideo z wnętrza Coldtown. Też je widziałam. Obrazy dziewczyn i chłopców mielących się razem w klubach, albo krwawiących się elegancko dla swoich sławnych mistrzów wampirów. Oto, czego nigdy nie zobaczycie. Co zamierzam wam pokazać. Przez osiemdziesiąt osiem dni będziecie przyglądać się jak ktoś wypoci zakażenie. Ton zamierza przyglądać się, jak ona żebrze, krzyczy i płacze. Ton zamierza przyglądać się, jak wyrzuca jedzenie, sika w spodnie i mdleje. Przyjrzyjcie się, jak nakarmię ją puszką po puszcze utartego zboża. To nie będzie ładne.

Będzie oglądać także mnie. Jestem rodzajem wampira, którym bylibyście, jednym z nowych i zasadniczo poza kontrolą. Już kogoś zabiłam i nie mogę zagwarantować, że nie zrobię tego jeszcze raz. Jestem tą, która zakaziła tę dziewczynę.

To jest prawdziwe Coldtown.

Jestem prawdziwym Coldtown.

Wciąż chcesz wejść?

Kat - Kelley Armstrong

Łowcy wampirów przyszedli tuż przed świtem. Spałam głęboko, nic mi się nie śniło po nocy spędzonej z Marguerite na sparingu. Obudziłam się, gdy dotknęła mojego gołego ramienia zimnymi palcami.

- Kat? - Wszeptała. - Katiana?

Odepchnęłam ją mamrocząc, że mogę odpuścić sobie autobus i pobiec do szkoły, ale jej palce wbiły się w moje ramię, gdy mną potrząsała.

- To nie szkoła, *man chaton*¹ - Powiedziała z łagodnym francuskim akcentem. - To łowcy. Znaleźli mnie.

Moje oczy otworzyły się szeroko. Marguerite nachylała się nade mną, miała niebieskie oczy, twarz w kształcie serca otoczona była blond lokami. Kiedy byłam mała myślałam, że jest aniołem. Teraz wiedziałam lepiej, ale to niczego nie zmieniło. Wciąż była moim aniołem stróżem.

Podniosłam się z łóżka i rozejrzałam się po ciemnym pokoju. Gdy mrugnęłam dość mocno, mogłam to zobaczyć. Koci wzrok, tak Marguerite to nazywała. To była siła nadprzyrodzona, lecz nie jak u wampira. Nie miałyśmy pojęcia, co to było. W wieku szesnastu lat wciąż nie miałam innych mocy, poza częściową zdolnością widzenia w ciemności.

Marguerite wcisnęła mi w ręce ciuchy. Od dwóch lat spałyśmy w ubraniach, a pod naszymi łóżkami miałyśmy spakowane torby gotowe do wzięcia, gdyby zjawili się łowcy. Dwa lata uciekania. Dwa lata bycia tylko o krok przed nimi. Aż do teraz.

- Gdzie są? - Wszeptałam, podczas gdy wciskałam się w jeansy.

- Na zewnątrz, obserwują dom.

- Zgaduję, że czekają na światło słoneczne. - Prychnęłam. - Idioci. Pewnie myślą, że gdy słońce wstanie będziesz tu uwięziona.

¹ *man chaton (fr)*- kotku.

- Jeśli tak, to będą zaskoczeni. Ale wolałabym wcześniej się stąd zmyć, zanim wezwą posiłki.

- Więc wychodzimy? – Zapytałam.

Kiwnęła głową i wyruszyłyśmy.

Skradałyśmy się przez mieszkanie, które wynajęłyśmy w starym domu. W pokoju dziennym wskoczyłam na kanapę, a Marguerite podała mi śrubokręt. Odkręciłam osłonę szybu wentylacyjnego, podałam go jej, złapałam za brzeg, zakołysałam i oderwałam.

Czy kiedykolwiek widzieliście w jakimś programie telewizyjnym jak bohater wkłada się do legowiska jakiegoś drania przez szyb wentylacyjny? Czy myśleliście, że to jest proste? Nie jest. Po pierwsze, średniej wielkości szyb nie jest dla rozmiarów bohatera kina akcji. Po drugie, są one wyłożone metalem, więc to jest jak przeciskanie się przez blaszaną puszkę, każde stuknięcie kolanem rozbrzmiewa echem.

Na szczęście ani ja ani Marguerite nie jesteśmy rozmiarów bohatera akcji. I wiemy jak się poruszać bez wydawania dźwięków. Marguerite przychodziło to naturalnie. Wampiry są drapieżnikami i nigdy tego przede mną nie ukrywała. Moje zdolności zawdzięczałam treningom. Jestem gimnastyczką, mam brązowy pas w karate i drugi stopień czarnego pasa w aikido.

Brałam lekcje odkąd zaczęłam mieszkać z Marguerite jedenaście lat temu. Twierdzi, że wszyscy ze zdolnościami nadnaturalnymi muszą umieć sami się bronić. Może dostanę moce, które mi pomogą, ale jeśli stanę się nekromantom, to jestem w dupie. Nie użyła dokładnie takich słów. Marguerite nie przeklina i nie lubi, gdy ja to robię. Nie ma problemu z tym, że skopię komuś tyłek, po prostu nie chce, żebym mówiła pewne słowa.

Gdy uderzyłam łokciem w metalową część udało mi się ściszyć głos, gdy przeklinałam zamieniając to w cichy pomruk.

- Świetnie ci idzie. – Jej szept płynął do mnie. – Idź dalej. W końcu weszłyśmy na strych, gdzie usunęłyśmy wkręty z przewodu po tym, jak

je rozruszałyśmy. Podczas gdy pchałam to w górę i w dół przeklinałam w duchu, tym razem przeklełam na głos na osobę, która przybiła właz, co utrudniło ucieczkę. Dlatego też wynajęłyśmy to miejsce. Marguerite zobaczyła właz w tym mieszkaniu i cisnęła gotówką... tylko po to, aby uświadomić sobie, że był przybity, drewno było zbyt zgnite, żeby posuszyło za lewarek. Gdy byłyśmy na strychu Marguerite przejęła kontrolę. W ciemności widzi lepiej niż ja. W przewodzie pozwoliła mi iść z przodu, by kryć tyły, ale tu postanowiła prowadzić, by mieć pewność, że się nie potknę, nie przewrócę czy nie wpadnę na coś. Zawsze tak było. Trenowała mnie, bym mogła się bronić, ale gdy jest ze mną zawsze podejmuje ryzyko. Gdy miałam pięć lat to sprawiało, że czułam się bezpieczna i kochana. Teraz... cóż, część mnie chce powiedzieć, że to mnie wkurza, ale prawdę mówiąc wciąż to lubię.

Marguerite podeszła do świetlika w dachu. Gałęzie dębu ocierały o niego i wydawały dźwięk podobny do tego jak przy drapaniu paznokciami tablicy. Szarpnęła zniszczoną futrynę. Te gałęzie, mimo, że przyprawiały o gęsią skórę, były wspaniałą osłoną, ukrywały nas, gdy wślizgiwałyśmy się na dach. Podążając za nią ześliznęłam się po starych gontach, czułam jak zdzierają się pod moimi dłońmi. Skradałyśmy się wzdłuż cienia komina, potem przycisnęłam się do niego i wpatrywałam się w noc.

Marguerite zaczęła zamykać oczy, potem otworzyła je szeroko, jej nozdrza rozszerzyły się.

- Tak, krwawię. - Wyszepiałam. - Podrapane dłonie. Przeżyję. - Podała mi szmatkę. Zamknęła oczy próbując namierzyć łowców swoimi specjalnymi zmysłami. Wampiry mogą wyczuć żyjących. Marguerite nie wie, na jakiej zasadzie to działa, ale lata temu widziałam to widowisko u rekinów, mają one szósty zmysł, który wykrywa elektryczne impulsy, robiąc z nich perfekcyjnych drapieźców.

Dziś w nocy jej rekini zmysł nie miał zamiaru działać i Marguerite wciąż potrząsała głową, jakby próbowała go nastroić. Wyglądała na zmęczoną, jej oczy przygaśnione, twarz wymizerniała... Pamiętałam, jak zimna jej skóra była, gdy mnie budziła.

- Kiedy ostatni raz pożywiłaś się? – Wszeptałam.

- Mam torbę...

- Nie chodzi mi o tę czerstwą krew. Mam na myśli prawdziwy posiłek.

Jej odpowiedzią była cisza. Żywnienie się tymi opakowaniami to tak, jak dla człowieka żywnienie się codziennie w McDonalddie. Niezbyt zdrowe. Potrzebuje prawdziwego jedzenia, ciepłego i świeżego. Chociaż nie musi zabijać ludzi, żeby się pożywić, wypija trochę krwi, jak komar, to i tak jest zawsze niebezpieczne i odkąd uciekałyśmy ona tego nie robiła wystarczająco często.

- Nie możesz tego robić. Musisz się więcej pożywiać, żeby podtrzymać swoją energię.

- Oui, maman²

Spojrzałam na nią i przykucnęłam, alby mogła się skoncentrować. Po chwili wskazała na wschód.

- Dwoje jest tam. Obserwują i czekają. Musimy iść.

Kiwnęłam głową i poszłam za nią na tyły domu i zeszłyśmy na drzewo, byłyśmy ukryte w jego koronie. Przeskakiwałyśmy tak przez parę metrów, podczas, gdy zaczęło się rozjaśniać niebo, zaczynało zmieniać barwę z szarej na różową na wschodzie. Wschodzące słońce nie było problemem. Bram Stoker miał rację w jednej rzeczy z Draculą, wampiry nie mogą chodzić po słońcu bez żadnych problemów.

Ruszyłyśmy w kierunku przystanku autobusowego, trzy bloki dalej. W dni, w które szukałyśmy mieszkania, Marguerite nie pytała ile jest sypialni i łazienek, czy ile to kosztuje. Szukała takiego, z którego łatwo mogłybyśmy się wydostać i uciec daleko i szybko.

- Przepraszam, mon chaton. – Powiedziała, gdy biegłyśmy. – Wiem, że ci się tu podobało i wiem, że nie mogłaś się doczekać randki w sobotę.

² Oui, maman (fr) – Tak mamó.

- Przeżyję.

- Lubiłaś go.

Wzruszyłam ramionami.

- To tylko chłopak. Prawdopodobnie zmieni się na kolejnego dupka.

Życie na walizkach oznaczało nauczanie w domu. Nauczanie w domu oznaczało zmniejszone szanse na poznanie chłopaków. Więc najwięcej spotkań odbywało się na siłowni, gdzie było naprawdę dużo fajnych kolesi. Niestety większość z nich zdawała sobie sprawę z tego, jacy fajni byli. Luke wydawał się być inny, ale wmawiałam sobie, że to tylko pozory. To zawsze ułatwiało odejście.

Wylądowałyśmy na dachu sklepu spożywczego. Skoczyłam na płot z desek i przejechałam po jego szczycie.

- Kat zwolnij. - Marguerite zawołała za mną. - Spadniesz.

Odwróciłam się i uśmiechnęłam.

- Nigdy jestem kotołakiem, pamiętasz? - Przewróciła oczami.

- Nie ma takiej rzeczy.

- Ponieważ ja jestem pierwsza.

To był stary, ustalony porządek, znałyśmy swoje serca. Kochałam koty odkąd pamiętam i byłam przekonana, że to ma coś wspólnego z moim supernaturalnym typem. Marguerite mówi nie, nie ma czegoś takiego jak kotołaki. Mówi, że powodem, dla którego tak lubię koty jest fakt, że kiedy byłam mała ludzie mówili mi, że wyglądam jak kot, z moimi lśniącyymi, jasnobrązowymi włosami i zielonymi oczami. Nawet od dnia, w którym się poznałyśmy Marguerite nazywa mnie *chaton* - koteczku.

Wcześniej, gdy mieszkałam z rodzicami i miałam na imię Kathy jednak zawsze chciałam, by mówiono na mnie Kat, ale moja matka powiedziała, że to było głupkowate i Kathy było idealnym imieniem. Gdy odeszłam z Marguerite musiałam zmienić imię i byłam z tego powodu bardzo

szczęśliwa chcąc jakiegoś egzotycznego, bardziej fantastycznego imienia jak jej. Stałam się Katiana, ale wszyscy wołają na mnie Kat.

Pędziłam szczytem płotu z desek, potem zeskoczyłam za dworcem autobusowym. Gdy zmierzałam w jego kierunku Marguerite złapała mnie za rękę.

- Gdy wejdziemy do środka będziesz trzymała się blisko mnie. –
Powiedziała. – Żadnego uciekania.

- Nie mam pięciu lat Mags. – Powiedziałam.

Mogłam zwrócić uwagę na to, że to jej szukali łowcy, ale ona mogłaby powiedzieć, że przez to też jestem w niebezpieczeństwie. Mogłoby mnie porwać jako przynętę dla niej. Powiedziałabym, że jeśli złapałoby mnie oczekując, że będę zachowywać się jak rozhisteryzowana szesnastolatka to byłoby w szoku, ale nie byłam na tyle głupia, by dać zrobić sobie krzywdę. Zasada jednej ze sztuk walki: nigdy nie niedoceniaj swojego przeciwnika, a ja wiedziałam kilka rzeczy o naszych przeciwnikach. Marguerite powiedziała, że też mieli jakieś nadprzyrodzone zdolności. Wszyscy łowcy wampirów je mają, gdyż ludzie nic nie wiedzą o naszym świecie, więc mogliśmy mieć do czynienia z czymkolwiek, od półdemonów po wilkołaki.

Gdy weszliśmy do zaśmieconego przejścia zauważyłam wystającą nogę spod tekturowego pudła.

- Obiad. – Powiedziałam wskazując.

- Nie mamy czasu...

- Znajdziemy czas. – Powiedziałam ścisząc głos, gdy schylałam się do pudełka. – Potrzebujesz energii.

Kucnęłam i spojrzałam na pudła. Facet w nich spał głęboko. Skinęłam na Marguerite. Przyjrzała się i zawahała się, spoglądając na mnie. Wolałaby nie robić tego przy mnie, ale miałam rację, potrzebowała zastrzyku energii. Więc z gracją wcisnęła swoje ramiona do pudła, poruszając się bezszelestnie. Następną przerwą. Nie mogłam zobaczyć jej twarzy, ale

wiedziałam, co robiła, wyciągała kły. Gdy uderzyła było to z prędkością i dokładnością jastrzębia. Jej kły wbiły się.

Bezdomny obudził się gwałtownie, ale zanim mógł wydać jakiś dźwięk opadł z powrotem na pudła. Ślina wampirów zawiera środek uspokajający działający na ich ofiarę, podczas, gdy się żywią. Jak już mówiłam, idealni drapieżcy. Nie odwróciłam głowy, gdy Marguerite pożywiała się. Czemu bym miała to robić? Ona nie odwracała głowy, gdy jadłam hamburgera. Ludzie zabijają zwierzęta dla jedzenia. Wampiry nokautują ludzi i pożyczają trochę krwi. Ludzie mogliby oddać trochę krwi, by utrzymać człowieka przy życiu, więc co było złego w braniu jej świeżej wprost od dawcy, by utrzymać wampira przy życiu? Marguerite mówi, że za bardzo upraszczam rzeczy. Ja mówię, że ona za bardzo je komplikuje.

Gdy Marguerite skończyła się pożywiać, poświęciła chwilę, aby zapieczętować ranę i upewnić się, że z mężczyzną wszystko w porządku. Potem włożyła mu pięć dwudziesto dolarowych banknotów do kieszeni i skinęła na mnie, bym za nią szła na koniec przejścia.

Z piątki ludzi siedzących w zajeździe autobusowym dwoje spało na siedzeniach, trzymając kurczowo bilety, jakby chcieli udowodnić, że mają prawo tu być, ale według mnie, gdybym je sprawdziła byłyby sprzed miesiąca. Bezdomni, jak ten koleś w przejściu. Marguerite złapała mój łokieć i wyszeptwała.

- Pójdziemy do domu Katiana, obiecuję.

- Nie myślałam o tym.

Ale oczywiście, tęskniłam za domem. Nawet nie tak za domem czy sąsiedztwem, ale za uczuciem posiadania tego. Właśnie, gdy przechodziłam koło rozkładu jazdy autobusów, nie mogłam się powstrzymać przed popatrzeniem na moje miasto. Montreal. To nie miasto gdzie się urodziłam, ale gdzie mieszkałam razem z Marguerite, ten, który musiałyśmy opuścić, gdy dwa lata temu znaleźli nas łowcy. Podeszłyśmy do lady.

- Kathy. – Zawołała kobieta.

Marguerite złapała mnie za rękę i ścisnęła ją. Obejrzałam się powoli, zobaczyłam kobietę i ścisnęło mnie w żołądku, nagła, bezmyślna reakcja, coś głęboko we mnie mówiło mi, że ją znałam, i że powinnam biec, biec tak szybko jak tylko mogłam.

Wciąż trzymając moją rękę Marguerite ruszyła do drzwi. Kobieta tylko patrzyła jak odchodziłyśmy.

- Znała moje imię. – Powiedziałam.

- Tak, wiedzą o tobie wszystko. To dlatego...

- Znała moje prawdziwe imię.

Marguerite odwróciła wzrok. Zatrzymałam się. Gdy szarpnęła moją rękę zaparłam się.

- O co chodzi...?

- Nie teraz. Musimy iść.

Nie ruszyłam się. Spotkała moje spojrzenie.

- Kat ufasz mi?

Odpowiedziałam pozwalając jej prowadzić mnie.

- Zadzwonimy po taksówkę. – Powiedziała wyciągając komórkę.

Dwie postacie wyłoniły się zza zajezdni i zaczęły nacierać na nas.

- Marguerite? – spojrzała w górę.

- Marde. – złapała mnie znów za rękę. – Kat biegnij.

- Ale jesteśmy w miejscu publicznym. Nie powinniśmy wrócić do środka...?

- Ich to nie będzie obchodzić. Biegnij.

Odwróciłam się i pobiegłam w dół przejścia, mijając bezdomnego w kartonowych pudłach i przeskoczyłam przez ogrodzenie, Marguerite tuż

za mną. Gdy wbiegłam w kolejne przejście kolejne dwie postacie stanęły na jego końcu. Odwróciłam się gwałtownie. Pozostali dwaj mężczyźni przechodzili przez płot. Pułapka.

Mężczyzna przed nami nic nie powiedział, tylko szedł do nas wolno. Ściąłam ramiona i rozluźniłam ręce, wtedy przeszłam do sprintu biegnąc prosto na nich, mając nadzieję, że ich zaskoczę. Jeśli nie, wolałabym rozpocząć walkę zanim tamci dwaj do nas dołączą.

Jeden z mężczyzn sięgnął do kieszeni. Wyciągnął coś. Wciąż był wczesny świt, przejście zacienione i zobaczyłam tylko srebrny obiekt. Może komórkę. Lub radio. Lub... Uniósł pistolet mierząc we mnie.

- Kat. – Wrzasnęła Marguerite

Złapała mnie za koszulkę i szarpnęła mocno. Poleciałam do góry. Wyskoczyła się przede mnie. Pistolet wystrzelił, cichy odgłos. Kula trafiła ją w klatkę. Upadła przede mną, trzymając ręce koło serca, łapiąc powietrze. Jednak jej twarz była idealnie spokojna. Krew nie ciekła z pomiędzy jej palców.

- Na mój znak. – Wyszepiała. – Trzy, dwa, jeden...

Podskoczyliśmy. Marguerite poszła na kolesia z pistoletem. Upadł zaskoczony. Złapała pistolet, podczas, gdy ja złapałam drugiego kolesia za nadgarstek i pociągnęłam go w dół. Za nami pozostali dwaj zaczęli biec, tupiąc głośno, było słychać jak się zbliżali.

Marguerite powaliła swojego przeciwnika i zaczęliśmy biec. Gdy tak biegaliśmy, oglądaliśmy się. Dziura w jej klatce zamykała się szybko, zostawiając tylko wyrwę w koszulce.

- ...wampir? – Mówił jeden z mężczyzn za nami. – Dlaczego do diabła nikt nie wiedział, że ona jest wampirem?

Spojrzałam na Marguerite. Spotkała moje spojrzenie, potem odwróciła głowę i biegaliśmy dalej. Na następnej ulicy zobaczyliśmy autobus i machnęliśmy ręką, by się zatrzymał. Kierowca był na tyle miły, że

zatrzymał się. Wsiadłyśmy. Spojrzałam przez okno, gdy odjeżdżałyśmy, ale nie było nawet znaku po naszych prześladowcach.

- Oni nie są łowcami wampirów, prawda?

- Nie.

Spojrzałam na nią.

- Czy w ogóle byli tam jacyś łowcy wampirów? – Potrząsnęła głową, spuszczać wzrok.

- Nie, tylko oni.

- Przyszli po mnie, nie po ciebie. Oni są z tamtego miejsca. Część tej grupy eksperymentowała na mnie.

- Zespół Edisona. Tak. Na początku myślałam, że to są łowcy wampirów. Jest taka rzecz, jednak rzadka, powinnam była wiedzieć... - Potrząsnęła głową. – Chciałam, żeby to byli łowcy wampirów. Gdy zdałam sobie z tego sprawę..., powinnam była ci powiedzieć.

- Ta. – Spotkałam jej spojrzenie. – Powinnaś.

- Przepraszam.

Kiwnęłam głową. Położyła ramię na moich ramionach, a ja oparłam głowę o jej i zamknęłam oczy.

Nie pamiętam zbyt wiele o mojej matce i moim ojcu. Zawsze byli bardziej jak opłacani ochroniarze niż rodzice. Traktowali mnie dobrze, dawali wszystko, czego potrzebowałam. Prawie wszystko. Nigdy mnie nie przytulali. Nie było przytulania na kolanach tatusia z książką w ręku. Żadnych uścisków czy całusów przed spaniem. Nie wydawało mi się, że coś tracę, wiedziałam tylko, że nie byłam szczęśliwym dzieckiem.

Wizyty w szpitalu nie pomagały. Raz w miesiącu, późno wieczorem, mój ojciec budził mnie i jechaliśmy do pewnego miejsca, które powiedział, że było szpitalem, ale teraz z perspektywy czasu wiem, że to było laboratorium.

Zawsze musieliśmy wchodzić przez tylne drzwi, gdzie spotykaliśmy wysokiego, szczupłego mężczyznę Dr Davodoff. Wprowadzał nas do pomieszczenia i przeprowadzał na mnie dużo rozmaitych testów. Bolesnych testów, które sprawiały, że byłam osłabiona i chora przez kilka dni. Moi rodzice mówili, że byłam chora i potrzebowałam tych wizyt. Ja mogłam powiedzieć, że czułam się już dobrze, ale wtedy odpowiadali „Tak, dlatego musisz wciąż tam chodzić”.

Gdy byłam w przedszkolu do naszej szkoły przyszła nowa asystentka bibliotekarza. Na imię miała Marguerite i była najładniejszą panią, jaką kiedykolwiek wiedziałam. Także najmiłą. Wszystkie dzieci chciały pomóc jej układać książki na półki i słuchać jak mówi z egzotycznym akcentem. Ale ja byłam jej pupilkiem. Jej kociakiem. Ilekroć byłam sama podczas przerwy wakacyjnej wpadała, rozmawiała ze mną. I dotrzymywała mi towarzystwa po szkole, gdy czekałam na ojca, by odwiózł mnie do domu.

Pewnego dnia Marguerite powiedziała, że musi wyjechać i zapytała czy chcę jechać z nią. Powiedziałam tak. Tak po prostu. Miałam pięć lat i kochałam Marguerite i w sumie nie kochałam moich rodziców, więc to wydawało się być dobrym rozwiązaniem. Zamieszkałam z nią w Montrealu, gdzie byłam Katiną, a ona była moją Ciocią Marguerite i historia jak zamieszkałam z nią była naszym sekretem.

Gdy byłam z nią przez parę lat powiedziała mi prawdę. Miałam nadprzyrodzone moce i byłam obiektem modyfikacji genetycznych, które miały zredukować uboczne efekty nadprzyrodzonej mocy. Marguerite była częścią sieci skupionej na nadprzyrodzonych mocach, co dotyczyło eksperymentu. Została wyznaczona, by mnie obserwować, więc podjęła pracę w mojej szkole.

Gdy zobaczyła jak nieszczęśliwa byłam powiedziała o tym zespołowi, ale nie pozwolili jej niczego robić, jej praca polegała tylko na obserwowaniu i zdawaniu z tego raportu. Marguerite nie potrafiła tego robić. Więc poprosiła mnie bym z nią poszła i choćby nie wiem, co się działo nigdy tego nie żałowałam.

Autobus zatrzymał się, więc to tu wysiadamy.

- Tam jest wypożyczalnia samochodów, po drugiej stronie rzeki. –
Powiedziała Marguerite. – Tam pójdziemy.

Kiwnęłam głową i nic nie powiedziałam. Była prawie siódma i ulice
śródmieścia były prawie puste.

Pojazdy zaczęły toczyć się po drodze, furgonetki robiły wczesne
dostawy. Zaspany bussinesman dowlókl się do biurowca, z kawą w
ręku, od jej zapachu burczało mi w brzuchu. Gdybyśmy były w
mieszkanu wygrzebywałabym się właśnie z łóżka, na moim stoliku
stałby parujący kubek kawy z orzechami laskowymi, Marguerite
wiedziała, że to obudzi mnie lepiej niż jakikolwiek budzik.

Gdy doszliśmy do końca bloku zapach kawy przedzierał się przez mniej
kuszący odór rzeki. Też mogłam to usłyszeć, uderzenia wody o tamę.
Gdy wyszliśmy na prostą, poryw wiatru uderzył i przysięgam, mogłam
poczuć drobinki wody.

Zadrzałam. Marguerite sięgnęła po mój plecak.

- Pozwól, wciągnę ci sweter.

- Nic mi nie jest.

- Więc kawę. – Uśmiechnęła się blado. – Wiem, że lubisz swoją poranną
kawę. To nie będzie twój ulubiony rodzaj, ale...

- Nic mi nie jest.

Znowu skręciła i przestało na nas wiać.

- Nie jest porządku, Kat. Wiem o tym. Ja...

- Uważałaś, że tak będzie najlepiej. – Odchrząknęłam, pragnąc zmienić
temat. – Rozpoznałam kobietę na dworcu, to była pielęgniarzka z
laboratorium. Zdaje się, że w końcu mnie wysłędzili i teraz chcą mnie
zabić.

- Nie. Nie zrobiliby tego. Jesteś zbyt cenna. – Prychnęłam.

- Ta, jako trofeum. Jeśli nie uważałabyś, że mogą do mnie strzelić, nie skoczyłabyś przede mnie.

Przeszła parę kroków zanim odpowiedziała.

- Jestem pewna, że nie zabiliby cię. Ale czy tak bardzo pewna, żeby ryzykować twoje życie? Nie. – Spojrzała na mnie. – Jesteś cenna Kat. Nawet w ich eksperymencie byłaś specjalna. Dlatego też musiałaś chodzić do laboratorium w nocy, z dala od innych dzieci, ukryta przed większością tam pracujących osób.

- Więc byłam tajną częścią tajnego eksperymentu? – Marguerite uśmiechnęła się lekko.

- Coś w tym rodzaju.

- Kotołak. To musi być to.

Oczekiwałam, że przewróci oczami, jak zwykle powie, że to niemożliwe, ale tylko zgarbiła ramiona przed zimnym powietrzem i wpatrywała się w pustą ulicę.

- Pocisk. – powiedziałam. – Czy jest wciąż... w tobie?

Kiwnęła głową. Gdy próbowałam naciskać na nią zmartwiona, że to może być niebezpieczne, zignorowała mnie zniecierpliwiona, wzrok skupiła na następnym rogu. Nagle złapała mnie za ramię.

- Ktoś tam jest. Zatrzymał się za rogiem.

Mogłam podać tuzin logicznych wyjaśnień, dlaczego ktoś miałby zatrzymać się za rogiem, ale Marguerite wciąż mnie trzymała, nasłuchując i wyczuwając.

Ktoś inny nadchodzi. – Wyszeptała. – Zatrzymał się obok tego pierwszego...

Wampiry nie mają super akustycznego dźwięku, ale było tak cicho, że nawet ja mogłam wychwycić dźwięki rozmowy. Marguerite zepchnęła mnie do alkowy, ponieważ kroki się zbliżały. Mężczyzna przeklął.

Marguerite wepchnęła mnie jeszcze głębiej w alkowę i skupiliśmy się na słuchaniu.

- Jesteś pewna, że zakłęcie pomoże nam je znaleźć. – Zapytał mężczyzna.

- To wykryje dziewczyny. – Powiedziała kobieta. – To działa tylko na żywych. I tylko powiązanych z nią.

Mężczyzna powiedział coś, czego nie wyłapałam.

- Tak myślę. – Powiedział towarzysz. – Niech jeszcze raz rzucę zakłęcie.

Wymamrotała słowa w jakimś obcym języku. Zakłęcie. Zadrżałam. Marguerite potarła moją rękę, ale to nie zimno sprawiało, że się teraz trzęsłam. Mogłam być paranormalna i żyć z taką osobą, ale ich świat wciąż był obcy i tajemniczy. Nie lubię tajemniczości. Lubię to, co widzę, co mogę poczuć dotknąć, zrozumieć. Lubię to, co mogę zwalczyć. Zakłęcia? Nie miałam pojęcia jak się przed nimi obronić.

- Nic. – Powiedziała kobieta.

- My...

- Ciii. – Powiedziała. – Coś słyszałam.

Oddychaliśmy zaledwie, więc to nie nas usłyszała. Drzwi otworzyły się skrzypiąc. Znowu kroki, ale to był ktoś inny, słyhać je było z przeciwnej strony, jakby ktoś wyszedł ze sklepu na końcu ulicy. Kroki oddaliły się.

Smukłe ręce Marguerite poruszały się w specyficzny dla niej sposób. Praktycznie nie musiałam patrzeć, wiedziałam, o czym myślała. Gdyby jakiś przypadkowy przechodzień zbliżał się, nasi przeciwnicy musieliby ukryć swoją broń. Więc, gdy zbliżyli się do alkowy, Marguerite wyskoczyła, łapiąc mężczyznę, gdy znalazł się w jej polu widzenia, potem zaciągnęła go do przysłoniętej alkowy. Wyskoczyłam zza niej. Kobieta wycofała się, podnosząc ręce i otwierając usta. Niewidoczna siła uderzyła mnie w klatkę. Zachwiałam się do tyłu. To było to, wytrącenie z równowagi. Uśmiechnęłam się. Z tym mogłam dać sobie radę.

Ruszyłam. Znow uniosła ręce w górę. Ściągnęłam je w dół, zakłócając jej wypowiedzenia zaklęcia. Jeszcze raz zaczęła je rzucać, lecz tym razem nie używała rąk. Zaklęcie czarownicy. Porządny kopniak wytrącił ją z równowagi. Marguerite wskoczyła między nas. Złapała kobietę i zaciągnęła ją do alkowy. Wewnątrz leżał na plecach mężczyzna, zimny od jej ugryzienia. Gdy Marguerite wzięła kobietę w mrok, by zrobić z nią to samo popatrzyłam w dół ulicy. Puciołowaty facet w garniturze stał sześć metrów ode mnie. Stał tam znieruchomiały, z kubkiem w ręku, z którego miał pić, oglądał walkę.

- Dobry. - Powiedziałam.

Przeszedł na drugą stronę jezdni i poszedł inną drogą.

- Zdaje się, że dziś nie chce mu się bawić w Dobrego Samarytanina. - Powiedziałam, gdy Marguerite dołączyła do mnie na chodniku. - Ale prawdopodobnie ma komórkę, więc mógłby zadzwonić... - Przerwałam, gdy zobaczyłam, że trzyma coś, co przypomina komórkę

- Zdążyli zadzwonić po kogoś?

- Radio z GPS. - Podniosła pudełko. - Wysłali nasze współrzędne.

Zdjęła pokrywę z pojemnika na śmieci i wrzuciła je tam. Gdy wyszliśmy z za rogu zobaczyłyśmy kobietę z dworca autobusowego przechodzącą koło bloku. Odwróciłam się gwałtownie. Dwóch nieznanomych mężczyzn zbliżyło się z tyłu. Zawahałam się mówiąc sobie, że to byli tylko ludzie, przypadkowe osoby udające się do pracy. Wtedy jeden z nich sięgnął do płaszcza i wyciągnął pistolet.

Marguerite chwyciła mnie za ramię, kierując mnie do najbliższego wyjścia: przejście służbowe. Przy moudi złapała mnie za rękę i spojrzała w dół uliczki, upewniając się, że to nie był ślepy zaułek. Ściana miała dziesięć metrów, ale uliczka ciągnęła się dalej, zakręcając w lewo. Kierowałyśmy się do końca, wyszłyśmy z za rogu... i znalazłyśmy pojedyncze miejsce parkingowe, otoczone z trzech stron wysokimi ścianami.

- Nie, nie, nie. - Wyszepiała Marguerite. Wskazałam palcem.

- Drzwi.

Gdy biegłyśmy do nich Marguerite wyciągnęła swój wytrych. Nacisnęłam na klamkę, na wszelki wypadek, ale oczywiście zostały zamknięte na klucz. Włożyła wytrych do zamka. Było słychać kroki w przejściu służbowym. Zatrzymała się i odwróciła się.

- Po prostu otwórz... - Zaczęłam.

- Nie mam czasu.

Rozglądnęła się i uniosła brodę. Śledziłam jej spojrzenie do schodów przeciwpożarowych. Pobiegłam do nich. Podniosła mnie i złapałam najniższy szczebel. Wdrapywałam się w górę, tak szybko jak mogłam. Usłyszałam okrzyk, spojrzałam w dół i zauważyłam kobietę jak wpadła w poślizg na końcu przejścia... i Marguerite wciąż na ziemi.

- Marguerite!

- Idź. – Kiedy się nie ruszyłam popatrzyła na mnie z pode łba i obnażyła kły warcząc na mnie. – Idź. Pobiegła na kobietę. Wspinałam się, ale już wolniej, palce mi drżały, zmuszałam się do podjęcia kolejnego kroku, mój żołądek krzyczał, bym zatrzymała się, bym po nią wróciła. Ale wiedziałam, że ona ma rację. Nie mogłam się bronić przeciwko broni palnej. Ona mogła. Musiałam stąd uciec i zaufać, że mnie dogoni.

Gdy doszłam na szczyt odwróciłam się. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyłam, była nieprzytomna kobieta leżąca na ziemi. Potem dwóch mężczyzn, jeden trzymał Marguerite w potrzasku, a drugi mierzył bronią we mnie. Zawahałam się. Wystrzelił.

Kula trafiła w cegłę pod moją stopą. Uniósł lufę wyżej. Rzuciłam się na szczyt dachu, serce mi waliło jak oszałałe. Metalowe schody przeciwpożarowe zatrzeszczały, gdy ktoś zaczął się po nich wspinać. Podniosłam się na nogi i zaczęłam biec w poprzek dachu. Wyrwałam się. Gdy tylko to zrobiłam zrozumiałam, że muszę wrócić.

Już próbowali zabić Marguerite. Była dla nich tylko przeszkodą w zdobyciu mnie i teraz sposobem, by mnie zwabić. Przeżyła postrzał, ale

teraz już wiedzieli, czym jest, mogli już wiedzieć jak ja zabić. Zadrżałam na samą myśl o tym, co mogli jej zrobić, by przekonać ją, by mnie wydała. I gdyby im się nie udało zabiliby ją. Żadnych pytań. Zadrżałam połykając lodowate powietrze, gdy oparłam się o ścianę, łapiąc oddech. Potem zamknęłam oczy i wsłuchiwałam się. Nikt nie nadchodził. Wciąż słuchałam, próbując usłyszeć ryk tamy, żeby zorientować się w swoim położeniu. Odgłos dochodził z niedaleka, z mojej prawej strony. Odwróciłam się w przeciwnym kierunku i zaczęłam iść.

Znalazłam ich w tej samej uliczce, do której uciekłyśmy. Cofnęli furgonetkę i mieli otwarte drzwi, podczas, gdy jeden z nich ciągnął Marguerite, ręce miała związane na plecach, była zakneblowana i walczyła z nim.

Gdy biegłam do alei kierowca wysiadł i uniósł pistolet.

- Przychodzę w pokoju. – Powiedziałam unosząc palce w znaku V.

Zatrzymał się w połowie poza furgonetką, na jego twarzy widać było oznaki zmieszania. Podniosłam rękę.

- Widzisz? Nie mam pistoletu, ani noża, ani nawet miotacza płomieni.

Czarownica, którą wcześniej powaliłam wyszła z drugiej strony furgonetki, zbliżając się powoli. Patrzyłam na jej usta, przygotowana na pierwsze oznaki rzucania zaklęcia.

- Chcę zawrzeć umowę. – Powiedziałam.

Nie odpowiedziała, tylko zatrzymała się, przesuwała wzrok po mnie, jakby szukała ukrytej broni. Kierowca wrócił do furgonetki, drzwi wciąż były otwarte, radio przy jego ustach.

- Możecie przestać jej szukać. – Powiedział. – Jest tutaj. – Przerwa. – Ta, to dzieciak O'Sullivan. Mówi, że chce zawrzeć umowę. – Jego głos zniżył się. – Lepiej się pospieszcie.

Drugi mężczyzna wciągnął Marguerite do furgonetki.

- Oho. – Powiedziałam. – Włóżcie ją tam i już mnie nie ma. Ta umowa to wymiana. Bierzecie mnie i ją wypuszczacie.

Marguerite potrząsnęła ledwo głową, jej oczy były niewyraźne. Odwróciłam wzrok i skupiłam się na czarownicy.

- Chcecie mnie, prawda?

- Chcemy.

- I nie jesteście nią zainteresowani.

Wykrzywiła usta w obrzydzeniu. Marguerite powiedziała mi jak inni paranormalni widzą wampiry, jako nienaturalnych i nie ludzi, wartych tylko lęku i obrzydzenia. Mogliby zabić ją tak szybko jak tylko mieliby szansę. Byłam tego pewna. Kontynuowałam.

- Więc bierzecie ze sobą marnotrawny naukowy eksperyment do laboratorium, a wampir jest wolny. Sprawiedliwe?

Czarownica zawahała się i kiwnęła głową.

- Chodź z nami Kathy.

- Jestem Kat.

Wyraz rozdrażnienia, który pojawił się na jej twarzy szybko znikł.

- Dobrze więc. Kat. Chodź...

- Nigdzie nie idę dopóki jej nie uwolnicie. Ona pójdzie tą drogą, ja pójdę tą drogą. Wszyscy są szczęśliwi. – Poza mną, powrót do tego okropnego miejsca, tych okropnych doświadczeń. Odepchnęłam te myśli. Jestem cenna, więc przeżyję, czego nie mogłabym powiedzieć o Marguerite, jeśli tego nie zrobię. Oddała swoją wolność, by się mną opiekować. Teraz nadszedł czas, bym się jej odwdzieczyła. Gdy czarownica się nie ruszyła powiedziałam.

- Nigdzie nie idę. Wy macie pistolety, zaklęcia, demoniczną moc, cokolwiek. Po prostu ją puśćcie, żebym miała pewność, że dotrzymacie swojej części umowy.

Kolejna przerwa, czarownica zasygnalizowała do mężczyzny trzymającego Marguerite. Uwolnił ją. Gdy szła do mnie ruszyłam w kierunku czarownicy, mój wzrok wciąż spoczywał na niej. Kątem oka mogłam zobaczyć jak Marguerite ściąga knebel, ruszając ustami, próbując zwrócić na siebie moją uwagę, próbując powiedzieć mi bym czekała na jej sygnał i uciekała. Zignorowałam ją. Musiałam przez to przejść.

Byłam jakieś półtora metra od Marguerite, gdy ciężarówka za mną wydała huk, jak wystrzał z pistoletu. Skoczyłam i zakreśliłam. To wszystko, co zrobiłam. Nie rzuciłam się. Nie wycofałam się nawet. To się nie liczyło. Ruszyłam dalej i wtedy usłyszałam puff cichego wystrzału.

Marguerite krzyknęła. Poczułam jak uderza mnie w plecy, tak mocno, że wytrąciło mnie z równowagi, gdy upadałam odwróciłam się i zobaczyłam ją biegnącą do mnie, wciąż metr ode mnie, za daleko, żeby to ona mnie uderzyła. Zaklęcie, to musiało być...

Upadłam na chodnik, płasko na plecach, krew tryskała z mojej klatki piersiowej. Krew wypryskiwała. Ze mnie. Z mojej klatki piersiowej. Podniosłam głowę, patrząc w dół na siebie i zobaczyłam, i zobaczyłam, i zobaczyłam...

- Postrzeliłeś ją! – Wydarła się czarownica.

- Próbowała...

- Czekales na wymówkę. Ty...

Cały czas krzyczała, gdy Marguerite uklękła koło mnie, łzy ciekły po jej twarzy na moją, gdy leżałam na chodniku i jedyną rzeczą, o której mogłam myśleć było to, że nie wiedziałam, że wampiry mogą płakać.

- ...jakby Davidoffs miał jakieś ale. - Mówił mężczyzna. - Dałem mu wymówkę, by mógł przeprowadzać swoje tajne eksperymenty...

Głosy znów się oddaliły. Albo to ja odpłynęłam. Nie byłam pewna. Następną rzeczą, jaką wiedziałam było to, że siedziałam z rękami

Marguerite wokół mnie, jej twarz była schowana w moich włosach mokre od łez, szeptała.

- Przepraszam *man chaton* przepraszam.

- ...po prostu włóż ciało do furgonetki... - Mówiła kobieta. Ciało? Podniosłam się gwałtownie, rozglądając się dziko, przekonując samą siebie, że żyłam. Wciąż mogłam ich zobaczyć, wciąż mogłam słyszeć Marguerite, że wydobrzeję, że wszystko będzie dobrze.

Marguerite postawiła mnie na nogi, jej ramiona wciąż wokół mnie i wyszeptała.

- Będziemy biec, Kat. Musimy biec. Rozumiesz?

Biec? Czy ona zwariowała? Zostałam postrzelona. Nie mogłam...

Wszystko pociemniało. Wtedy nagle byłam na deptaku biegnąc, podczas, gdy ona mnie podtrzymywała. Ból w mojej klatce piersiowej był niewyobrażalny. Każdy oddech przysparzał ból jakby przebijano mnie nożem. Marguerite jedną rękę przyciskała do dziury w mojej klatce piersiowej, próbując utrzymać ją zamkniętą, ale to nie miało znaczenia. Krew lała się po jej palcach, po mojej koszulce, kapiąc na chodnik. Jednak jakoś biegłyśmy. Gdy wpadłyśmy na drogę ciężarówka zagrzmiała. Szłyśmy dalej. Ciężarówka próbowała się zatrzymać hamulce i opony piszczały. Przebiegłyśmy tak blisko niej, że prawie nas potrafiła. Ciężarówka zatrzymała się z piskiem opon. Nasi przeciwnicy krzyknęli, ale utknęli po drugiej stronie pojazdu, poza zasięgiem wzroku.

Dałyśmy nura w pierwsze przejście szłyśmy dalej. Gdy biegłyśmy ziemia pochylała się pod moimi stopami. Próbowałam się skupić, ale mogłam zobaczyć tylko niewyraźne, zamglone kształty. Wtedy usłyszałam coś. Wodę. Grzmot tamy stawał się bliższy z każdym krokiem. Usłyszałam także Marguerite, rozmawiała przez komórkę. Nagły wypadek. Strzelanina. Tama. Ambulans. Policja. Proszę się pospieszyć.

Co ona robiła? Nie mogłam iść do zwykłego lekarza. Mówiono mi to przez całe moje życie, nawet zanim uciekłam z Marguerite, w nagłym wypadku dzwoń do domu. Nie pozwól im, by zabrali cię do szpitala. Moi rodzice mówili, że oni nie zrozumieliby twojego organizmu. Prawda. Nie wspomnieli tylko, że mój organizm jest zmodyfikowany genetycznie paranormalny, którego testy krwi sprawiłyby, że wezwaliby facetów w kombinezonach.

Zgaduję, że teraz to się nie liczyło. Potrzebowałam natychmiastowej pomocy medycznej. Potem będziemy musieli zająć się resztą. Odgłos płynącej wody stawał się głośniejszy. Nagle inny odgłos zaczął się przebijać. Wycie syren. Pamiętałam, że widziałam radiowozy policyjne w mieście. To dlatego Marguerite poprosiła o policję, mogli zjawić się szybko i to mogło odstraszyć naszych prześladowców. W razie niebezpieczeństwa, zawsze mówiła, zrób scenę i niech będzie zamieszanie w to, jak najwięcej ludzi. Nikt nie odważyłby się ryzykować robiąc coś w ich obecności.

Marguerite spuściła mnie na ziemię, moje plecy ocierały się o metalowe ogrodzenie. Zimna mgiełka wody spryskała mi kark. Gdy mrugnęłam mogłam się skupić na tyle, by zobaczyć, że byliśmy na tamie. Światła radiowozów policyjnych oświetlały ściany, syreny ogłuszały. Nie było żadnego śladu po tych, którzy nas ścigali. To uwięziło ich gorzej niż ciężarówka. Nie mogli się zbliżyć. Byliśmy bezpieczni.

- Mags. - Wyszeptałam. Próbowałam powiedzieć coś więcej, ale mogłam tylko kaszleć, ból przeszywał moje ciało, krwawa ślina brudziła moje ubranie.

- Cii, cii. - Pocałowała mnie w czoło, łzy spływały po jej policzkach. - Przepraszam, mon chaton. Tak mi przykro. Powinnam była ci powiedzieć, powinnam była cię ostrzec. Jesteś tak młoda. Za młoda.

Mówisz, że co? Młoda? Za młoda, na co? By umrzeć? Nie. Nie mogła mieć tego na myśli. Miałam się dobrze. Ambulans nadjeżdżał. Mogłam słyszeć syrenę.

Drzwi trzasnęły i policjant krzyknął do Marguerite, by się cofnęła. Jej trzęsące się palce szarpały się wokół mojej szyi, znajdując mój naszyjnik. Gwiazdę Dawida. Nie byłam żydówką, ale zawsze mówiłyśmy, że byłam. Część przykrywki. Gdy go znalazła odetchnęła z ulgą mamrocząc.

- Bien, bien³.

Czemu dobrze?

- Odsuń się od dziewczyny. – Krzyknął drugi policjant.

- Kocham cię Kat. Wiesz o tym, prawda? – Znow pocałowała mnie w czoło. – Kocham cię i nigdy cię nie opuszczę.

Wtedy wstała. Chciałam zawołać do niej, ale nie mogłam. Znow napłynęła mgła i zabrała wszystko, musiałam się tylko skupić, żeby ją tylko zobaczyć, niewyraźny kształt, ponieważ mgła z tamy i mgła w mojej głowie zachodziły na siebie.

- Zobaczę cię po drugiej stronie. – Wyszepiała. Jej palce zadrasnęły moją brodę, ponieważ cofnęła się. Odwróciłam głowę, by zobaczyć ją, jak wspina się po ogrodzeniu. Policjanci krzyczeli. Ja także krzyczałam, ale tylko w mojej głowie, wykrzykując w kółko jej imię, mówiąc jej, by się zatrzymała, żeby wróciła, żeby mnie nie zostawiała.

Posłała mi całusa i wymamrotała.

- Wkrótce cię zobaczę. – Potem zeskoczyła z ogrodzenia. Ostatnią, rzeczą, jaką zobaczyłam była Marguerite spadająca w dół, poza zasięg mojego wzroku, do rzeki trzydzieści metrów w dół.

I potem już... nic.

Cholera, naprawdę musiałam popracować.

Zaśmiałam się w myślach. Zostałam postrzelona w klatkę piersiową. Coś mi mówiło, że minie sporo czasu zanim znow zacznę trenować.

³ Bien, bien (fr) - Dobrze, dobrze

Nabrałam oddech i zakrztusiłam się od zapachu środka antyseptycznego i substancji chemicznych. Zapach szpitala przywołał stare wspomnienia. Zadrżałam. Przynajmniej na razie nie mogłam wrócić do tego szpitala. Prawie warte bycia postrzelonym. Zgięłam palce u rąk i nóg. Boże, cała zeszywniałam i było mi zimno. Mieli włączoną klimatyzację? Moje łóżko było tak zimne, jakbym leżała na marmurowej płycie. Potarłam łóżko... i zapiszczało pod moimi palcami. Materace nie piszczą. Czy było ono pokryte plastikiem? Czy musiało być? Posikałam się?

Podniosłam głowę. Wymagało to wysiłku... moja głowa była płasko na łóżku. Żadnej poduszki? Spojrzałam w dół i zauważyłam kawałek mojego odbicia. Podskoczyłam tak szybko, że o mało nie spadłam na podłogę. Metal. Wszystko, co widziałam to metal. Metalowy stół. Metalowe wyposażenie. Metalowe tace z metalowymi przyrządami chirurgicznymi.

Obudziłam się podczas operacji? O Boże. Czy oni skończyli? Moje palce powędrowały do mojej klatki piersiowej, znajdując miejsce pod moją lewą pierś, gdzie kula... Nie było żadnej dziury po kuli. Żadnych szwów. Żadnych bandaży. I bicia serca.

Potrząsnęłam ostro głową i przycisnęłam palce do tego miejsca i zamknęłam oczy, próbując wyczuć...

Nic tam nie czułam. Moja klatka piersiowa wcale się nie ruszała. Żadnego bicia serca, żadnego oddychania. Gdy się odwróciłam zobaczyłam swoje odbicie w metalowym pojemniku za mną. Zobaczyłam siebie... po prostu siebie, taka jak zwykle, opalona skóra, brązowe włosy, zielone oczy, wisiorek ze złota świecący na mojej klatce piersiowej.

Złapałam wisiorek i przejechałam palcami po ramionach gwiazdy. Gwiazda Dawida. Teraz wiedziałam, dlaczego Marguerite była taka szczęśliwa widząc, że noszę mój wisiorek. Żeby mnie nie skremowali. Słyszałam słowa mężczyzny, który mnie postrzelił. Jakby Davidoffs miał jakieś ale. Dałam mu wymówkę, by mógł przeprowadzać swoje tajne eksperymenty. Wymówkę, żeby przetestować czy jakiegokolwiek

modyfikacje genetyczne będą miały wpływ na moją paranormalną krew, na moje przeznaczenie. Umrzeć... i powstać jeszcze raz.

- Katiana. – Spojrzałam i zobaczyłam Marguerite w drzwiach. Weszła do środka i zamknęła za sobą drzwi.

Nie mogłam spać długo, ale ona wyglądała, jakby nie pożywiała się przez tygodnie. Była blada i chwiejna, jej oczy były zapadnięte i czerwone.

- Zdaje się, że miałaś rację. – Powiedziałam. – Nie jestem kotołakiem.

Jej twarz była pomarszczona. Nie zapytałam jej czy wiedziała, że byłam wampirem. Oczywiście, że wiedziała. To dlatego była przydzielona do mnie. Dlaczego zabrała mnie? Zawsze czułam, że Marguerite była dla mnie rodziną bardziej niż moi rodzice. Teraz już wiedziałam, czemu. Nie zapytałam jej dlaczego nie powiedziała mi prawdy. Wiedziała. Z wszystkich paranormalnych stworzeń, jakimi mogłam być to było największym ciosem i chciała oszczędzić mi prawdy do czasu, gdy nie byłabym starsza. Przypuszczam, że założyła, że mam mnóstwo czasu zanim to się stanie. Czas, bym dorosła. Czas, bym stała się normalna. Przyszła mi do głowy myśl.

- Czyli zawsze będę mieć szesnaście lat?

- Nie, nie. – Powiedziała szybko.

- To była jedna z modyfikacji, w tym eksperymencie. Powinnaś wieść normalne życie, tyle, że z innymi wampirzymi mocami.

Powinnam. To była tylko teoria, oczywiście. Nikt nie mógł być całkowicie pewien. Mogłam się zestarzeć albo i nie.

- Ktoś nadchodzi. – Słowa wymknęły się, zanim zdałam sobie sprawę, że je wypowiadam. Odwróciłam się w kierunku zamkniętych drzwi, ale nic nie słyszałam. Wciąż wiedziałam, że ktoś tam jest. Mogłam go wyczuć. Szósty zmysł rekina. Idealny drapieżnik. Zatrzęsłam się. Marguerite zaczęła mnie przytulać, wtedy podniosła głowę, łapiąc to samo dziwne uczucie i szybko podała mi nowe ubrania. Wzięłam je i pośpieszyliśmy

się do rogu. Ktokolwiek nadchodził szedł prosto do nas nie zatrzymując się.

- Więc, co się teraz stanie? – Wyszeptałam, gdy się ubierałam. – Zespół Edisona musi wiedzieć, że tu jestem. Będą czekać, abym... powstała.

- To prawda.

- A kiedy zniknę? Będą wiedzieć. Przyjdą...

- Poczyliłam przygotowania. Pieniądze mogą kupować wiele rzeczy. Zapisy pokażą, że zostałam przez przypadek poddana kremacji. Z tego nie możesz się odrodzić. Pomyśl, że cię stracili. Będziemy bezpieczne.

Pomogła mi z moją koszulką i złapała moje spojrzenie.

- Wiem, że masz pytania Katiana. Musi być tyle rzeczy, nad którymi się zastanawiasz.

Były. Bardzo dużo. Bardzo dużo pytań. Wiele zmartwień i lęków. Zbyt wiele. Odepchnęłam je na bok i skupiłam się na prostszych pytaniach, na takich, z którymi mogłam sobie poradzić.

- Możemy wracać do domu? – Kiwnęła głową.

- Tak.

- Więc, właśnie teraz tego pragnę.

Kiwnęła głową, położyła swoje ramię wokół mnie i zaprowadziła mnie do drzwi.

Tłum: Bella_Morte

Wilgotne zęby (Wet teeth)
Cecil Castellucci

To zawsze było nielubianą przez Milesa częścią gryzienia kogoś. Czasem skóra zostawała na zębach i gdy przesuwiał językiem po swoich siekaczach dawało to uczucie jakby to był żwir. Niektórzy z jego rodzaju mogliby powiedzieć, że skóra jest delikatesem.

Nie Miles.

Miles pożywiał się tylko bezdomnymi, ludźmi, którymi społeczeństwo się nie interesowało. Dlatego też lubił parki. Przy wejściu była fontanna. Ruszył w jej kierunku, by opłukać szyję, włókniste żyły i skrzepniętą krew z jego twarzy. Wtedy zobaczył ją po raz pierwszy. Siedziała na ławce pod słupem latarni. Miała na sobie płaszcz przeciwdeszczowy i szal, który zakrywał jej głowę w staromodnym stylu, wydawało mu się to znajome. Miała ubrane okulary w kształcie kocich oczu i patrzyła w górę, może na gwiazdy, może na księżyc, może na buty powieszony na drutach telefonicznych.

Gdy patrzył na nią, Miles pochylił się nad fontanną i zaczął nabierać rękami wodę do ust, a potem ją wypluł. Jego usta wciąż były wypełnione resztkami krwi i skóry. To, co wypluł spływało w dół odpływu. Patrzył jak woda zabarwia się od jasnego czerwonego do różowego.

Gdy podniósł się dziewczyna nie patrzyła dłużej w niebo, ale wprost na niego. Pomachała.

Nie wiedząc, co zrobić Miles odmachął. Ruszył w kierunku wyjścia i w dół ulicy, z powrotem do domu.

Dziewczyna tak go wytrąciła z równowagi, że mimo, iż nie był już w jej polu widzenia i był na pustej ulicy, wciąż nie mógł się transformować, co znaczyło, że musiał iść do swojego legowiska, zamiast lecieć. Miles miał zasadę, nigdy nie pożywiał się blisko swego domu, więc to był długi spacer.

Gdy doszedł do domu niebo zaczęło się rozjaśniać i zbliżał się świt. Trochę martwił się koniecznością znalezienia miejsca na zewnątrz, gdzie mógłby przeczekać dzień. Gdy odprężył się wystarczająco, by się położyć był już ranek. Cały dzień leżał w łóżku i rozmyślał o dziewczynie. Zastanawiał się dlaczego tam siedziała, sama w środku nocy, w parku, który cieszył się złą sławą

bandyckich napadów i zabójstw. Z powodu tej reputacji to miejsce było idealnym żerowiskiem dla wampirów.

Najlepiej było nie zostać zobaczonym w tym samym miejscu zbyt wcześnie po zabiciu, a on nie musiał pożywiać się przez następnych kilka dni. Ale był sfiksowany na punkcie dziewczyny. Gdy tylko słońce zaszło, zaczął zastanawiać się czy powinien wrócić. Zazwyczaj tego nie robił. Ale ta dziewczyna coś w sobie miała. Nie czuł się zmuszony do robienia czegoś odkąd został przemieniony.

Tak szybko jak noc zapadła Miles przemienił się i poleciał do parku. Zawisł do góry nogami na latarni obok ławki, na której siedziała dziewczyna i czekał. Przybyła o 3:00. Z jego sonarem mógł ją zobaczyć. Mógł wyczuć bicie jej serca, jej wdzięczny krok i duży obiekt, który niosła w rękach.

Był pewien, że była człowiekiem. Nic w jej zapachu nie sugerowało czegoś innego. Podeszła do ławki i wspięła się na nią, następnie rozejrzała się dookoła.

Wydawała się być zadowolona, że jest tam sama stanęła na oparciu ławki i przytrzymała się słupa latarni. Naciągnęła się, gdy podnosiła przedmiot, który ułożyła na siedzeniu i zaczęła przywiązywać go do zakręconej części słupa. Była bardzo skoncentrowana. Miles mógł powiedzieć, że była szczęśliwa, a zarazem nerwowa, jej tętno przyśpieszyło, a następnie uspokoiło się i było czuć zapach jaki wydzielala. To był zapach ciężkiej pracy, nie strachu.

Dziewczyna była tak blisko, a jednak była tak skupiona na swoim zadaniu, że nie zobaczyła go zwisającego w jego nietoperzej formie. Był pocieszony, że nie był powodem jej utraty równowagi.

Miles mógł wyczuć jeszcze przed nią, że jej stopa ześlizgnęła się, więc przeszedł do ludzkiej formy i złapał ją zanim upadła na ziemię i zrobiła sobie krzywdę.

Oboje upadli z gracją na ziemię. Jego ramiona były wokół jej tali, byli spleceni bardzo blisko. Jego usta były blisko jej szyi i mógł poczuć jej szybkie tętno. Było tak blisko. Było takie zapraszające.

Odsunął się zanim zrobiłby coś, co było dla niego naturalne, ale czego nie chciał zrobić. Oboje wstali w tym samym czasie.

-Jesteś goły. - Powiedziała.

Żadnego „Skąd się tu wzięłeś”. Żadnego krzyku z powodu pokrwawionej szyi, gdy upadali, jego kły zadrapały ją. Żadnego „Dziękuję”. Tylko „Jesteś goły”.

To był kłopot podczas transformacji. Jeśli zmieniałeś się z nietoperza w człowieka nie miałeś ubrań. Miles zawstydział się, co go zaskoczyło. Zazgrzytał zębami.

-Przepraszam. - Powiedział.

Dziewczyna, teraz, gdy na nią spojrział, naprawdę była dziewczyną. Nie starszą niż szesnaście lat. Wpatrywała się w niego i położyła ręce na swojej twarzy.

-Cholera. - Powiedziała. - Moje okulary.

Oboje rozejrzeli się dookoła i Miles zauważył je pod ławką.

-Tam. - Wskazał w ich kierunku. Nie chciał wykonywać żadnych ruchów, które mogłyby ją wystraszyć. Schyliła się, podniosła i założyła je.

Były zmiążdżone. Nie tylko soczewki były zepsute, ale i oprawki złamały się w pół nie do naprawienia.

-Mama mnie zabije. - Powiedziała. - To były okulary mojej babci.

-Przepraszam. - Znów powiedział.

Wzięła torbę z materiału, którą ze sobą przyniosła, włożyła palec w dziurę i rozdarła ją. Podała Milesowi.

-Masz. - Powiedziała. - Powinieneś się przykryć.

Wszedł w torbę i przykrył się nią. Jednak miał ubrane na sobie bardzo mało, taką małą spódniczkę, na której pisało CAŁE JEDZENIE. Czuł się śmiesznie. Roześmiał się.

-Co jest tak zabawnego? - Zapytała.

-Niezbyt często czuję się głupio. - Powiedział Miles. - Zazwyczaj jestem przerażający.

-Nie wyglądasz zbyt przerażająco. - Powiedziała.

Rozmyślał nad tym. Pewnie to była prawda, jeśli się nie wiedziało czym on był.

Z pozoru wyglądał na osiemnastoletniego dzieciaka. Był wysoki, chudy i wyglądał trochę jak słabeusz z komiksu, które lubił jako chłopiec.

-Jak masz na imię? - Zapytała dziewczyna.

-Miles. - Powiedział

-Miles.- Powiedziała. - Ja jestem Penny.

-Penny. - Powiedział Miles. - Miałem dziewczynę o imieniu Penny. Dawno temu. Nosiła okulary, które wyglądały jak twoje.

Nie myślał o niej od 1956. Nocą, w którą został przemieniony, odbył się bal, a Penny miała być jego partnerką. Nigdy się nie pokazał.

-Możesz się wspinać? - Zapytała Penny.

-Co?

-Jesteś dobry w wspinaniu się? - Zapytała.

-Tak. - Powiedział. - Jestem ekspertem.

-Mógłbyś upewnić się, że moja świnia jest zabezpieczona?

Wpatrywał się w nią, nie rozumiejąc słów, które wychodziły z jej ust. Wskazała w górę w kierunku latarni, podążył tam wzrokiem. Tam, niepewnie umocowana, była ceramiczna świnia ze skrzydłami.

Miles wspiął się na latarnie, używając swoich specjalnych zdolności; sprawdził i zabezpieczył świnie.

-Wszystko jest w porządku. - Powiedział.

-Mógłbyś przesunąć to trochę w prawo? Chciałabym, by tym kołysało. –
Powiedziała Penny.

Zrobił tak jak chciała. Gdy wykonał swoje zadanie wrócił na dół.

-Widziałam cię tutaj zeszłej nocy. - Powiedziała Penny. - Szukasz jakiejś akcji?

-Co? - Powiedział Miles.

-No wiesz, jesteś kanciarzem? - Powiedziała Penny. - Pisali dzisiaj w gazecie, że znaleźli starego mężczyznę i uważają, że został zabity przez kanciarza.

-Nie. Nie jestem kanciarzem. - Powiedział Miles.

Ale stojąc pod światłem latarni, pod swingującą świnią, nie mając nic na sobie poza torbą poczuł, że chciał powiedzieć Penny prawdę. Nigdy w swoim życiu nie chciał tak bardzo wyjawić komuś prawdy. Więc tak zrobił.

-Jestem wampirem. - Powiedział. Penny roześmiała się.

-Kiedyś zwykłam być wampirzycą. - Powiedziała. - W siódmej klasie. - Znow się roześmiała. - Moja mama była zła, bo mogłam jeść tylko tatar, lub bardzo rzadko.

-A co z tobą? - Zapytał Miles.

-Uliczna artystka. - Powiedziała. - To jest o wiele fajniejsze.

Oboje nie mieli już nic do powiedzenia.

-Cóż. - Powiedziała Penny. - Mogłabym zaprosić cię do całodobowej kawiarni, ale bez koszulki, bez butów nie ma obsługi.

-Racja. - Powiedział Miles. - I tak powinienem już iść.

-Rain może być? - Zapytała Penny.

-Pewnie. - Odparł Miles.

-Może w czwartek? - Zapytała Penny.

-Dobra. - Powiedział Miles. - Tam się spotkamy, o której godzinie?

-Północ?

-Dobra. - Powiedział Miles odwrócił się i odszedł od Penny. Kiedy tylko odejdzie wystarczająco daleko od niej będzie mógł się transformować. Może zrobi to, gdy skręci na końcu bloków.

-Penny. - Zawołał. I wtedy podskoczył w powietrze i wylądował koło niej. - Nie powinnaś iść sama do domu o tej porze. Tam są niebezpieczni ludzie.

Nie powiedział, że był jednym z tych niebezpiecznych ludzi, których powinna się bać, ale musiała coś podejrzewać ze sposobu w jaki podskoczył. Po tym jak byli tacy rozgadani teraz szli w ciszy.

Penny prowadziła, spoglądając czasem na niego. Miles patrzył przed siebie, by nie czuć się śmiesznie w torbie z materiału, którą nosił. Gdy dotarli do jej domu powiedziała:

-Nie zaproszę cię do środka. - Powiedziała. - Musisz zostać na chodniku.

-Niech będzie.

-I nie chcę cię już nigdy więcej widzieć.

-Dobra.

-Jeśli cie zobaczę, wbiję ci kołek w serce.

-To tak naprawdę nie działa, ale zrozumiałem aluzję.

-Jeśli się do mnie kiedyś zbliżysz, powiem ludziom czym naprawdę jesteś.

Mógł wyczuć jej strach, gdy odwróciła się i pobiegła przez podjazd do domu. Mógł usłyszeć jak szamotała się z kluczami przy drzwiach. Miles stał tam przez minutę, aby się upewnić, że weszła cała i zdrowa do domu i wtedy uwolnił się ze swojego ciała i odleciał do domu.

Następnej nocy Miles poszedł się pożywić do miasta, na południe od swojego legowiska. Była tam wąska alejka, w której było dużo bezdomnych. Nie byli smaczni, ale był usatysfakcjonowany. Gdy dotarł do miasta zmniejszył swoją prędkość, by nie przyciągać uwagi. Przeszedł w dół ulicy Main Street i przez ulicę Maple, w dół ulicy Independence i do ulicy Metcalfe, gdzie znajdowały się wszystkie sklepy. Zazwyczaj sprawdzał ulice w poszukiwaniu innych wampirów. Nie dogadywał się z nimi dobrze, wolał puste ulice. Ale tej nocy, coś przyciągnęło jego uwagę, gdy przechodził przez ulicę Goodwill. W oknie na wystawie z naszyjnikami, szpilkami i szalami leżała para okularów w kształcie kocich oczu, takie jakie nosiły obie Penny. Podeszedł i popatrzył na nie. To sprawiło, że zaczął myśleć o nowej Penny. Był czwartek i Miles zastanawiał się czy Penny poszłaby z nim na kolację i na randkę mimo, że powiedziała mu, żeby sobie poszedł. Zastanawiał się czy zazwyczaj tutaj chodziła na wypady. Dał nura w aleję i pożywił się.

Zauważył, że gdy myślał o Penny myślał wtedy o swoim poprzednim życiu, zanim został przemieniony. O życiu, w którym chodził na potańcówki i w sobotnie popołudnia uczył się jeździć autem taty. O życiu, w którym był kapitanem drużyny kółka dyskusyjnego i obsługiwał trzy dni w tygodniu

projektor w kinie. O życiu, w którym bawił się z tą drugą Penny, która kochała rock and roll tak bardzo jak on.

To sprawiało, że czuł się samotny. Sprawiało, że dopadała go nostalgia. Teraz miał siedemdziesiąt osiem lat i był wampirem. Ta nowa Penny sprawiła, że po raz pierwszy odkąd został przemieniony poczuł się człowiekiem.

Trzy tygodnie później znów pożywił się w parku. Kiedy skończył podszedł do fontanny i wyplukał zęby z kawałków skóry. Gdy tam stał zauważył ceramiczną świnię. Obracała się.

Postanowił, że zanim pójdzie do domu może iść zobaczyć czy Penny zrobiła wypad do całodobowej knajpki. Mógłby po prostu iść zobaczyć.

Była tam.

Stał w cieniu na ulicy. Patrzył na nią przez okno. Czytała książkę. Wyglądała na szczęśliwą przewracając strony i czasami podnosząc kubek kawy do ust. Obserwował ją przez pół godziny, czując spokój. Powiedział jej imię.

-Penny.

Wiedział, że nie mogła go usłyszeć, ale w tym samym momencie podniosła wzrok i spojrzała w jego kierunku. Cofnął się, głębiej w cień. Zawsze nosił czarne ubrania, mógł się lepiej wtopić w otoczenie i wiedział, że go nie widziała. Gdy nastrojał się zauważył, że okulary, które dziś nosiła były okrągłe, groźne i niedostosowane do jej twarzy. Był niepewny.

Uwolnił się do formy nietoperza i odleciał. Pomyślał, że mógłby iść do domu. Tak powinien był zrobić. Ale zamiast tego znalazł się nagi przed tym sklepem Goodwill wpatrując się w okulary w kształcie kocich oczu.

Nacisnął na okno aż rozprysło się i zmienił się w nietoperza, złapał ustami parę okularów i odleciał. Gdy wrócił do domu upuścił okulary na szafkę nocną przemienił się i położył na łóżku. Wpatrywał się w okulary. Wiedział co mógłby zrobić. Mógłby pójść na kolację i dać je Penny.

Przez pięć nocy czatował przed knajpką, czekając w cieniu aż się pojawi. Miała ubrany obcisły płaszcz przeciwdeszczowy, spódniczkę i białą koszulkę w stylu wiktoriańskim. Miała dużą torbę z książkami. Miała ubrane także te okropne okulary. Wciąż je poprawiała.

-Penny. - Miles wyszedł z cienia, gdy położyła rękę na kłamek knajpki.

Wyciągnęła zatyczki z uszu. Znów powtórzył jej imię. Tym razem odwróciła się. Stali tak patrząc na siebie. Gdyby był żywy jego serce waliłoby jak oszalałe. Nie wiedział co powiedzieć. Słowa mu uciekły. To Penny odezwała się pierwsza.

-Przepraszam, że byłam taka wredna gdy cię spotkałam. - Powiedziała. - Wystraszyłam się.

Nie oczekiwał, że to powie. Oczekiwał pchnięć lub krzyków lub czegoś dramatycznego. Zamiast tego otworzyła drzwi i kiwnęła mu, by wszedł. Zaprosiła go do środka.

Miles wszedł do knajpki. Niewiele się zmieniła przez sześćdziesiąt lat. Wśliznęli się do stolika w rogu, a kelnerka stara jak świat w brązowym stroju podała im menu. Jej plakietka mówiła, że ma na imię Stella. Patrzył jak wracała za ladę. Ze sposobu w jaki stała przypomniał sobie, że był z nią w chórze. Popatrzył w menu za czymś co mógłby zjeść.

-Co zamierzasz zamówić? - Zapytała Penny.

-Nie wiem. Nie jadam tego.

-Masz pieniądze? - Zapytała.

-Tak.

-Dobrze. Więc zamówię cheeseburgera deluxe. - Powiedziała Penny. - Możesz zjeść moje frytki.

Przywołała kelnerkę, która przyniosła dwie szklanki wody i przyjęła ich zamówienia. Miles zamówił czarną kawę. Wykombinował, że mógł sprawić, że będzie to wyglądało jakby pił ją, przez używanie serwetek i trochę rozlewania. Przez te wszystkie lata stał się mistrzem udawania, że jest człowiekiem.

-Więc. - Powiedziała Penny. - Co sprawiło, że znalazłeś mnie?

-Chciałem ci to dać. - Powiedział Miles

Sięgnął do kieszeni płaszcza i wyciągnął okulary, położył je na stole i przesunął je palcami w jej stronę.

-Och, łał. - Powiedziała. - Są piękne. - Założyła je i Miles pomyślał, że bardzo jej pasowały. Wyglądała ładnie. Zdjęła je.

-Nie widzę w nich. Będę musiała założyć do nich moje soczewki. Dziękuję.

Sięgnęła ręką nad stołem i położyła ją na jego ręce. Następnie zabrała ją z powrotem.

-Łał. Naprawdę jesteś zimny.

-Nie żyję.

-Racja. - Powiedziała. - Wiem o tym.

Popatrzyła na niego z poważną miną. Miles wylał trochę swojej kawy na spodek.

-Cóż, w rzeczywistości miałam nadzieję, że wpadniesz. - Powiedziała Penny. - Myślałam już czy sobie nie odpuścić.

-Pomyślałem, że zniechęciłem cię do siebie. - Powiedział Miles. - Powiedziałas, że nie chcesz mnie już widzieć.

-Wiem, wiem. - Powiedziała Penny. - Miałam nadzieję, że będziesz wiedział, że nie miałam tego na myśli.

-Nie byłem pewien. - Powiedział Miles.

-Nie miałam. Cieszę się, że przyszedłeś, chciałam cię o coś zapytać.

-Chciałaś się o coś zapytać?

Miles także chciał ją o coś zapytać. Chciał zapytać jak ona to robi, że ma wrażenie, że ma puls. Co takiego robi, że widzi kolory, które były dla niego poza spektrum, stawały się jeszcze jaśniejsze. Jak przypominała mu maleńkie szczegóły z jego życia.

-Tak. - Powiedziała.

-O co? - Zapytał Miles.

-Chciałabym cię namalować.

-Namalować mnie? Chcesz, bym usiadł i pozował do portretu?

Pozował już do obrazu, ze starszym bratem, gdy miał siedem lat. Obraz był zawieszony w wielkim domu jego babci.

-Nie dokładnie siedział. - Powiedziała Penny. - Chciałabym podążać za tobą jednej nocy i robić jak najwięcej szkiców, kiedy robisz te swoje wampirze rzeczy. Potem zrobię serię sztuki opartej na tym.

-Nie ma mowy. - Powiedział Miles.

Stella przybyła z cheeseburgerem deluxe. Położyła go na stole i spojrzała z ukosa na Milesa, lecz nic nie powiedziała. Odwrócił od niej twarz.

-Coś jeszcze dla was dzieciaki? - zapytała Stella. Miles i Penny potrząśli głowami i Stella jeszcze raz surowo spojrzała na Milesa, potem odeszła.

-Czemu nie? - Pozwiedzała Penny. - Nie zjesz mnie, prawda?

-Nie. - Powiedział Miles. - Nie zjem.

Nie mógłby wypić jej krwi. Nie mógł. Dla niego była czymś więcej niż jedzeniem. Była życiem. Jego życiem. Ona sprawiała, że znów coś czuł. Nie mógł narażać jej na niebezpieczeństwo.

-Wysłuchaj mnie. - Błagała Penny. - To będą trzy obrazy, obok siebie. Różne etapy polowania.

-Nie. - Powiedział. - Po prostu nie.

-Na czym polega problem?

-To niebezpieczne.

-Dlaczego? - Zapytała.

-Nie mogę ci tego powiedzieć. - Tak naprawdę nie chciał, by go takim widziała.

Wysunięte kły. Dzikie oczy. Biegnącego i raniącego. Przykucającego nad ofiarą i pijącego jej krew. Ekstaza. Nie mógłby pozwolić, by nawet inny wampir widział go takiego, dlatego też żył i polował samotnie. Był zniesmaczony tym jak to na niego działało. Moc i żądza krwi były tak przytłaczające, że nienawidził samego siebie za to, że tak je uwielbiał.

-Jesteś skąpym draniem. - Powiedziała pokazując cheeseburgera w jej ustach.

Zamówiła go surowego i krew skapywała z brzegu bułki na jej palce. Ten widok zaparł mu dech w piersi. Chciał wziąć jej palce i zlizać z nich ten płyn. Jeśli

chciałby być jej przyjacielem powinien był wyjść w tej chwili. Mógł to zrobić, albo ją zaatakować. Ześliznął się z siedzenia.

-Gdzie idziesz? - Powiedziała. - Jeszcze nie skończyliśmy.

Był zdezorientowany ponieważ uśmiechała się. Nie wyglądała na rozgniewaną, że jej odmówił. Była otwarta i bezczelna. Uśmiechała się, była gotowa na wszystko. Położyła hamburgera i zauważyła sok z niego na jej palcach i go zlizwała.

Miles prawie zawył. Czuł jak jego zęby się wysuwają. Wybiegł z knajpki. Udał się w kierunku parku mimo, że zdawał sobie sprawę, że i tak za często się tam pożywiał. Mógł wyczuć trzy inne wampiry na tym obszarze. To mogło się źle skończyć jeśli znajdą tam zbyt wiele trupów, ale Miles nic nie mógł na to poradzić. Był zaślepiony przez pożądanie. Musiał się pożywić.

Wszedł głębiej w park, aż znalazł się pod mostem, kucając nad mężczyzną. Mężczyzna był nieprzytomna, spał na tekturze, miał na sobie wielki płaszcz i brązowy śpiwór. Miles nachylił się nad nim i odsłonił mu szyję. Była pokryta brudem. Śmierdział moczem, alkoholem i kałem. To nie była krew, której pragnął. Chciał kremowej szyi i pachnącej świeżością dziewczyny. Chciał krwi kogoś zdrowego nie chorego jak ten bezdomny. Miles wrzasnął sfrustrowany. Uderzył w ścianę z cegieł. Porozrzucił wszędzie rzeczy mężczyzny, rozdierając co mu wpadło pod rękę. Mężczyzna był tak pijany, że się nie obudził.

-Co ty robisz?

-Mógłbyś się uciszyć?

-Przez ciebie złapią nas.

Trzy pozostałe wampiry wyczuły go pod mostem. Miles był tak pochłonięty, że zdawało się, że mógłby ich zabić.

-Jest wściekły.

-Musi się posilić.

-Chce słodszej krwi niż bezdomnego. - Gadali wokół niego. Współczuli mu. Otoczyli go i nakazywali mu w kółko, by pożywił się na bezdomnym. Przytrzymywali go w dół.

Miles osunął się na ziemię, zatkał nos i wgryzł się w szyję pijaka. Tak szybko jak krew trafiła do jego organizmu rozluźnił się. Wypił jej wystarczającą ilość i rozłączył się. Wyczerpany usiadł koło swojej ofiary, opierając głowę o ścianę mostu.

Nie będzie w stanie posilać się tu przez jakiś czas. I będzie miał dług wdzięczności wobec tych trzech wampirów. Jako, że Penny zaprosiła go tego wieczoru do knajpy, będzie miał nowe miejsce polowań. Pod wpływem krwi, którą wypił zaczął fantazjować o powrocie tam i złapaniu kogoś. Kogokolwiek. Może nawet Stelli. Żeby spróbować krwi, która nie była tak niesmaczna. Spotkanie Penny było przekleństwem.

Po odpoczynku Miles wstał i poszedł w kierunku fontanny, by umyć zęby z resztek skóry.

-Hej tam. - Jeden z wampirów zawołał za nim zza krzaka. - Zachowaliśmy ci jakąś dziewczynę.

Miles odwrócił się. Naprzeciwko krzaków zobaczył wywróconą torbę z książkami. Niedaleko leżał szpicownik, a obok zza krzaków wystawała ręka. I niedaleko leżała torebka, w której grzebał jeden z wampirów. Wyrzucił niepotrzebne rzeczy. Klucze. Szminkę. Portfel. Okulary w kształcie kocich oczu. Wampir wstał i włożył portfel do kieszeni, następnie zrobił krok do tyłu i potknął się o wyrzucone rzeczy z torebki. Okulary złamały się na pół.

Gdyby Miles miał serce, w tym momencie przestałoby ono bić. To był ostatni raz, gdy zaprzyjaźnił się kimś.

Tłum: Bella_Morte

Cassandra Clare - Inni chłopcy

- To on. – Wskazała Bridget swoim widelcem. – To jest ten facet, który mówił, że jest wampirem.

Jennifer, która dłużyła z rozrządzeniem w swojej sałatce z tuńczyka, spojrziała na swoją przyjaciółkę i zmarszczyła brwi. – Kto jest wampirem?

- Nowy dzieciak. Jak on się nazywa? Nie, nie patrz. – Syknęła Bridget, która żyła w śmiertelnym przerażeniu, że któregoś dnia jakiś chłopak w stołówce mógłby ją złapać lub, że jedna z jej przyjaciółek mogłaby mu dopiec czego rezultatami mogły być... - Cóż, Jennifer nie była pewna o jakich rezultatach myślała Bridget - innych niż jakiś rodzaj bliżej nieokreślonej katastrofy. – To ten z ciemnymi włosami w dziwacznych ciuchach.

Gabrielle, która otwarcie wpatrywała się w bar samoobsługowy, uniosła brwi. – Aa tak. Myślę, że nazywa się Colin.

- Rzeczywiście. – Powiedziała Bridget. - Powiedział to na angielskim. Po prostu wstał i powiedział: Jestem Colin i dopiero przeprowadziłem się tutaj. Aha zapomniałem, jestem wampirem.

- Serio tak powiedział? „Jestem wampirem”? – Jennifer gapiła się na bar samoobsługowy, zafascynowana. Chłopak z ciemnymi włosami siedział samotnie przy stoliku, ubrany w długi, czarny, skórzany płaszcz założony na czarny podkoszulek i czarne spodnie. Na dłoniach miał czarne rękawiczki z odciętymi końcówkami palców. Przed nim leżała taca na lunch, ale była pusta. Pod czarnymi, czarnymi włosami kryła się blada jak papier twarz. – Jak inni zareagowali?

- Głównie śmiechem. Później pan Brandon kazał mu usiąść.

- To pozer. – Powiedziała Gabrielle, szeroko uśmiechając się. Gabby miała wspaniały, biały, szeroki uśmiech, który nigdy nie potrzebował aparatu ortodontycznego. Jennifer często zastanawiała się jak to się stało, że z dwóch kuzynek, mających podobny materiał genetyczny, to Gabby dostała doskonałe zęby i blond włosy a Jennifer poskręcane brązowe włosy, nikt w rodzinie takich nie miał, i cztery lata z ortodontą.

- On nigdy nie je. – Powiedziała Bridget, stykając ze sobą koniuszki palców. – Wszędzie zakłada okulary przeciwsłoneczne. Jest strasznie blady i nigdy do nikogo nic nie mówi. Może rzeczywiście jest wampirem.

- Może po prostu jest odludkiem. – Powiedziała Gabby. – W każdym razie, jeśli jest wampirem, dlaczego nie spala się na słońcu?

- Oh, ale przecież nie ma takiego czegoś jak wampiry. – Powiedziała Jennifer. – On jest po prostu jakimś walniętym Gotem.

- Czyżby? – Powiedziała Bridget. – Cóż, właśnie się na ciebie gapi.

Przestraszona Jennifer znów spojrziała w kierunku chłopaka. Wyrównywał coś na stole, chyba jakąś książkę. Była otwarta tak jakby pisał w niej lub rysował coś. Podniósł głowę, kiedy spojrziała na niego i nawet z tej odległości mogła zobaczyć jego zielone oczy.

Było też coś jeszcze. Wrażenie, że kiedy na nią spojrzeł, coś przemknęło między ich spojrzeniami, jakiś rodzaj pokrewieństwa. Jennifer odwróciła się i popatrzyła na pozostałe dwie dziewczyny siedzące przy stole: Gabby z uniesionymi brwiami, Bridget żująca nerwowo koniec warkocza.

– Czerwienisz się. – Powiedziała Gabby.

Jennifer wzruszyła ramionami. – On jest słodki.

Bridget szeroko uśmiechnęła się. – Wszystkie wampiry takie są.

Kiedy Jennifer wracała autobusem do domu, myślała o wampirach. Nie wiedziała wiele na temat wampirzych legend: na pewno mniej niż inne dziewczyny w szkole, które kochały romanse o wampirach i horrory. Widziała film o wampirach, jeden jedyny raz, gdy miała czternaście lat – u Bridget w domu. Po tym wszystkim, przez następny tydzień śniła o pięknych, białych ludziach, którzy wpadają przez okno i zabierają ją od nudnych rodziców i jej nudnego życia. Żyłaby w Paryżu zamiast w Pensylwani¹ i piłaby krew z kieliszków na wino, oczywiście nie smakowałaby jak krew – ostro i metalicznie – ale jak coś słodkiego i wodnistego. Jak owocowy poncz lub może wiśniowy napój gazowany.

Niedługo po tym, poszła do księgarni i poprosiła mamę by kupiła jej egzemplarz romansu o wampirach dla nastolatek. „Pragnienie krwi”, czy coś takiego. Powinna wiedzieć więcej. Wampiry, stworzenia nadnaturalne i magia nie pasowały do konserwatywnego światopoglądu jej rodziców. Jej mama wyjęła jej książkę z ręki i z powrotem odłożyła na półkę. Wampiry, powiedziała do Jen, to nie coś, o czym powinny myśleć dziewczyny w jej wieku; były potworami stworzonymi przez pogan i satanistów i nie powinny znaleźć miejsca w sypialni dziecka.

Co naprawdę miała na myśli jej matka, Jen uświadomiła sobie później – wampiry były seksowne, a ona nie powinna myśleć o seksie, ani o chłopcach. W przeciwieństwie do Gabby, Jen nigdy nie pozwolono iść na randkę, nawet z opiekunem, nawet, jeśli randka miała miejsce w centrum handlowym w samo południe w sobotę z milionem ludzi dookoła. Zabroniono jej przyprowadzać chłopców do domu, a już tym bardziej do jej pokoju. Czasami, Jen myślała, że cudem jest pozwolenie jej chodzić do szkoły – przecież byli tam chłopcy.

W domu, Jen prześlizgnęła się przez boczne drzwi, by znaleźć matkę w kuchni smażącą cebulę na patelni. Wspięła się na jedno z krzeseł kuchennych, kręcąc paskiem od plecaka i obserwując matkę. Miała cienkie, wyglądające na sprężyste, siwiejące brązowe włosy spięte w warkocz. Wokół talii związała sobie fartuszek. Żadna z matek jej przyjaciółek, nawet, gdy gotowała nie miała na sobie fartuszka – oprócz Bridget, której mama gotuje jedynie zdrową żywność z przepisów ściągniętych z Internetu, albo mama Gabby, która jest szaloną artystką i wie jak zrobić jedynie Hamburgera. Ale mama Jennifer cały czas spędza w domu, miała za złe swojej siostrze, że pracuje, więc Jennifer uznała, że mama nie ma nic do robienia, jak tylko gotowanie.

¹

Stan w USA.

- Cześć, mamó. – Powiedziała Jennifer – Tak się zastanawiałam... - Matka Jennifer odwróciła się, odgarniając kosmyk włosów za ucho i uśmiechając się.

- Nad czym?

- Jak Gabby dostanie się na randkę. – Powiedziała Jennifer. – No wiesz. Nie mogę sobie tego wyobrazić.

- Oh. – Przystanęła na chwilę, grzebiąc w cebuli na patelni. – Słuchaj, ty i Gabby... różnicie się.

Mama mówiła to już wcześniej, a Jennifer poirytowana zawsze pytała – Czym?

- Cóż, Gabby poradzi sobie lepiej. – Matka Jennifer miała ściśnięte wargi. Jennifer wiedziała jak bardzo nie lubi takich rozmów, ale nie pomagała jej. To było jak grzebanie w bolącym zębie. Oczywiście prawdą było, że Gabby była bardziej pewna siebie i niezależna niż ona, ale jak ktoś może stać się bardziej pewnym siebie albo niezależnym, kiedy ich rodzice trzymają go w szklanej klatce i nigdy nigdzie jej niepuszczają ani nie pozwalają jej nie robić?

- Poradzę sobie świetnie.- Powiedziała Jennifer. – Chciałabym tylko gdzieś wyjść. Może nawet na randkę. – Wstrzymała oddech.

Mogła się tym nie przejąć. – Wiesz, że to nie możliwe. – Powiedziała mama Jen. – Nie bądź śmieszna. – Krzyknęła kiedy z patelni uniósł się dym. – O mój Boże! Moja cebula!

Jennifer westchnęła.

Następnego dnia w bibliotece, czytając Norweską mitologię, Jen kierowała spojrzenie na inne książki - książki, które ani trochę nie były związane z tematem eseju, który miała napisać. Książki ze słowem „wampir” w tytule.

Było ich więcej niż Jen myślała: „Encyklopedia wampirów” i „Ogromna księga mitów i legend wampirzych”.

Kiedy Jennifer sięgała po jedną z nich, usłyszała za plecami słowa: - Wiesz, niektóre z nich nie są do końca prawdziwe. – Dziewczyna obróciła się. Colin był za nią, opierając się o niski regał z książkami. Z bliska, jego twarz wydawała się jeszcze bardziej olśniewająca. Miał jedną z tych wyrazistych, kościstych, delikatnych twarzy, jak jakaś brytyjska gwiazda. Włosy miał nieskazitelnie czarne, a oczy jasne i rozgorączkowane jak u kota. Na jednym z palców miał pierścień. Nie może być żonaty, pomyślała. Ale nie, był na niewłaściwym palcu. Pomyślała o tym co powiedziała jej Bridget, że nosił dziwaczne ubrania, ale ona uważała, że pasują do niego.

Jennifer wzięła głęboki oddech. – Co nie jest do końca prawdziwe?

- Te książki. – Zrobił krok do przodu i wziął „Ogromną księgę mitów i legend wampirzych” z dolnej półki. – Powiedzą ci tylko o tych samych pierdołach. Że wampiry spalają się w słońcu, nie odbijają się w lustrach, nie mogą przejść wody, nie mogą patrzeć na krzyżyki...

- I myślisz, że to kłamstwo? – Głos Jennifer stawał się wysoki i cienki, prawie że piszczała. Stojąc tak blisko mogła wyczuć zapach jego włosów i ubrań. Słaby zapach dymu, jakby spalonej zapałki. Może palił.

- Tak, tak właśnie myślę. – Powiedział. – Wampiry ukrywają się już tak długo, że muszą być mądrzejsze. Są zbyt sprytne by pozwolić ich sekretom wyjść na jaw. Myślę, że żyje im się lepiej przekazując fałszywe informacje o tym jak można je zabić - czosnek, kołek w serce. Ludzie wierzą im, i myślą, że są bezpieczni...

Jennifer zadrżała. – Zartujesz, co nie? Ty tak na serio mówiłeś, wtedy na angielskim, że jesteś wampirem?

Uśmiechnął się. – Może na serio. Musisz jednak przyznać, że zainteresowało cię to bardziej niż zwykłe przedstawienie się. Prawda?

- Sama nie wiem. – Jennifer sięgnęła by włożyć książkę z powrotem na półkę. – To wszystko wydaje się czymś w rodzaju... - Odwróciła się, ale nikogo z nią nie było. Colin zniknął. – Cholera. – Powiedziała, na w pół szeptem.

Jennifer siedziała w bibliotece przez kolejne pół godziny, ale Colin nie wrócił. Kiedy zadzwonił ostatni dzwonek, podeszła do swojej szafki by wziąć książki. Znalazła Gabby opierającą się przy niej. Trzymała notatnik przyciśnięty do piersi. Kiedy nadeszła Jennifer wciągnęła z trzaskiem gumę.

- Bridget powiedziała mi, że ktoś cię widział w bibliotece jak rozmawiałas z Colinem. – Powiedziała.

Jennifer bawiła się zamkiem. – No i co z tego?

- Czy powiedział coś... - Gabby przerwała. – O, no wiesz. Wampirach?

- Nie. – Powiedziała Jennifer, skłamała tylko po części, by być upartą i po części bo poczuła błysk frustracji, gdy zauważyła, że Gabby zainteresowała się Colinem. Colin był jej. Z wyjątkiem, oczywiście, że nie był jej.

Szarpnęła szafką i drzwiczki otworzyły się...

Odkoczyła ze stłumionym krzykiem, kiedy dwie książki wypadły z jej szafki i uderzyły w podłogę koło jej stóp. Gabby natychmiast zgięła się i chwyciła je. Obie miały ponure okładki przedstawiające mężczyznę z kłami pochylającego się nad pochyloną dziewczyną w długiej sukni.

- „Pragnienie krwi”. – Przeczytała głośno. – „Sekret Wampira”. Co to za bzdety?

- Nic takiego. Tylko szukałam... - Jennifer poderwała się kiedy coś przykuło jej wzrok. Kawałek białego papieru, który utknął w kracie szafki. Podeszła do niego i wyrwała kartkę.

Pomyślałem, że może ucieszysz się nimi. – To było pospiesznie napisane nieznanym pismem odręcznym. Żadnego podpisu.

Gabby wracała z Jennifer do domu, co nie był niezwykle, szczególnie w piątek. Ich domu stały kilka bloków od siebie. Matka Jennifer nie chciała zbyt oddalać się od siostry, chociaż obie mieszkały w tym samym mieście. Gabby paplała o Colinie całą drogę - skąd się przeprowadził, o tym co powiedział na angielskim, albo czy Jennifer go lubi czy nie. Jennifer załedwie zwróciła na to uwagę. Jedyne co chciała zrobić to dostać się do domu i przeczytać książki, które Colin zostawił jej w szafce.

Przekonała Gabby by nie wchodziła z nią do domu, twierdząc, że bolała ją głowa. Po zamknięciu frontowych drzwi na klucz, pognała na piętro i rzuciła się

na łóżko wygrzebując książki z plecaka. Okładki były nawet bardziej ponure niż zapamiętała - każda z nich pokazywała umięśnionego wampira pochylonego nad leżącą bez ruchu kobietą. Jej ciało wygięte było w łuk a białe gardło niczym nie okryte. Nieświadomie dotykając ręką swoją szyję, Jennifer otworzyła „Pragnienie Krwi” i zaczęła czytać.

Skończyła Sekret Wampira przed północą. Czytała bez przerwy sześć godzin, nie zeszła nawet na kolacje. Ale nie czuła się zmęczona. Czuła się żwawa i przebudzona. Usta miała suche, a serce waliło jej jakby biegła. Była ledwo świadoma tego co przeczytała, nie wyniosła prawie nic z tych opowieści, ale przez jej głowę przebiegały obrazy, które mieszały się w snach: blade ciała znikające w ciemności, ciemne włosy rozwiewane na wietrze, czerwone paznokcie ocierające się o przód staromodnej białej koszuli, krew na odsłoniętym gardle, niebieskie żyły biegnące pod skórą jak mapa drogowa. Jej własna skóra piekła i swędziała. Bolało ją gardło. Zabierając rękę zauważyła, że jest ona poplamiona na czerwono. Uświadomiła sobie jak głęboko wbijała paznokcie w skórę gardła, kiedy zaczęła krwawić. Skrzywiła się, Colin, pomyślała. Chcę Colina.

Rano, kiedy Jennifer zeszła na dół, znalazła swojego tatę na wpół schowanego za gazetą. Siedział przy stole i jadł śniadanie. Matka stała przy kuchence i przewracała naleśniki na patelni.

Ojciec odłożył gazetę z uśmiechem, który zmarszczył skórę koło jego oczu. – Dzień dobry, słoneczko.

Jennifer podciągnęła nieświadomie sweter pod samą szyję. Założyła go by ukryć zadrapania, które zrobiła sobie paznokciami. – Dobry, tato.

Zmarszczył brwi. – Wyglądasz trochę blado, dzieciaku. Wszystko w porządku? Dobrze się czujesz?

Jej matka podeszła do stołu i położyła talerz z naleśnikami. – Chcesz zostać w domu, Jenny?

Zostanie w domu znaczyłoby nie zobaczenie Colina. Jennifer skrzywiła się i poczuła mdłości. Słaby zapach syropu klonowego był przytłaczający. – Nic mi nie jest. Po prostu miałam dużo pracy wczoraj wieczorem.

Rodzice spojrzeli na siebie przez stół, ich oczy spotkały się w tajemniczej rodzicielskiej rozmowie. – Myślimy o wyjeździe do babci w ten weekend. – Powiedziała jej mama. – Już długi czas nie widzieliśmy jej. Myśleliśmy, że zrobisz sobie dzień wolny od szkoły w piątek.

Babci Jennifer mieszkała godzinę drogi od miasta w środku niczego, w małym domku otoczonym drzewami, mile od najbliższego miasta. Ona była nawet bardziej konserwatywna niż matka Jen. Zakazała wszystkich książek w swoim domu, nie tylko te o magii lub tych o paranormalnych stworzeniach. Usunęła też wszystkie płyty i filmy. Była straszna- chłodna, surowa i bezwzględna. Gabby mówiła, że wszyscy się jej boją, nawet jej córki. Gabby tak samo jak Jen nienawidziła odwiedzać jej; rodzice zawsze straszili je tym miejscem jak były małe.

„Jeśli to zrobisz, wyślemy cię do babci!”

- To dlatego, że spytałam cię o randki? – zapytała Jen wierząc się. – On nawet nie poprosił mnie... - zatrzymała się kiedy zauważyła, że powiedziała za dużo.

Oczy matki zwięzły się. – Więc jest jakiś chłopak. Jakiś konkretny chłopak?

- Nie! – Jennifer cofnęła się do stołu. – Nie ma żadnego.

- Jen. – Powiedział jej tata. Jego głos był uspokajający. – Znasz zasady.

Ale co jeśli go spotkasz? Chciała zapytać Jennifer, ale to było bezsensowne. Pomyślała o tym jak by to było, gdyby jej rodzice spotykali Colina, z tym jego pierścieniem, dziwnymi ubraniami i twierdzeniem, że jest wampirem. Wyobraziła sobie tylko jak źle by to wyszło.

W każdym razie, to i tak nie miałyby miejsca, gdyby on zaprosiłby ją pierwszy.

- Po prostu nie chcę wyjeżdżać gdziekolwiek w ten weekend. – Powiedziała lekko drżącym głosem. – Mam dużo pracy, duuużę zadanie...

- Jen. – powiedziała jej matka. Głos miała delikatny, nie wydawała się zła. – Kimkolwiek on jest, po prostu o nim zapomnij. Któregoś dnia, kiedy będziesz starsza, będą inni chłopcy.

Ale Jen nie chciała innych chłopców.

Colin był tam gdzie zawsze podczas lunchu. Wyciągnął nogi na stole i rozłożył sobie na kolanach czarny zeszyt. Jak zwykle na tacy nie było żadnego jedzenia.

Jennifer bezpośrednio pomaszerowała do jego stolika ignorując gapiące się na nią Gabby i Bridget, które siedziały po przeciwległej stronie stołówki.

- Przeczytałam książki. – powiedziała. – Te które włożyłeś mi do szafki.

Zniżył zeszyt i spojrzał na nią. Jego wzrok pozostawiał ślad w niej. – Jakie książki?

Teraz grał z nią. – Już ty dobrze wiesz jakie książki. – Szukała na jego twarzy jakiejś wskazówki o czym może myśleć, ale pozostawał nieczytelny. – Dlaczego tak interesujesz się wampirami?

Teraz się uśmiechnął. – A dlaczego nie? – Powiedział. – Ludzie interesowali się wampirami przez stulecia.

- Ale ty, dlaczego? – wyszeptła. – Dlaczego to cię obchodzi? Dlaczego wiesz o nich tak dużo?

- Oni nie są ludźmi, są ponad nimi. Nie muszą jeść, nie muszą oddychać - wyobraź sobie bycie tak czystą, że masz tylko jedno pragnienie.

- Krwi. – Powiedziała Jennifer, a kiedy to zrobiła przeszył ją dreszcz. Nie była już świadoma stołówki, hałasu i całego tego rozgardiaszu wokół niej, nawet ludzi wpatrujących się w nią. Była świadoma tylko Colina, który patrzył się na nią oczami przypominającymi zielone paznokcie.

- Krwi. – Powiedział. – Takie proste, ale taki potrzebne. Wyobraź sobie przebywanie w takim pomieszczeniu jak to... - Jego wzrok prześlizgiwał się po stołówce, powoli i pogardliwie. – Wiedząc, że jesteś lepszy niż wszyscy w środku. Lepszy i inny.

Jennifer potrzęsnęła głową. – Nie mogę sobie tego wyobrazić.

Pochylił się do przodu i położył łokcie na blacie. – Powinnaś. Jesteś lepsza. Inna. Specjalna. Wiedziałem to odkąd zobaczyłem cię w bibliotece.

Ciężko oddychała. – Nie jestem, naprawdę. Jestem zwyczajna.

Potrząsnął głową. – Umów się ze mną w ten weekend. – Powiedział.

Zaskoczona, mogła tylko wpatrywać się w niego. – Tak na randkę?

- Tak na randkę.

- Moi rodzice... - Zaczęła. – Nie puszczą mnie na randkę.

- To bardzo szkoda. – Powiedział. Brzmiał tak jakby naprawdę to miał na myśli.

- Nie będzie mnie w mieście w ten weekend. – Powiedziała, i wtedy, nie wierząc w swoją własną śmiałość, dodała: - Ale moi rodzice kładą się wcześniej spać. Może będę mogła się wymknąć...

- Mogłabyś? – Uśmiechnął się. – Powiem ci co zrobisz. Poczekaasz na mnie w swoim pokoju dzisiaj w nocy. Przyjdę do ciebie.

Jennifer zaschło w gardle. Jedyne co mogła zrobić to pokiwać głową.

Opuszczając stołówkę, Jen dryfowała korytarzem jak dym, jak jakiś duch. Więcej niż jedna osoba szła koło niej, ale ona tylko skręcała, aby przejść obok nich, albo patrzyła na nich, dopóki nie zeszli, mrucząc coś do siebie. Zobacząc Colina dziś w nocy, myślała w kółko. Późno w nocy. Powiedział, że przyjdzie do mnie. W jednej z książek o wampirach, którą przeczytała poprzedniej nocy, wampiry miały bratnie dusze. Ludzie, którzy byli związani z nimi, wspólnie współzależeli do siebie - zarówno wampir jaki i człowiek potrzebowali się. Wampir zrobiłby wszystko dla człowieka związanego ze sobą by go ochronić. Pomyślała o Colinie będącym skłonny zrobić wszystko by chronić ją. Myśląc o jego ustach na jej gardle zdrzała. Prawie musiała zatrzymać się i oprzeć o ścianę by uchronić siebie przed upadkiem.

- Gdzie jesteś? – Usłyszała głos Gabby, jasny jak światło słoneczne przenikające mgłę jej umysłu. Jennifer rozejrzała się. Gabrielle stała oparta o następną szafkę. Owinęła kosmyk jej jasnych włosów na palec. Miała ciekawość w oczach. – Ziemia do Jen.

Jennifer otworzyła drzwi szafki, unikając wzroku kuzynki. - Przepraszam, myślałam o czymś innym.

- Ty zawsze myślisz o czymś innym. – Gabby szarpnęła włosami. – Potrzebujesz uwolnić swój umysł od tych rzeczy. Chcesz gdzieś wyjść dziś wieczorem? Oglądać film? Coś głupiego ze słodkimi facetami.

To było tak jakby Gabby była psychiczna. Jen przygryzła wargę. – Nie mogę. Mam... inne plany.

- Plany? Z kim?

- Z nikim.

- Plany z Colinem?

Jennifer trzaskając drzwiczkami zamknęła szafkę. – Może.

- O mój Boże! Masz plany z Colinem! – Wyglądała na zaskoczoną, ale było też coś więcej niż zaskoczenie jednak szybko zniknęło z twarzy Gabby.

Jeżeli Jennifer nie uważała tego za śmieszne, to pomyślałaby, że Gabby wyglądała na przestraszoną. – Ale tak na serio, nie zamierzasz z nim wychodzić, co nie?

- Oczywiście, że zamierzam.

Gabby przygryzła wargę. – Myślę, że to zły pomysł... – Jennifer odwróciła się i przeszła koło niej. – Wracam do domu, Gabby. Zobaczymy się później.

Oczywiście, nie tak łatwo pozbyć się kuzynki. Gabby szła z nią całą drogę do domu, mówiąc cały czas o Colinie. Ostrzegając ją, że wychodzenie z nim to zły pomysł. Był dziwny, zbyt cichy, zbyt blady, zbyt obcy, wyglądał jak filmowy zabójca, z nikim nie rozmawia. Był prawdopodobnie nadęty i nudny.

- To będę zanudzona. – Powiedziała Jen, patrząc na drogę przed nią. To było prostsze niż niezgadanie się z Gabby kiedy starałaś się być spokojna i nie oszaleć. – To co?

- Dlaczego chcesz to zrobić, zamiast spędzić wieczór ze mną? – Próbowwała namówić Gabby. – Gdzie kobieca solidarność?

- Kobieca solidarność nie znaczy żadnego umawiania się z chłopakami, Gabs. Umawiasz się z chłopakami cały czas.

- Po prostu martwię się o ciebie. Colin jest... dziwny.

- On jest dziwny, ja też jestem dziwna.

- Nie tak jak on. – Gabby brzmiała na niezadowoloną. – Myślę, że może być... niebezpieczny.

Udało jej się. Mimo że obiecała sobie być spokojna, Jen wkurzyła się na kuzynkę. – Chodzi ci o to co powiedziała Bridget - że on jest wampirem? O to co chodzi? Myślałam, że to był żart.

- Był.

- Czyli wcale nie uważasz, że on jest wampirem?

Gabby spotkała jej spojrzenie. – Nie, nie uważam.

Zaskoczenie przeleciało przez Jennifer, ale też coś innego, rozczarowanie? Zapłonęło w niej szybko i znów się rozgniewała. – Więc przestań mnie wkurzać. Założę się, że wiem co tak naprawdę przeszkadza ci.

- Założę się, że nie. – Niebieskie oczy Gabby zaiskrzyły się z przykrości.

- To zawsze ty chodziłaś na randki. Zawsze miałaś jakiegoś słodkiego chłopaka wdychającego do ciebie. Teraz to ja idę na randkę, a ty mi zazdrościsz. Pierwsza zauważyłaś Colina, i jesteś wściekła, że lubi mnie.

Kiedy tylko słowa wyszły z ust Jen, ta zapragnęła cofnąć je. Gabby miała najdziwniejszy wyraz twarzy. Nigdy nie widziała kuzynki wyglądającej tak jak teraz.

- Pozwól mi powiedzieć Jen. – Powiedziała Gabby. – Czy mi wierzysz czy nie, zazdrość to ostatnia rzecz o jakiej pomyślałam.

Jennifer otworzyła usta, by znów zacząć krzyczeć, że jej nie wierzy, ale zamknęła je. Cokolwiek stało się później - cokolwiek było powodem dziwnego działania jej kuzynki - oczywiście było, że Gabby mówi prawdę.

Jennifer usiadła na swoim łóżku, spoglądając na swoje odbicie w lustrze wiszące na jej toalecie. Zmieniała ubrania wiele razy, i w końcu zdecydowała

się na czarne dzinsy i czarny sweter. Włosy miała rozpuszczone, wyszczotkowane, nałożyła też na końcówki trochę żelu żeby się nie skręcały. Z jej czarnymi włosami i czarnym swetrem twarz wydawała się unosić w lustrze jak wolno puszczony balon latający w ciemności po pokoju.

Nie przychodzi.

Była prawie północ. Książki leżały rozwalone na jej łóżku. Próbowwała coś przeczytać podczas oczekiwania, ale było jeszcze gorzej. Próbowwała skończyć powieść o wampirach, była już w połowie, ale sprawiała tylko, że jej skóra stawała się gorąca i niezdolnie swędząca. Słyszała zegar stojący w korytarzy - tylko tik tak, tik tak przy każdej mijanej minucie. Powietrze w pokoju wydawało się duszące, tak, że nie mogła należycie oddychać.

Nie przychodził.

Żałowała, że powiedziała Gabby cokolwiek. Upokarzające byłoby pójść do szkoły rano i przyznać się, że randka, w której obronie walczyła tak ciężko, nie miała nawet miejsca, bo została wystawiona. Być może Colin tylko zakpił z niej mówiąc o krwi i pragnieniu, i wtedy...

Wtedy to się stało - delikatne pukanie w jej okno. Odwróciła się by zobaczyć co się dzieje; biały latający balon w lustrze zmienił kierunek jak gdyby pchnął o jakiś poryw wiatru. Usłyszała ten dźwięk jeszcze raz, wstała, podeszła do okna i otworzyła je, wychylając się na zewnątrz ku wiosennej nocy.

Był w ogrodzie pod jej oknem - czarny cień na tle uporządkowanego trawnika, twarz i oczy odbijały się w ciemności. Wyciągnął rękę do niej. Zejdź na dół.

Zeszła na dół, a on czekał przy frontowych schodach. Położył palec na jej wargach, uciszając ją zanim zaczęła zadawać pytania. Kiedy zabrał rękę mogła poczuć na swoich ustach sól z jego skóry.

Wziął ją za rękę. Pozwoliła mu na to. Zaprowadził ją do bramy i wyszli na ulicę. Wszędzie było pusto, białe lśniące odbicia malowało wzdłuż drogi światło księżyca, zaparkowane samochody wyglądały jak śpiące zwierzęta. Colin pociągnął ją w cień jakiś dwóch samochodów i pocałował ją, mocno i łapczywie, pchnął ją na bagażnik sąsiedniego Jeepa. Rączka bagażnika wbijała jej się w plecy.

Ręce Colina były na przemian chłodne i ciepłe kiedy przesuwali się w górę i w dół po jej skórze pod swetrem. Jego usta smakowały jak sól. Była oszołomiona, jakby szybowała i uwalniała się od wszystkiego. Jej palce po omacku szukały jego ramion, szyi. Mogła poczuć jak wali mu puls. Jego serce bije, pomyślała. Jego usta znalazły jej policzek, jedną stronę szczęki, jej gardło. Pragnienie i lęk wybuchły w niej tak, że aż pisnęła.

Colin odsunął się. Jego wargi, w przyćmionym świetle, wyglądały na posiniaczone, jego oczy płonęły. Powiedział:

- Masz rację. Nie powinniśmy robić tego tutaj. – Znowu wziął ją za rękę. – Chodźmy.

- Gdzie? – Wyszeptała. To było wszystko co mogła wydusić.

Uśmiechnął się, rozjaśniając ciemność. – Zobaczysz.

Brama cmentarza była otwarta. Colin pchnął ją i wślizgnął się do środka, ciągnąc za sobą Jen. Między grobami biegła zwirowa ścieżka, wyróżniająca się między bladymi nagrobkami. Przy niektórych grobach leżały kwiaty, w ciemności wyglądały na czarne.

Ich stopy chrzęściły na ścieżce. Serce Jen łomotało. – Co my tutaj robimy?
- Spokojnie. – Colin skreślił, trzymając obie ręce dziewczyny, wracając się. Przyciągnął ją do siebie, mogła go odepchnąć, ale nie zrobiła tego. – Chcę ci pokazać jedno z moich ulubionych miejsc.

Pozwoliła mu prowadzić się. – Dobrze.

Ścieżka zakreślała koło drzew, gdzie ciemność była bardziej gęsta i ciemna jak farba, i wychodziła koło małego jeziora. Wokół jeziora wznosiły się wzgórza naszpikowane mauzoleami i pochylonymi nagrobkami. Colin puścił rękę Jen na tyle, by ściągnąć swój plecak. Wyciągnął z niego koc, rozłożył go na ziemi i pokiwał na dziewczynę by przysła i usiadła koło niego.

Przez jakiś czas, siedzieli razem w ciszy, spoglądając na jezioro. Zawiał wiatr i zmierzwił włosy Jen, podnosząc je z rozgrzanego czoła i ochładzając jej gorącą skórę. Księżyc świecił nad jeziorem, co sprawiło, że odbijał się w nim i błyszczał. Jen miała uczucie, że szybuje daleko od reszty świata, będąc czymś świętym i szczególnym.

- Chodź tutaj. – Colin przyciągnął ją do siebie, oplatając swoimi rękami jej talię i przyciskając dziewczynę do siebie. Nigdy nie była tak blisko z drugim człowiekiem; w tym momencie chciała się zatracić, ale zdumiała się jak to dziwnie wszystko wyglądało- uczucie zapięć jego kurtki przyciśnięte do jej skóry, zimne powietrze i gorąc jej ciała, ślizganie jego warg po jej. Wsunął rękę w jej włosy, przeczesując je z góry na dół. Przesunął rękę w dół, pod jej koszulkę, poczuła chłód jego pierścionków na skórze. Zaczął gmerać przy haftkach od jej biustonosza.

- Nie... nie rób tego. – Szepnęła, ale on się tylko zaśmiał, sprawiając, że sprzączka odpięła się. Wydawało się, że robił to już wcześniej. Jego ręce na jej nagiej skórze sprawiły, że zaczęła drżeć.

- Spokojnie. – Powiedział, znów, ale Jen nie czuła się spokojnie. Była wstrząśnięta- nie wiedziała dlaczego- każdy nerw w jej ciele wrzał. Skóra zaczęła ją swędzieć. Nagle poczuła się zażenowana, jak gość w swoim ciele. Nawet jej zęby wydawały się nie należeć do niej- zdawało się, że są za duże na jej usta.

- Chcę żebyś przestał. – Powiedziała.

Odsunął się na tyle by spojrzeć na nią z oszołomieniem. Jego puls łomotał. Mogła to zobaczyć pod skórą na jego gardle. – Myślałem, że tego chcesz. – powiedział. – Nie chciałaś iść na randkę. Powiedziałaś, że chcesz tylko żebym przyszedł pod twoje okno.

- Nie po to. – Powiedziała.

Spojrzał na nią. – Twoje zęby. – Powiedział. Jego puls zaczął porządnie walić. Nie mogła odwrócić wzroku od niego, trzepoczącego pod jego skórą. Żołądek zwinął jej się w supeł, warcząc. Była... głodna. – Są prawdziwe?

Jen zamrugła z oszołomieniem. – Co?

- Kochanie, one są naprawdę dziwne. – Znowu szeroko się uśmiechnął. – Uwielbiam cię jak tak wyglądasz. Wiedziałem, że jesteś wyjątkowa odkąd cię tylko ujrzałem. Więc - chcesz mnie ugryźć w szyję? – Odgarnął włosy i wystawił bladą skórę gardła. – Proszę bardzo.

Wychylił się na przód, by być bliżej niej. Jedyne co widziała to biegnące pod jego skórą niebieskie żyły, słyszała tylko bicie jego pulsu. Mogła... wyczuć krew. W uszach jej wyło, dźwięk wiatru został zagłuszony przez słyszalny dźwięk płynącej krwi. Blade ciała znów zatoneły w ciemności, ciemne włosy powiewały na wietrze, czerwone paznokcie klóciły się z przodem staromodnej białej koszuli, krew na wystawionym gardle, niebieskie żyły biegnące pod skórą jak mapa drogowa...

Kiedy jej zęby zatoneły w jego gardle, krzyknął. Nikt nigdy nie krzyczał w książkach, ale Colin krzyknął. Próbował wyrwać się jej, ale swoimi długimi nogami oplótł jego ciało a ramionami wokół jego szyi. Przytuliła się do niego jak kleszcz kiedy próbował się wyrwać, ale zaraz upadł a jego krzyk zamienił się w bulgotanie.

I wtedy była tylko krew. Ekspłodowała w jej ustach, był gorąca i słona, poczuła jak jej oczy przewracają się, jej ręce zanurzyły się w ramionach Colina, masując je tak jak kot masuje swoją matkę, gdy ssie jej mleko. Dalej walczył, słabo ją kopiąc, ale nie trwało to długo. Nie wiedziała o tym, ale zębami otworzyła jego arterię szyjną. Wykrwawił się w minutę, osuwając się bezwładnie na nią. Oczy miał otwarte, które patrzyły się szklście na niebo. Tego też nie zauważyła. Ciągle piła. Krew skończyła się za szybko. Nagle skończyło się to co piła, słychać było tylko ssący odgłos, jaki wywoływały jej usta na jego skórze. Szarpnęła się do tyłu z oburzeniem. Zaczęła się gapić. Colin leżał poskręcany na ziemi, jego szyja była wygięta pod nienaturalnym kątem. Podeszła by dotknąć jego ramienia, ale zabrała swoją rękę z powrotem. Jego skóra przypominała papier; był bezwładny. Jego ciało błyszczało jak łupina. Jego skóra kolorem przypominała matowy воск. – Colin. – Szepnęła Jen. – Colin?

Biel jego oczu zabarwiła krew. Zrobiła straszny bałagan na jego szyi. Wyglądało to tak jakby zwierze wgryzło się w niego. Żadnych schludnych śladów ugryzienia, tylko obszarpana dziura. Jego ubranie było całe we krwi. Zresztą ona też. Jej włosy wisiały w lepkich czerwonych strąkach.

Najgorsze było to, że była ciągle głodna.

Jen otuliła się rękami, zaczęła płakać. Rozbrzmiała w ciszy cmentarza jak alarm przeciwpożarowy w pustym domu. Nadal płakała, kiedy ktoś podszedł do niej bliżej i położył ręce na jej ramionach. Usłyszała głos koło ucha, miękki i uspokajający.

- Jen, Jen. – powiedziała Gabby. – Już dobrze. Wszystko jest w porządku. Chodźmy do domu.

Rodzice Jen czekali na nie w kuchni. Wszystkie światła były włączone. Pomieszczenie było tak jasne i białe jak wnętrze marmurowego grobowca. Jej

ojciec wychylał się zza lady, matka usiadła przy stole obracając zimną filiżankę z kawą w rękach. Podniosła wzrok kiedy weszła Jen, Gabby prowadziła ją za rękę jak ufne dziecko.

Widząc krew na ciele córki, zbladła. – Jen. – Wszeptała.

– Nic mi nie jest. – Powiedziała automatycznie Jen, ale jej matka patrzyła się za nią na jej kuzynkę.

– Co się stało? – Spytała matka Jen Gabby. – Zabiła kogoś?

– Tak, on nie żyje. – powiedziała Gabby. – To był Colin. – Przysunęła krzesło. – Usiądź Jen.

Jen usiadła. Przeszło przez nią wspaniałe uczucie nierealności, jak gdyby płynęła przez sen i wiedziała, że to sen. Była w swoim domu, ale to nie był jej prawdziwy dom. To była jej kuchnia, ale tak jakby nie jej. Byli jej rodzice, ale tak jakby nie. Słowa, które powiedzieli do Gabby nie miały sensu.

– Gdzie jest ciało? – To był jej ojciec, dalej wychylający się zza lady. Twarz miał smutną, prawie pozbawioną wyrazu. Po raz pierwszy, Jen zauważyła, że przy jego stopach leży torba z szorstkiej tkaniny.

– Na cmentarzu. Leży koło jeziora. – Powiedziała Gabby.

– Zajmę się nim. – Tata Jen podniósł worek, tak że Jen dostrzegła zarys tego co było w środku - łopata, nóż i kilka zapalniczek. Narzędzia. Gapiła się kiedy jej ojciec poklepał matkę po ramieniu i wyszedł przez boczne drzwi, zamykając je ostrożnie za sobą.

– Nie rozumiem. – Powiedziała delikatnie Jen, nie kierując tych słów do nikogo szczególnego, nie oczekując też odpowiedzi.

– Oczywiście, że nie. – Powiedziała Gabby, w głosie zabrzmiała ostrość. – Nic nie wiesz. Prawdopodobnie i tak nic nie zrozumiesz.

– Gabrielle? Proszę cię. – Matka Jen wstała. Plecy miała wyprostowane i patrzyła na Gabby z pewnym rodzajem znużonej dezaprobaty. – To nie jest czas na to.

Jennifer patrzyła na matkę oszołomionymi oczami, kiedy ta wzięła biały ręcznik z szafki i zmoczyła pod zlewem. Podeszła do córki i delikatnie zaczęła zmywać krew z jej twarzy, nawet skrzepniętą krew pozostałą w kącikach jej ust. Wytarła też ręce dziewczyny. Biały ręcznik stał się różowy. Jen siedziała cicho, pozwalając matce pomagać sobie jakby była małym dzieckiem i była wybrudzona kleistym czymś np. sosem ze spaghetti lub stopionym czerwonym lizakiem owocowym.

– On nie był wampirem. – W końcu powiedziała Jen, gapiąc się na zakrwawiony ręcznik. – Prawda?

– Oczywiście, że nie był. – warknęła Gabby. – Był tylko głupim dzieciakiem, który myślał, że te wszystkie gotyckie pierdoły sprawią, że będzie fajny. Jesteś jedyną, która...

– Gabby. – Powiedziała matka Jen z ostrzeżeniem.

– On powiedział, że jestem wyjątkowa. – Wszeptała Jen. – Inna.

- Musiałś go bardzo lubić. – Powiedziała jej matka. – Ludzie wyczuwają kiedy wampir ich pragnie. To powoduje, że czują to samo. – Jej ton był rzeczowy. – Przez to łatwiej znaleźć ofiarę.

- Wiedziałaś. – wyszeptała Jen. – Wiedziałaś czym jestem. – Matka poklepała ją delikatnie po policzku.

- Nie wiedziałam. Miałam nadzieje, że kłątwa obejdzie cię tak samo jak Gabby. Czasami omija pokolenie lub dwa. Część mnie miała nadzieje, że to już całkiem wygasło w naszej rodzinie. Widząc przez co przeszła moja matka... - Westchnęła.

- Polowanie w ciemności, zawsze w obawie, że cię złapią. Twój ojciec musiał za nią sprzątać w przeszłości. Właśnie dlatego przenieśliśmy się tutaj. By zostawić to za sobą.

- To dlatego nie pozwalałaś mi się umawiać z chłopakami. – Uświadomiła sobie Jen. – Nie dlatego, że się o mnie bałaś, ale dlatego, że bałaś się o nich.

- Wiedzieliśmy, że jeżeli odziedziczysz kłatwę, jeśli będziesz... tym czym jesteś, to zaczniesz to się objawiać wtedy, kiedy będziesz nastolatką. Kiedy zaczniesz interesować się chłopcami. Pragnienie pożywania się krwią - to skomplikuje twoje dorosłe uczucia. Romantyczne uczucia.

Dalej nie mogła się zmusić by powiedzieć seksualne uczucia, pomyślała Jen. Nawet jeśli dopiero co kogoś zabiłam. Nawet jeśli siedzę tutaj pokryta jego krwią, myśli, że wciąż jestem dzieckiem.

Jen odwróciła się by spojrzeć na Gabby, która patrzyła się na nią ze smutkiem. Wyglądała ponuro, marnie i zwyczajnie. Jen prawie zaczęła jej współczuć.

- Ty też wiedziałaś. – Powiedziała do swojej kuzynki. – Prawda?

- Mama powiedziała mi o kłątwie, kiedy zrozumiała, że jej nie mam. – Przyznała się Gabby. – Przepraszam, nie mogłam ci powiedzieć. Ale szczerze, obie myślałyśmy, że ty też nie będziesz jej mieć. Dopiero kiedy Bridget zaczęła mówić o Colinie i zobaczyłam jaka jesteś tym zainteresowana. To było dziwne, Jen.

- Gabby ostrzegła nas co się ma stać. – Powiedziała matka Jen. – To dało nam trochę czasu by się przygotować. Widzisz, nie możesz się teraz kontrolować, Jen. I właśnie dlatego musisz pomieszkać trochę u babci. Ktoś musi cię nauczyć jak być tym kim jesteś.

- Nie zrobię tego. – Powiedziała Jen, odwracając się do matki. – Nie wyjadę stąd.

Jej matka wyglądała na zaskoczoną. – Wiemy co jest dla ciebie najlepsze...

- Nie, nie wiecie. – Powiedziała Jen. – Powinniście powiedzieć mi o tym cholerstwie wcześniej. Wiedziałaś, że chroniłaś mnie, ale ty wrabiałaś mnie. Zabiłam Colina przez ciebie.

- I jeśli tu zostaniesz, zabijesz kogoś jeszcze oprócz Colina.

- Myślę, że powinnaś to przemyśleć wcześniej. – Powiedziała Jen. Gabby zaśmiała się kiedy Jen wstała, pchnęła matkę wyciągniętą ręką. – Wiedziałaś, że to kłątwa. – Dodała Jen.

- To jest klątwa. – Powiedziała jej matka. – Rodzinna klątwa. Tylko kobiety w naszej rodzinie dziedziczą ją.

- Może ja uważam, że to nie to. – Powiedziała Jen. Wyraz twarzy jej matki zmienił się. Dziewczyna przypomniała sobie jak często Gabby mówiła o ich babci - jak wszyscy się jej boją. Jej córki też.

Jej matka wstała i stanęła koło niej. – Jesteś zmartwiona. – Powiedziała. – Powinnaś iść do łóżka. Możemy o tym porozmawiać rano.

- Jasne. – Powiedziała Jen. – Rano.

Odwróciła się i przeszła przez kuchnię, schodami na górę schodami do swojego pokoju. Złapała swój wzrok w lustrze, które wisiało w korytarzu. Jej ubrania był sztywne od zaschłej krwi. Twarz jej błyszczała a oczy żarzyły się. Wyglądała... inaczej.

Pod warstwą krwi, jej skóra wydawała się świecić. Była prawie piękna.

Uśmiechnęła się, najszerzej jak umiała, pokazując ostre jak Igły czubki jej siekaczy. Colin myślał, że były zabawne i sztuczne. Pomyślała o sposobie w jakim jego skóra chrupała pod jej zębami, kiedy ugryzła jej kawałek, tak jak skórka jabłka.

Jej matka miała rację. Będą inni chłopcy.

Translate Books Team